

Uriasz:
PKA i niezależność

Węgrzyn:
Recenzenci z losowania

Musiątkiewicz:
Pamiętajmy o kształceniu

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 11/2024

PL ISSN 1233-0930 22 zł (VAT 8%)



**Dlaczego
uniwersytet
już nie imponuje?**

Grzesik, Kosmulski:
Liderzy cytowań

Kiklewicz:
Uczony w sieci

Zalewska:
Jak zarządzać jakością

**8. Śląski
Festiwal Nauki Katowice**
7–9 grudnia 2024

Śląski
Festiwal
Nauki
Katowice

Nauka. Nowy przemysł Śląska



Europejskie Miasto Nauki Katowice



Finansowane przez
Unię Europejską

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Nagrody FNP 2024: Kraków wzięły połowę	6
Dawne epidemie a modele na przyszłość	7
Recenzenci z losowania – Grzegorz Węgrzyn	8
To nie jest gra o sumie zerowej – Krzysztof Leja	9
Nie zapominajmy o kształceniu – Robert Musiałkiewicz	10
Więcej na akademiki	11
Inkluzywna przyszłość – Piotr Biegasiewicz	12
Wspaniała siódemka – Marek Kosmułski	13
Polscy naukowcy wciąż w ogniu – Wit Grzesik	14
Powstanie polska baza czasopism?	17
Szkolnictwo wyższe w 2023 roku wg GUS	18
Wielu badaczy zapomina o tym, kiedy publikuje po angielsku – artykuł sponsorowany	19
Uniwersytet kształtuje rzeczywistość – Alojzy Nowak	20
NCN CHANCE – Kryzys i Dobrobyt	21
Miejsce spotkań liderów – Jerzy Woźnicki	22
Strefa bezpieczeństwa – Łukasz Sułkowski	22
Leszek Szaruga już nic nie napisze	76

ROZMOWA FORUM

PKA powinna być podmiotem prawnym – rozmowa z dr. hab. inż. Januszem Uriaszem, prof. Politechniki Morskiej w Szczecinie, przewodniczącym PKA	24
---	----

DLACZEGO UNIWERSYTET JUŻ NIE IMPONUJE?

Utracony prestiż uniwersytetu? – Ewa Chmielecka	26
Profesor czy menedżer? – Krzysztof Koehler	30
Autorytet w świecie nadmiaru – Aleksandra Ziemińska-Buczyńska	33
Kryzys uniwersytetu? – Wojciech Gizicki	36
Spadkowi zainteresowania można zaradzić – Grzegorz Ostasz	39

ŻYCIE NAUKOWE

Globalizacja a komunikacja w nauce – Aleksander Kiklewicz	44
--	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Akademicy celebryci, celebrycy i halabardnicy – Zbigniew Drozdowicz	47
--	----

Nowy Bauhaus? – rozmowa z prof. Antonim Taraszkiewiczem, architektem z PG	50
--	----

Publikuj lub giń

Na skróty – Marek Misiak	55
-----------------------------	----

Z LABORATORIÓW

Złożona natura marek korporacyjnych – Hanna Górską-Warsewicz	59
Energetyka jądrowa jest koniecznością. Cz. 2 – Ryszard Bartnik	63
Tanią w gronkowca – Szymon Sękowski, Ewa Olchowik-Grabarek, Izabela Świącicka, Maria Zamarajewa	68
Elementy metod zarządzania jakością w szkolnictwie wyższym – Elżbieta Zalewska	70

W STRONĘ HISTORII

Portrety nauki polskiej

Profesorka od szczepionki – Marcelina Smużewska	74
--	----

OKOLICE NAUKI

Książki

Przeszłość i przyszłość Ziemi – Justyna Jakubczyk	77
Wielki teatr świata – Marek Misiak	77
Polska poza Polską – Marcin Lutomiński	78
Nowe wartości – Anna Jawor	78
W pińskiej marynarce – Bogdan Bernat	79
O malowidłach stylu ruskiego – Juliusz Gałkowski	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Pakowanie, czyli przygotowanie do wykładu – Piotr Müldner-Nieckowski	80
---	----

Projekt okładki – Sławomir Makal	
----------------------------------	--

FORUM
AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXXI Nr 11 (372) Listopad 2024

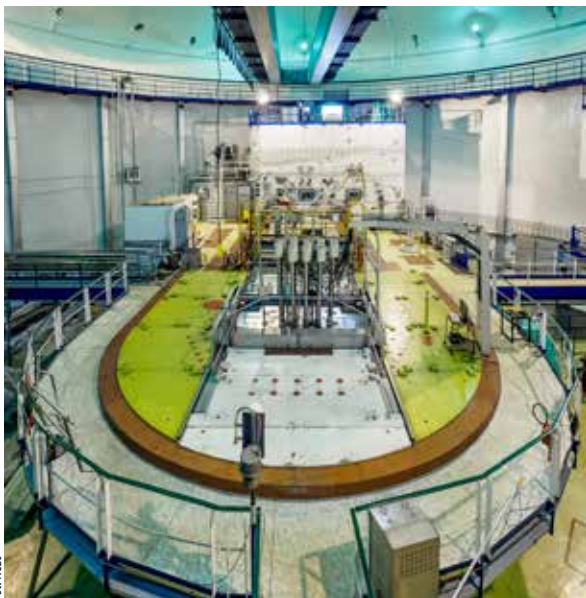
Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasz Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. Rada Patronacka: prof. dr hab. Wiesław Banys, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wronski (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl), Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasz Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: https://forumakademickie.pl/dla-autorow/. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

MEiN

Projekt „Forum Akademickie – środowisko ogólnopolskiej debaty akademickiej” finansowany jest ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Edukacji i Nauki w ramach Programu „Społeczna odpowiedzialność nauki II”.

MARIA ma 50 lat

OTWOCK Jedyny w Polsce badawczy reaktor jądrowy nosi nazwę MARIA na cześć Marii Skłodowskiej-Curie. Znajduje się na terenie Narodowego Centrum Badań Jądrowych w Otwocku–Świerku. Działa już 50 lat. Jego budowę rozpoczęto w czerwcu 1970 roku, a w grudniu 1974 uruchomiono go po raz pierwszy. Został zbudowany wyłącznie siłami polskich specjali-



Fot. NCBJ

stów. To reaktor kanałowo-basenowy o mocy cieplnej 30MW. MARIA nie produkuje energii elektrycznej, ale dzięki niej można napromienić izotopy niezbędne do ratowania ludzkiego życia, wytwarzać nowe materiały dla różnych sektorów gospodarki, prowadzić badania fizyczne, jak również szkolić kadry na potrzeby branży jądrowej. W 1964 roku został opracowany program wykorzystania polskiego reaktora badawczego MARIA. Miał być przeznaczony do prowadzenia badań fizycznych na wiązkach neutronów, badań radiochemicznych oraz badań materiałowych. Obecny program użytkowy reaktora MARIA niemal dokładnie odpowiada programowi wykorzystania, który zaproponowano przed rozpoczęciem jego budowy.

Ósmy honorowy

ŁÓDŹ Prof. Bogusław Buszewski, wybitny specjalista z zakresu chemii



Fot. NCBJ

analizy, bioanalizy i chemii środowiskowej, otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki Łódzkiej. To już ósmy honorowy tytuł dla tego badacza. Prof. Buszewski należy do grona najczęściej cytowanych polskich chemików (27 tys. cytowań, Indeks Hirscha 73). Ma znaczne sukcesy w zakresie nowoczesnych metod wyodrębniania, rozdzielania i identyfikacji związków chemicznych. Jest twórcą międzynarodowej szkoły naukowej na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Opublikował prawie 800 prac i uzyskał 58 patentów. Wypromował blisko 50 doktorów, połowa z nich uzyskała habilitację. Jest autorem wdrożeń patentowych dotyczących technologii wykorzystania mikroorganizmów w biosyntezie nanokompozytów, nowej generacji opatrunków dla trudno gojących się ran czy przemysłowej produkcji substancji biologicznie aktywnych z polskich roślin uprawnych. Prof. Buszewski jest twórcą Kujawsko-Pomorskiego Centrum Naukowo-Technologicznego im. prof. Jana Czocharalskiego. Był członkiem Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów, wiceprzewodniczącym Rady Doskonałości Naukowej, prezesem Zarządu Polskiego Towarzystwa Chemicznego. Jest członkiem Polskiej Akademii Nauk oraz Europejskiej Akademii Nauk i Sztuk Pięknych.

Najwyższa godność akademicka dla francuskiej filozofki

LUBLIN Prof. Chantal Delsol, wybitna francuska filozofka polityki, otrzymała tytuł doktora honoris causa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Uehonorowano ją za wierną służbę prawdzie. – Jej odważne myślenie uczy nas pielęgnowania tego, co w naszej ludzkiej kondycji najbardziej kruche i zamazywane, a zarazem najbardziej wartościowe i istotne: Bożego obrazu, fundamentu naszego osobowego bytu – powiedziała w laudacji prof. Agnieszka Kijewska z Instytutu Filozofii KUL. Prof. Delsol wygłosiła wykład *Misja i osoba świadka*, nawiązujący do jej ostatniej książki *Koniec świata chrześcijańskiego. Inwersja normatywna i nowa era*. Przekonywała w nim, że prawda nie jest mitem. Nawiązywała do ewangelicznej zasady przesłania chrześcijańskiego. Uroczystość miała miejsce podczas Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej. Prof. Delsol jest założycielką Instytutu Badań im. Hannah Arendt, dyrektorką Ośrodka Studiów Europejskich na Uniwersytecie Marne-la-Vallée w Paryżu. Prowadzi rozległą współpracę z instytucjami naukowymi Europy Środkowo-Wschodniej, w tym z KUL.

Nowe Centrum Dioscuri na UJ

KRAKÓW Na Wydziale Matematyki i Informatyki UJ otwarto Centrum Dioscuri w Zakresie Spacerów Losowych w Geometrii i Topologii. Grupą badawczą w nowo utworzonym centrum kieruje dr Michał Frączyk. Głównym zadaniem nowo powstałego Centrum Dioscuri będzie stworzenie probabilistycznych i dynamicznych metod do rozwiązania kilku otwartych problemów dotyczących przestrzeni lokalnie symetrycznych, krat arytmetycznych, grup klas odwzorowań i grup odwzorowań przekładania odcinków. Przestrzenie lokalnie symetryczne są obiektami geometrycznymi o niezwykle bogatej strukturze, leżącymi na skrzyżowaniu współczesnej teorii liczb, teorii reprezentacji, a także dynamiki jednorodnej. Program Dioscuri, powstały z inicjatywy Towarzystwa Maxa Plancka, ma na celu utworzenie w Europie Środkowej i Wschodniej grup badawczych zdolnych do konkurowania na poziomie międzynarodowym. Każde z Centrów Dioscuri otrzyma w ciągu 5 lat finansowanie w kwocie 1,5 mln euro. Przedsięwzięcie zarządzane jest wspólnie przez Towarzystwo Maxa Plancka oraz Narodowe Centrum Nauki. Koszty ponoszone są w równym stopniu przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego RP oraz Ministerstwo Edukacji i Badań Naukowych Republiki Federalnej Niemiec, natomiast instytucje przyjmujące z Polski dostarczają koniecznej infrastruktury badawczej. Łącznie w Polsce ma powstać 10 Centrów Dioscuri, w tym 3 na Uniwersytecie Jagiellońskim. Oprócz nowego są to Centrum Dioscuri Dynamiki Strukturalnej Receptorów pod kierunkiem dr. Przemysława Nogłego oraz Centrum Dioscuri do Modelowania Modyfikacji Potranslacyjnych pod kierunkiem dr. Mateusza Sikory.

Krystian Zimmerman doktorem honorowym

ŁÓDŹ Krystian Zimmerman otrzymał najwyższą godność akademicką Akademii Muzycznej im. Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów. Senat łódzkiej uczelni uhonorował wybitnego pianistę „w dowód uznania szczególnych zasług maestro Krystiana Zimmermana. Maestro jest jednym z najwybitniejszych współczesnych pianistów o międzynarodowej sławie. To wielki admirał i propagator muzyki polskiej, którego wspaniałe osiągnięcia artystyczne, niezwykle talent, kultura symfoniczna, mistrzowska sztuka interpretacyjna oraz filantropijna działalność pozwalają uznać za luminarza kultury”. Podczas uroczystości uzasadnienie odczytała prof. Elżbieta Aleksandrowicz, rektor AM w Łodzi. Prof. Piotr Paleczny w laudacji przypomniał bezdyskusyjne zwycięstwo Zimmermana w Konkursie Chopinowskim w 1975 roku, które odtworzyło mu drogę do światowej kariery. Wystąpienie zakończył nawiązaniem do słów św. Tomasza z Akwinu: „Piękno wymaga spełnienia trzech warunków. Pierwszym jest pełnia, czyli doskonałość rzeczy; drugim – właściwa proporcja, czyli harmonia; trzecim zaś blask. Nie mam wątpliwości, że osobowość i sztuka maestro Krystiana Zimmermana w najwyższym stopniu spełnia te wymagania”. Szczególne miejsce w arty-



foto: B. Bartczak

stycznym dorobku laureata zajmuje twórczość patronki uczelni Grażyny Bacewicz, o czym K. Zimerman wspominał w swoim wystąpieniu. Wyraził też podziękowanie dla swojego mistrza, prof. Andrzeja Jasińskiego, obecnego na uroczystości. Zimerman otrzymał wcześniej doktoraty honoris causa swojej macierzystej uczelni – Akademii Muzycznej w Katowicach oraz Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie.

Doktorat h.c. – prof. Małgorzata Witko

LUBLIN Prof. Małgorzata Witko dołączyła do grona doktorów honoris causa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.



foto: B. Prohl

Senat UMCS uhonorował ją za wybitne osiągnięcia naukowe prowadzące do zastosowania metod chemii teoretycznej do badania katalizatorów i mechanizmów reakcji katalizacyjnych, a także za długoletnią i owocną współpracę z pracownikami Wydziału Chemii UMCS. Prof. Witko jest członkiem Polskiej Akademii Nauk, Academia Europaea oraz European Academy of Sciences. Jest delegatką Polski w European

Federation on Catalysis Societies, była też wiceprezesem EFCATS oraz w IUPAC; należy do Rady Dyrektorów European Institute on Catalysis. Była członkiem Paneli IV i V European Research Council. Została wybrana w skład The International Association of Catalysis Communities Council. W związku z obchodami 80-lecia uniwersytetu uczona otrzymała także pamiątkową statuetkę z wizerunkiem patronki UMCS. Prof. Witko, wieloletnia dyrektorka Instytutu Katalizy i Fizykochemii Powierzchni PAN, została 88. doktorem honoris causa UMCS. W 2016 r. tytuł doktora honoris causa nadała jej Politechnika Rzeszowska.

Ponad granicami

SZCZECIN W Uniwersytecie Szczecińskim odbyło się sympozjum rektorów publicznych uczelni obszaru pogranicza polsko-niemieckiego. Prof. Waldemar Tarczyński, rektor USz, zwrócił uwagę na nowy kontekst współpracy polsko-niemieckiej: – Rozwój regionu i problemy środowiskowe nie zamykają się w granicach państwowych, musimy wymieniać się wiedzą i doświadczeniami, jeśli chcemy je skutecznie rozwią-



foto: USz

zywać. Rektor Hochschule Neubrandenburg prof. Gerd Teschke zwrócił uwagę na konieczność zintegrowania środowisk naukowych po obu stronach granicy, a rektor Uniwersytetu w Greifswaldzie prof. Katharina Riedel podkreśliła rolę uniwersytetów w kreowaniu współpracy polsko-niemieckiej w obszarze kultury. Uczestnicy sesji zadeklarowali rozpoczęcie pracy nad stworzeniem sieci uczelni pogranicza polsko-niemieckiego Meklemburgii Pomorza Przedniego, Pomorza Zachodniego i Brandenburgii. Dr Paweł Bartnik, reprezentujący Stowarzyszenie Gmin Polskich Euroregionu Pomerania, podkreślił znaczenie takiego porozumienia w pracach nad ustalaniem nowej perspektywy finansowej funduszy regionalnych. – Funkcjonujemy w innym świecie niż 10 lat temu – mówił w podsumowaniu dr hab. Maciej Kowalewski, prof. USz, kierownik Katedry UNESCO na rzecz zrównoważonego rozwoju społecznego, organizatora sympozjum. – Żyjemy w czasie polikryzysów, czyli kryzysów występujących jednocześnie na różnych polach. Problemy globalnej ekonomii, konflikty zbrojne, zagrożenia środowiskowe manifestują się na poziomie regionalnym i powinniśmy je badać wspólnie.

Nagroda im. Jana Długosza

KRAKÓW Laureatem 27. Konkursu o Nagrodę im. J. Długosza, organizowanego w ramach Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie®, został Piotr Pytlakowski, dziennikarz tygodnika „Polityka”, autor książki *Strefa niepamięci* wydanej przez Wydawnictwo Agora. W konkursie towarzyszącym Targom Książki w Krakowie nagradzane są dzieła polskich autorów z dziedziny szeroko rozumianej humanistyki, wnoszące istotny wkład w rozwój światowej nauki i kultury. Do 2022 roku konkurs koncentrował się na literaturze naukowej, od 2023 roku do udziału zapraszani są również autorzy książek popularnonaukowych. W gronie nominowanych do nagrody znaleźli się też: dr Magdalena Chułek (UW), *Jak wytwarzany jest slums? Studium przypadku mieszkańców Kibery i Korogocho w Nairobi* Wydawnictwo Naukowe UM, seria Monografie FNP; Ryszard Jamka, *Panów piłą. Trzy legendy o Jakubie Szeli*, Wydawnictwo Marginesy; dr hab. prof. ISP PAN Paweł Kowal, *Abakanowicz. Trauma i sława*, Wydawnictwo Agora; dr hab. Adam Leszczyński, prof. Uniwersytetu SWPS, *Obrońcy pańszczyzny*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa; prof. Waldemar Łazuga, *Uwikłani w przeszłość*, Zys i S-ka Wydawnictwo; prof. Ewa Pałasz-Rutkowska, *Dzieje kultury japońskiej*, Wydawnictwo Naukowe PWN; dr hab. Marcin Trzęsiok, prof. AM w Katowicach, *Muzyka doświadczenia. Eseje i studia*, PWM; prof. Elżbieta Wichrowska, *Zapisy codzienności... O dziewiętnastowiecznych dziennikach choroby i osobistych szkicownikach malarskich*, Wydawnictwa UW; dr Jagoda Wierzejska, *Była wschodnia Galicja w Polsce, Polska w byłej wschodniej Galicji. Obraz (wielo)narodowej prowincji w międzywojennej literaturze polskiej*, Wydawnictwa UW.

Ranking europejskich uczelni i dyscyplin technicznych

WARSZAWA Fundacja Edukacyjna Perspektywy jest znana z tworzenia od 25 lat Rankingu szkół wyższych. Od kilku wyszła na międzynarodowe wody, tworząc ranking europejskich uczelni technicznych – Enginrank. Ogółem ranking uwzględnia 184 uczelnie z 29 państw, w tym 18 z Polski. W 2024 roku w pierwszej dziesiątce (faktycznie jedenaste) najlepszych uczelni technicznych Europy znalazły się kolejno: Technical University of Denmark, Delft University of Technology (Holandia), KU Leuven (Belgia), ETH Zurich (Szwajcaria), KTH Royal Institute of Technology (Szwecja), Technical University of Munich (Niemcy), Chalmers University of Technology (Szwecja), Polytechnic University of Milan (Włochy), RWTH Aachen University (Niemcy), Swiss Federal Institute of Technology Lausanne, Norwegian University of Science and Technology. W pierwszej setce zestawienia znajduje się 7 uczelni z Polski. Najlepszą polską uczelnią techniczną jest Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, która w rankingu ogólnoeuropejskim zajęła 48 miejsce. Kolejne pozycje zajmują: Politechnika Gdańska (64), Politechnika Warszawska (64), Politechnika Śląska w Gliwicach (64), Politechnika Wrocławska (78), Politechnika Poznańska (96), Politechnika Łódzka (96). Perspektywy zran-



fot. Perspektywy

gowały także 7 dyscyplin inżynierskich. Wśród polskich uczelni w rankingu by subject AGH zajęła najlepsze miejsca w: inżynierii medycznej – 18, materiałowej – 20, elektrycznej, elektronice i informatyce – 34, środowiska – 52 i mechanicznej – 66. W zakresie inżynierii lądowej najlepszą polską uczelnią okazała się Politechnika Śląska na 24 miejscu, a w chemicznej Politechnika Wroclawska na 29 pozycji.

Zeroemisyjny H2H

KRAKÓW Bolid H2H (Hydrogen Hybrid) ma hybrydowy układ napędowy: silnik spalinowy, przystosowany do zasilania wodorem oraz silnik elektryczny. Obliczeniowa prędkość maksymalna bolidu „H2H” wynosi 180



fot. PK

km/h, ale to zeroemisyjność jest największą zaletą konstrukcji. Połączenie zasilania wodorem i energią elektryczną pozwala na radykalne zmniejszenie emisji toksycznych składników spalin. Dzięki odzyskaniu części energii kinetycznej pojazdu w trakcie hamowania, hybrydowy układ napędowy pozwala na zwiększenie wykorzystania energii zawartej w paliwie zasilającym pojazd. Taka może być przyszłość motoryzacji w dobie transformacji energetycznej. Bolid w całości jest dziełem 10-osobowego zespołu studentów z Koła Naukowego „Silniki Spalinowe”, działającego przy Katedrze Pojazdów Samochodowych na Wydziale Mechanicznym Politechniki Krakowskiej. Opiekunami Koła są dr inż. Łukasz Rodak, który pomagał zespołowi od strony koncepcyjnej i silnikowej oraz dr inż. Krzysztof Weigel-Milleret, odpowiedzialny za nadzór nad układem kierowniczym, hamulcowym, zawieszeniem i przeniesieniem napędu. Całkowity koszt konstrukcji bolidu „H2H” zespół ocenia na od 60 do 80 tysięcy złotych. Pojazd ma status tzw. nośnika technologii, będzie używany do prowadzenia zajęć dydaktycznych i badań naukowych.

UAM, ANS i medycyna

POZNAŃ/PIŁA Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i Akademia Nauk Stosowanych im. Stanisława Staszica w Pile będą współpracować w zakresie nauk medycznych i nauk o zdrowiu. Rektorzy obu uczelni, prof. Bogumiła Kaniewska oraz prof. Donat Mierzejewski, podpisali umowę, która mówi, że głównym obszarem wspólnych działań mają być studia na kierunku lekarskim prowadzone w Pile przez UAM, które rozpoczną się po uzyskaniu zgody ministra nauki. – Dziękuję za tak

duże wsparcie zarówno piłskiej ANS, jak i władzom regionu, które widzą potrzebę utworzenia tutaj kierunku lekarskiego. Realizacja tego projektu przysłuży się nie tylko obydwu uczelniom, ale także całemu regionowi. Chcemy dobrze przygotować się do uruchomienia tego kierunku, współpracując w tym zakresie również z Uniwersytetem Medycznym w Poznaniu. Wierzę, że uda się stworzyć wielkopolską markę w zakresie kształcenia medycznego – powiedział rektor Kaniewska. – Umowa stanowić będzie korzystną podstawę do rozwoju współpracy także w obsza-



fot. ANS/Paulina Michałek-Komorowska

rze badań naukowych i organizacji wspólnych konferencji i sympozjów – skomentował prof. Tadeusz Wallas, pełnomocnik rektora UAM ds. rozwoju uczelni.

Doktorat h.c. – prof. Roman Jaeschke

KRAKÓW Wybitny specjalista w dziedzinie chorób wewnętrznych, epidemiolog, biostatystyk prof. Roman Jaeschke otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego za wkład w rozwój metodologii badań naukowych w medycynie klinicznej i wykorzystanie ich wyników w praktyce, badania w zakresie intensywnej terapii, w szczególności nad sepsą, działalność na rzecz UJ poprzez tworzenie wspólnych projektów badawczych oraz wspieranie rozwoju młodych naukowców. Roman Jaeschke prowadził badania na Uniwersytecie w Heidelbergu



fot. Anna Wojnar

oraz w McMaster University w Hamilton (Ontario, Kanada). Uczestniczył w tworzeniu i twórczo rozwijał koncepcję medycyny opartej na danych naukowych (Evidence Based Medicine). Współtworzył koncepcję tzw. piramidy danych naukowych, odzwierciedlającą ich wiarygodność w zależności od źródła lub metodologii badania, która do dzisiaj stanowi jeden z głównych dogmatów metodologicznych praktyki klinicznej. Ma ogromne zasługi dla rozwoju i propagowania EBM w Polsce. W 2003 roku współtworzył wraz z dr. Piotrem Gajewskim Polski Instytut Evidence Based Medicine (PIEBM). Dzięki wsparciu prof. Jaeschkego powstał w 2015 roku na Wydziale Lekarskim UJ CM Ośrodek Przeglądów Systematycznych, filia polskiej Cochrane Collaboration, a w 2019 GRADE (Grading of Recommendations Assessment, Development and Evaluation) Centre.

Nagroda Radziszewskiego

LUBLIN Ks. prof. Mirosław Kalinowski, rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, odebrał Nagrodę im. ks. Idziego Radziszewskiego. Wręczono mu ją „za zasługi naukowe w duchu chrześcijańskiego humanizmu, ale też za całokształt pracy, który korespon-



duże z wartościami i ideami krzewionymi przez patrona nagrody”. Prof. Zbigniew Izdebski podkreślił w laudacji działalność rektora KUL na rzecz godności człowieka oraz szeroko pojętej humanizacji życia. Jako przykłady podał działalność hospicyjną rektora, a także pracę z osadzonymi w lubelskim areszcie śledczym. Przywołał też ważny wątek wspierania przed laty przez laureata osób dotkniętych proble-

blemem narkomanii i doświadczonych HIV i AIDS (to właśnie KUL zaczął szkolić profesjonalnych, certyfikowanych terapeutów). Najnowszym przykładem walki ks. prof. Kalinowskiego o lepsze ludzkie jutro jest zaangażowanie w proces humanizacji medycyny oraz dialog w ramach Areopagu, czyli organizowanych przez niego cyklicznych debat akademickich na ważne społecznie tematy. Nagroda której patronem jest pierwszy rektor KUL, jest przyznawana od 1974 r. przez Towarzystwo Naukowe KUL za wybitne osiągnięcia naukowe w duchu humanizmu chrześcijańskiego.

Nagrody Marii Curie i Jerzego Giedroycia

LUBLIN Podczas inauguracji nowego roku akademickiego na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej wręczono dwie nagrody naukowe. Po raz dziesiąty wręczono Nagrodę Naukową Marii Curie, którą naukowcy honorowani są za wyjątkowo ważne dla danej dyscypliny osiągnięcia i odkrycia naukowe uzyskane w ostatnim roku, szczególnie: oryginalne opublikowane prace naukowe, istotne dla dalszego rozwoju danej dyscypliny, monografie naukowe, patenty, wynalazki i rozwiązania technologiczne oraz nowe metody badań. Liczy się wartość naukowa osiągnięcia, jego znaczenie dla rozwoju nauki i gospodarki oraz spodziewana użyteczność. Nagrodę przyznano zespołowi z Uniwersytetu Medycznego w Lublinie w składzie: prof. Katarzyna Klimek, prof. Grażyna Ginalska i prof. Marta Tarczyńska-Osiniak za odkrycie OsteoChondralu Graftu – biomimetycznego dwufazowego biomateriału chrzęstno-kostnego do wykorzystania w ortopedii i traumatologii. Nagrodę im. Jerzego Giedroycia za badania nad dziedzictwem paryskiej „Kultury” lub za twórczą kontynuację przesłania Jerzego Giedroycia w dziedzinie nauki przyznano po raz 24. Laureatem został prof. Grzegorz Motyka, dyrektor Wojewódzkiego Biura Historycznego, za książkę pt. *Akcja „Wisła” ’47. Komunistyczna czystka etniczna* (Wydawnictwo Literackie, 2023).

Szpital kliniczny PBS

BYDGOSZCZ Wielospecjalistyczny Szpital Miejski został przekazany Politechnice Bydgoskiej. Porozumienie o zmianie podmiotu tworzącego lecznicę podpisano 8 listopada b.r. Zgodę na przekazanie placówki uczelni wyrazili bydgoscy radni. Podpisanie dokumentu wymagało także zgody Ministerstwa Zdrowia oraz Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego.



W najbliższym czasie zostanie uchwalony nowy statut szpitala. Placówka zmieni nazwę na Szpital Kliniczny im. dr. Emila Warmińskiego Politechniki Bydgoskiej. - Chcemy, aby Szpital Kliniczny służył przede wszystkim jak najlepiej mieszkańcom miasta, będąc jednocześnie miejscem zdobywania wiedzy i doświadczenia przez przyszłych medyków. Podniesienie rangi placówki ze szpitala powiatowego do szpitala klinicznego stwarza szansę na rozwój infrastruktury i rozwój kadry medycznej – mówi prof. Marek Adamski, rektor Politechniki Bydgoskiej. Już w październiku 2024 roku na terenie szpitala otwarto zmodernizowane przez uczelnię prosektorium anatomii prawidłowej. Na kolejne inwestycje w infrastrukturę na potrzeby kształcenia medycznego uczelnia pozyskała blisko 70 mln zł. Na rozwój kształcenia na kierunku lekarskim przeznaczy kolejne 10 mln zł, o które skutecznie aplikowała w NCBR. W październiku br. kształcenie na kierunku lekarskim rozpoczęła pierwsza 60-osobowa grupa studentów.

Nominacje do Nagrody Kotarbińskiego 2024

Już 1 grudnia nastąpi rozstrzygnięcie X Konkursu o Nagrodę im. Pierwszego Rektora Uniwersytetu Łódzkiego Prof. Tadeusza Kotarbińskiego



za wybitną pracę naukową z zakresu nauk humanistycznych. Do finału jubileuszowego konkursu Kapituła nominowała następujące dzieła: dr Magdaleny Chułek *Jak wytwarzany jest slums? Studium przypadku mieszkańców Kibery i Korogocho w Nairobi*, Wyd. Nauk. UMK (seria Monografie FNP); dr hab. Emilii Kleczk *Perspektywa poety. Cyganologia Jerzego Ficowskiego*, Wydawnictwo „Poznańskie studia Polonistyczne”; prof. Piotra Madajczyka *Krajobrazy biograficzne Rafała Lemkina*, Instytut Pileckiego; prof. Krzysztofa Stachewicza *Mysleć los człowieka. Studium filozoficzne*, TAIWPN Universitas; prof. Andrzeja Turowskiego *Radykalne oko. O Witkacym, Kobro, Strzebińskim, Themersonach, Żarnowerównie i innych twórcach sztuki wzbudzającej niepokój*, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie w koedycji z Wydawnictwem Słowo/obraz terytoria. Nagroda Kotarbińskiego została ustanowiona w 2015 r. przez Uniwersytet Łódzki. Na dziesięć konkursów wpłynęło 620 prac ze 145 polskich ośrodków naukowych. Dotychczasowi laureaci Nagrody to: prof. Jan Strelau, dr hab. Ewa Kołodziejczyk, dr hab. Dorota Sajewska, prof. Andrzej Friszke, prof. Grzegorz Ziółkowski, prof. Jerzy Zajadło, dr hab. Zbigniew Szmyt, dr Maciej Świerkocki, dr Jakub Gałęziowski. Nagroda dla autora najlepszej książki humanistycznej wynosi 70 tys. zł. Autor zwycięskiej pozycji, którego nazwisko poznamy podczas uroczystej gali, dołączy do elitarnego grona laureatów nagrody.

Opracował Piotr Kieraciński

Współpraca: Aneta Adamska, Ewa Chojnacka, Maciej Kowalewski, Szymon Ł. Różański, Małgorzata Syrdak-Słiwa, Robert Szwed, Agnieszka Ślęzak-Gwiżdżała, Łukasz Wspaniały
Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej
www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku  
i na platformie X

Nagrody FNP 2024: Kraków wziął połowę

W 2024 roku Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, uznawaną za najbardziej prestiżowe wyróżnienie naukowe w Polsce, zdobyło czterech badaczy: dr hab. Sebastian Glatt z Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Janusz Lewiński z Politechniki Warszawskiej, prof. Krzysztof Sacha z UJ i prof. Marcin Wodziński z Uniwersytetu Wrocławskiego. Nagrody zostały przyznane przez Fundację po raz 33.

Nagroda FNP jest przyznawana za szczególne osiągnięcia i odkrycia naukowe, które przesuwają granice poznania i otwierają nowe perspektywy poznawcze, wnoszą wybitny wkład w postęp cywilizacyjny i kulturowy naszego kraju oraz zapewniają Polsce znaczące miejsce w podejmowaniu najbardziej ambitnych wyzwań współczesnego świata. Wysokość nagrody od tego roku wzrosła i wynosi 250 tys. zł.

Dr hab. Sebastian Glatt z Małopolskiego Centrum Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego otrzymał Nagrodę FNP w obszarze nauk o życiu i o Ziemi za ustalenie struktury i funkcji kompleksu Elongator wpływającego na poprawność biosyntezy białka.

Prof. dr hab. inż. Janusza Lewińskiego z Wydziału Chemicznego Politechniki Warszawskiej i Instytutu Chemii Fizycznej PAN wyróżniono w obszarze nauk chemicznych i o materiałach za opracowanie mechanochemicznych metod syntezy perowskitów poprawiających ich właściwości fotowoltaiczne.

Prof. dr hab. Krzysztof Sacha z Instytutu Fizyki Teoretycznej UJ został nagrodzony w obszarze nauk matematyczno-fizycznych i inżynierskich za sformułowanie teorii kryształów czasowych.

Prof. dr hab. Marcin Wodziński z Katedry Judaistyki Uniwersytetu Wrocławskiego otrzymał Nagrodę FNP w obszarze nauk humanistycznych i społecznych za nowatorskie studia nad chasydyzmem, wyjaśniające rolę kultury, polityki i geografii w kształtowaniu tożsamości religijnych i relacji międzyetnicznych.

Nagroda Fundacji na rzecz Nauki Polskiej jest przyznawana wybitnym naukowcom przez Radę Fundacji w drodze konkursu. Laureaci są wybierani z grona kandydatów zgłaszanych przez przedstawicieli środowiska naukowego, zaproszonych imiennie przez Radę i Zarząd FNP. Rada FNP pełni rolę Kapituły konkursu i dokonuje wyboru laureatów na podstawie opinii niezależnych ekspertów i recenzentów (głównie z zagranicy) oceniających dorobek kandydatów. Nagroda jest przyznawana w czterech obszarach: nauk o życiu i o Ziemi, nauk chemicznych i o materiałach, nauk matematyczno-fizycznych i inżynierskich oraz nauk humanistycznych i społecznych.

Nagrody FNP są przyznawane od 1992 r. Grono laureatów, łącznie z tegorocznymi, liczy już 121 osób, w tym 9 kobiet. Nagrody przyznano 33 razy, co powinno dać łącznie 132 laureatów. Wynika z tego, że jedenastokrotnie nie przyznano jej we wszystkich kategoriach: pięciokrotnie w dziedzinie nauk technicznych, dwukrotnie w dziedzinie nauk ścisłych oraz jednokrotnie w dziedzinie nauk humanistycznych i w obszarach nauk chemicznych i o materiałach, nauk o życiu i o Ziemi, nauk matematyczno-fizycznych i inżynierskich. Klasyfikacje nauk stosowane przez FNP ulegały modyfikacjom trzykrotnie. W latach 1992-2005 przyznawano je w dziedzinach. Od 1992 do 1997 w dziedzinach nauk humanistycznych, medycznych i biologicznych, ścisłych oraz technicznych. Od 1998 do 2005 w dziedzinach nauk humanistycznych i społecznych, przyrodniczych i medycznych, ścisłych oraz technicznych. Od 2006 do 2010 były przyznawane w obszarach nauk humanistycznych i społecznych, przyrodniczych i medycznych, ścisłych oraz technicznych. Od 2011 roku są przyznawane w obszarach nauk humanistycznych i społecznych, o życiu i o Ziemi, matematyczno-fizycznych i inżynierskich oraz chemicznych i o materiałach. O ile początkowo jako pierwszych Fundacja wymieniała przedstawicieli nauk humanistycznych, a potem humanistycznych i społecznych, to od roku 2012 na początku listy podaje się laureatów Nagrody w obszarze nauk o życiu i o Ziemi, a humaniści spadli na koniec listy.

Wśród laureatów są tak wybitni badacze jak: Timothy Snyder, Karol Myśliwiec, Jerzy Szacki, Jan Strelau, Andrzej K. Tarkowski, Andrzej Szczeklik, Stanisław Konturek, Leszek Kaczmarek, Zofia Kielan-Jaworowska, Stefan Swieżawski, Bohdan Paczyński, Tomasz Dietl, Ryszard Horodecki, Andrzej Udalski, Maciej Lewenstein, Krzysztof Matyjaszewski, Leon Gradoń, Marek Samoć, Marcin Drąg, Elżbieta Frąckowiak.

W obecnej kadencji w skład Rady wchodzi: prof. dr hab. Grażyna Jurkowlaniec (Uniwersytet Warszawski) – przewodnicząca, prof. dr hab. Jacek Jemielity (Uniwersytet Warszawski) – wiceprzewodniczący, prof. dr hab. Piotr Garstecki (Instytut Chemii Fizycznej PAN w Warszawie), prof. dr hab. n. med. Jacek Jassem (Gdański Uniwersytet Medyczny), prof. dr hab. Tomasz Łuczak (Uniwersytet im. A. Mickiewicza), prof. dr hab. Paweł Ostaszewski (Uniwersytet SWPS), prof. dr hab. Zofia Szwejkowska-Kulińska (Uniwersytet im. A. Mickiewicza).

Uroczystość wręczenia nagród odbędzie się 4 grudnia i będzie transmitowana on line.

DWŁ



Dr hab. Sebastian Glatt



Prof. Janusz Lewiński



Prof. Krzysztof Sacha



Prof. Marcin Wodziński

Dawne epidemie a modele na przyszłość

ERC Synergy Grant dla prof. Adama Izdebskiego

Interdyscyplinarny zespół naukowców pod kierownictwem prof. Adama Izdebskiego (na fot.) z Wydziału „Artes Liberales” Uniwersytetu Warszawskiego otrzymał grant Synergii Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych. Projekt „EUROpest: Zrozumieć na nowo rolę pandemii w przedprzemysłowej Europie (1300-1800 CE): historia, nauki przyrodnicze i uczenie maszynowe” będzie realizowany w konsorcjum, którego liderem jest Uniwersytet Warszawski. W projekcie wezmą udział naukowcy z 10 ośrodków z Europy i Stanów Zjednoczonych, a czołowymi instytucjami w projekcie są Uniwersytet w Gießen w zachodnich Niemczech, Georgetown University w Waszyngtonie oraz Instytut Maxa Plancka Antropologii Ewolucyjnej w Lipsku w Niemczech. W Polsce zespół EUROpest będzie reprezentowany przez dwie instytucje: Uniwersytet Warszawski oraz Instytut Geografii i Zagospodarowania Przestrzennego PAN, gdzie zespół pod kierownictwem prof. Michała Słowińskiego będzie odpowiadał za badania terenowe z zakresu paleoekologii na Litwie, Ukrainie i w Polsce. Prace wesprze grupa naukowa historyka gospodarczego i demografa prof. Piotra Guzowskiego z Uniwersytetu w Białymstoku.

Naukowcy z międzynarodowego zespołu projektu EUROpest zechcą zrozumieć, dlaczego ta sama fala pandemii w jednym miejscu niesie wielkie spustoszenie, a w innym nie powoduje większych szkód? Co decyduje o tym, że nie wystarczy wiedzieć, z jakim patogenem mamy do czynienia, żeby przewidzieć, co się wydarzy?

– Głównym celem naszego projektu jest odpowiedź na pytanie, dlaczego te same patogeny, zależnie od kontekstu, wywołują różne skutki biologiczne, ekologiczne, społeczne, ekonomiczne i kulturowe. Chcemy na to odpowiedzieć, badając ponad 50 różnych epi-



Fot. Mirosław Kamiński

Prof. **Adam Izdebski** jest historykiem i ekologiem. Studiował historię i psychologię na Międzywydziałowych Indywidualnych Studiach Humanistycznych na Uniwersytecie Warszawskim, ukończył także studia magisterskie z historii na Uniwersytecie w Oxfordzie. Doktorat z historii obronił na UW w roku 2011, po czym dzięki stypendium Fundacji Humboldta odbył roczny staż podoktorski na Freie Universität Berlin. Po powrocie do Polski w 2012 roku odbył staż podoktorski w Instytucie Historii UJ sfinansowany ze środków Narodowego Centrum Nauki w programie FUGA. Na tym uniwersytecie został wówczas zatrudniony i w 2020 r. uzyskał habilitację.

Od 2017 roku pracuje głównie za granicą. Najpierw w Institute of Advanced Study w Princeton, a od 2018 roku w Max Planck Institute of Geoanthropology (wcześniej Science of Human History). Prowadzi tam grupę badawczą, w skład której wchodzi historycy, archeolodzy, geolodzy i biologowie, zajmujący się historią środowiskową Europy w późnym holocenie. Ze względu na interdyscyplinarny charakter badań tytuł profesora otrzymał w dziedzinie nauk ścisłych i przyrodniczych (nauki biologiczne). Od kilku miesięcy pracuje również jako profesor ekologii człowieka i lider nowej grupy badawczej w Centrum Badania Ryzyka Systemowego na Wydziale Artes Liberales UW. Prof. Izdebski jest popularyzatorem nauki. Zajmuje się też doradztwem naukowym, brał udział m.in. w pracach Parlamentu Europejskiego nad Rozporządzeniem o odbudowie zasobów przyrodniczych.

demii w historii Europy, od Czarnej Śmierci po okres uprzemysłowienia, czyli przez ponad 500 lat, patrząc na wszystkie możliwe aspekty: od klimatu, przez genetykę, ekologię, po tak nietypowe kwestie, jak wspólny śpiew w kościele czy rodzaje noszonych czapek – mówi prof. Adam Izdebski.

Dla każdej z epidemii zespół będzie się starał wykorzystać badania historyczne i archeologiczne, aby zrekonstruować lokalne warunki życia codziennego (ubiór, mieszkanie, dietę, stan zdrowia), ale także strukturę demograficzną, wiedzę i wyobrażenia o chorobach, środki transportu i szlaki handlowe, sytuację polityczną, gospodarczą i religijną.

– Sięgnijemy także po metody archeogenetyki, żeby przebadать ofiary tych epidemii i dowiedzieć się, jakie bakterie i wirusy krążyły w ich krwiobiegu w chwili śmierci – wyjaśnia naukowiec i dodaje: – Do wiedzy historycznej i biologicznej dorzucimy wiedzę ekologiczną i klimatyczną.

Wyniki badań nad epidemiami w Europie przedprzemysłowej posłużą do zbudowania i przetestowania teorii, zmierzającej do modelowania pandemii przyszłości.

– Cała ta ogromna wiedza zostanie następnie przeanalizowana z wykorzystaniem uczenia maszynowego, dzięki czemu powstanie

model teoretyczny, który będzie miał również zastosowanie w przyszłości. Pokażemy, w jaki sposób można uwzględnić wszystkie te czynniki, żeby przewidywać ryzyko skutków przyszłych pandemii oraz ich przebiegu w Polsce i na całym świecie – wyjaśnia prof. Izdebski.

Na realizację badań, które rozpoczną się w połowie przyszłego roku, a zaplanowanych w projekcie EUROpest na 6 lat, ERC przeznaczyła 10 mln euro. To jeden z najwyższych grantów europejskich przyznanych polskiemu uczonemu po grantie Synergii ERC w wysokości 14 mln euro o nazwie „Precyzyjna kalibracja kosmicznej skali odległości w dobie wielkich przeglądów”, który w 2020 roku otrzymał prof. Grzegorz Pietrzyński z Centrum Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika PAN. EUROpest to pierwszy grant Synergii ERC dla badacza z UW, który jest w kraju liderem pod względem liczby otrzymanych grantów ERC. Jednocześnie jest to drugi grant tego rodzaju po wspomnianym powyżej projekcie CAMK PAN.

Granty ERC Synergii są przeznaczone dla naukowców i naukowców, którzy chcą realizować interdyscyplinarne projekty wymagające zaangażowania więcej niż jednego zespołu badawczego. Mogą je realizować zespoły składające się z 2–4 naukowców wraz z ich grupami badawczymi. Maksymalny okres realizacji projektów to 6 lat.

W rozstrzygniętym właśnie konkursie o Synergy Grant finansowanie otrzyma 57 grup badawczych. Projekty będą realizowane na 184 uniwersytetach i w centrach badawczych w 24 krajach Europy i poza nią. Najwięcej projektów zrealizowanych zostanie w Niemczech (34 projekty), Wielkiej Brytanii (18), Francji (13), Stanach Zjednoczonych (12), Hiszpanii (11) oraz w Niderlandach (10). Sześć projektów zdobyli naukowcy z krajów, które dotychczas uzyskały znacznie mniej grantów ERC, takich jak Czechy (2), Grecja (1), Polska (1) oraz Portugalia (1) i Węgry (1).

Łącznie z grantem Synergii dla prof. Izdebskiego do Polski trafiło już 88 grantów ERC wszystkich kategorii, w tym 48 Starting Grants, 18 Consolidator Grants, 13 Advanced Grants, 7 Proof of Concept Grants i 2 Synergy Grants.

Źródło: Biuro Prasowe UW

Recenzenci z losowania

Prof. Grzegorz Węgrzyn, zastępca przewodniczącego Rady Doskonałości Naukowej, przedstawia szczegółowo sposób wyznaczania przez Radę recenzentów w postępowaniach o nadanie stopnia doktora habilitowanego i tytułu naukowego profesora.

Mimo iż aktualne przepisy dotyczące procedur nadawania stopni naukowych i tytułu naukowego obowiązują już od ponad pięciu lat, w dalszym ciągu w środowisku naukowym panuje sporo niejasności dotyczących różnych aspektów tych postępowań. Pojawia się zatem wiele kontrowersyjnych, a często nieprawdziwych opinii na ten temat, jak również zadawane są różnego rodzaju pytania z tym związane. Jedną z kontrowersji dotyczy sposobu powoływania recenzentów. W związku z tym chciałbym krótko przedstawić, w jaki sposób wyznaczani są recenzenci w postępowaniach habilitacyjnych i profesorskich, na jakich zasadach wyłaniany są kandydaci na recenzentów i jak dochodzi do ich wyłonienia z szerszego grona przez Radę Doskonałości Naukowej.

Zgodnie z ustawą Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce RDN może powoływać i wyznaczać recenzentów jedynie na podstawie losowania z liczby kandydatów stanowiącej co najmniej trzykrotność ostatecznie wybranych recenzentów. Począwszy od ostatniej nowelizacji ustawy, losowania te, przeprowadzone przez program komputerowy, nie tylko wskazują kto z kandydatów zostanie recenzentem, ale ustawiają wszystkich kandydatów losowo w rankingu. W związku z tym recenzentami zostaje kilka pierwszych osób z wylosowanego rankingu (np. 3 osoby w przypadku wniosku habilitacyjnego, 5 osób w przypadku wniosku o tytuł profesora), natomiast kolejne pozycje wykorzystywane są, jeśli ktoś z powołanych na recenzenta osób odmówi wykonania recenzji albo z innych powodów nie może jej wykonać – wtedy nie jest potrzebne kolejne losowanie (jak było w pierwszym okresie działalności RDN), tylko powołana zostaje kolejna osoba ze wspomnianej listy rankingowej. Szczegóły procedur losowania zostawmy jednak na inny artykuł.

Co zatem dzieje się z wnioskiem habilitacyjnym lub profesorskim po wpłynięciu do RDN? Po sprawdzeniu formalnym przez Biuro Rady (i ewentualnych uzupełnieniach lub poprawkach, jeśli okażą się konieczne) wniosek trafia do Zespołu RDN odpowiadającego dziedzinie nauki, w której wniosek został złożony. Następnie kierowany jest on do przedstawicieli dyscypliny naukowej (w większości przypadków jest to trzyosobowa grupa członków Rady), w której przeprowadzane jest postępowanie. Osoby te zapoznają się z dokumentacją wniosku, w szczególności z tematyką osiągnięć naukowych kandydatów do awansu i proponują nazwiska kandydatów na recenzentów. Ich liczba zależy od rodzaju wniosku. W przypadku wniosków o tytuł profesora, proponowanych jest co najmniej 15 kandydatów, jako że Rada powołuje 5 recenzentów, zatem w ten sposób spełniany jest wymóg trzykrotności liczby kandydatów w stosunku do liczby recenzentów. We wnioskach habilitacyjnych, w których RDN wyznacza 3 recenzentów, należy zaproponować co najmniej 9 kandydatów (jako trzykrotność liczby wyznaczanych recenzentów). W przypadku odwołań od uchwał odmawiających nadania stopnia doktora albo doktora habilitowanego, a także w przypadku spraw o ponowne rozpatrzenie wniosku profesorskiego, powołuje się

2 recenzentów, zatem liczba wskazanych kandydatów wynosi co najmniej 6.

Jakie kryteria wyboru kandydatów na recenzentów stosują członkowie RDN reprezentujący daną dyscyplinę? Na początku konieczne są ścisłe wykluczenia niektórych osób, które na pewno nie mogą recenzować wniosków. Po pierwsze, w żadnym przypadku wśród kandydatów na recenzentów nie mogą znaleźć się

aktualni członkowie Rady. Oczywiście, nie są w ten sposób wykluczani byli członkowie RDN (np. z poprzedniej kadencji, którzy aktualnie nie pełnią już żadnych funkcji w Radzie). Wskazać też trzeba, że o ile w postępowaniach o tytuł profesora oraz w procedurach odwoławczych, gdzie recenzentów powołuje RDN, na pewno żaden z członków RDN nie może zostać recenzentem, to ograniczenie to nie dotyczy postępowań doktorskich i habilitacyjnych, w których recenzentów powołują odpowiednie rady naukowe uczelni bądź instytutów i one mogą powołać na recenzenta członka Rady; w przypadku postępowań habilitacyjnych dotyczy to w szczególności jednego recenzenta wyznaczonego przed podmiot habilitujący (pozostałych trzech wyznacza RDN i członkowie tego organu

nigdy nie są zawarci w tej trójce recenzentów). Drugim powodem wykluczenia jest to samo miejsce pracy wnioskodawcy i potencjalnego recenzenta. Trzecią okolicznością wykluczającą jest posiadanie wspólnych publikacji przez kandydata i potencjalnego recenzenta. Jeszcze jednym, ale już nie tak ścisłym ograniczeniem jest podejmowanie starań, aby do puli kandydatów na recenzentów nie włączać więcej niż dwóch osób z tej samej uczelni albo instytucji naukowej. Niestety, to nie zawsze jest możliwe, jeśli chcemy zapewnić jak najlepszą merytoryczną ocenę wniosku, gdyż niektóre specjalności naukowe uprawiane są w zaledwie kilku (czasami 3-4) ośrodkach naukowych, w takich szczególnych przypadkach w puli kandydatów mogą się znaleźć więcej niż 2 osoby z taką samą afiliacją.

Kluczowym kryterium przy wyborze kandydatów na recenzentów jest reprezentowana przez nich specjalność naukowa poparta publikacjami. Członkowie RDN zapoznają się zatem szczegółowo z tematyką osiągnięć wnioskodawców i dobierają na kandydatów na recenzentów osoby, których zainteresowania naukowe są jak najbliższe tematyce badań wnioskującego. Oczywiście wymogiem formalnym jest posiadanie tytułu profesora w przypadku recenzowania wniosków profesorskich albo co najmniej stopnia doktora habilitowanego w przypadku wniosków habilitacyjnych. Merytoryczny wybór kandydatów często nie jest łatwy i wymaga od członków RDN przeszukiwania różnych baz danych w celu określenia czy potencjalni kandydaci na recenzentów mają dorobek publikacyjny w tematyce zbliżonej do osiągnięć wnioskodawców. Niestety takie bazy jak POLon czy RADON nie zawierają informacji o specjalnościach naukowych albo informacje te są bardzo ogólnikowe. Stąd konieczna jest analiza danych z innych baz, np. Scopus, Web of Science, PubMed i inne. Oczywiście członkowie Rady posiłkują się także swoją wiedzą i doświadczeniem oraz znajomością tematyki badawczej różnych



naukowców. Należy jednak pamiętać, że każda dyscyplina reprezentowana jest w RDN jedynie przez 3 członków, co oznacza, że w ogromnej większości dyscyplin nie są reprezentowane wszystkie specjalności. Tym więcej pracy i czasu wymaga zatem znalezienie odpowiednich kandydatów na recenzentów.

Po zaproponowaniu kandydatów na recenzentów, informacja ta trafia na najbliższe posiedzenie Zespołu dziedzinowego. Tam kandydatury te są dyskutowane, i zdarza się, że lista jest z różnych względów modyfikowana, na przykład okazuje się, że kandydat na recenzenta ma dodatkowe miejsce pracy, o którym nie wiedziały osoby przygotowujące wstępną listę kandydatów, a które pokrywa się z miejscem zatrudnienia wnioskodawcy; czasami inni członkowie Zespołu mają informacje o podobnych zainteresowaniach naukowych osób, które nie znalazły się na wstępnej liście i wtedy skład kandydatów na recenzentów jest uzupełniany itd. Po ostatecznym zatwierdzeniu listy kandydatów na recenzentów następuje komputerowe losowanie, o którym wspominałem na początku tego tekstu, a które szerzej zostanie opisane w oddzielnym artykule.

Na koniec należy zauważyć, że oczywiście istnieją różnice w częstotliwości powoływania pewnych osób na funkcje recenzentów. Niektórzy są powoływani częściej, inni rzadziej, a jeszcze inni dotychczas nie byli powoływani wcale. Wynika to z kilku przyczyn. Po pierw-

sze losowanie recenzentów z liczby kandydatów stanowiących co najmniej trzykrotność osób powołanych powoduje, że niektórzy naukowcy co jakiś czas pojawiają się na listach kandydatów, ale nie zostają wylosowani. Inny istotny powód to duża rozpiętość liczby wniosków składanych w RDN w różnych specjalnościach naukowych. W niektórych, także w obrębie tej samej dyscypliny, wniosków spływa nawet kilka – a czasem kilkunastokrotnie więcej niż w innych. Stąd bardzo różne są czysto teoretyczne szanse na powołanie na recenzentów osób reprezentujących poszczególne specjalności naukowe, pamiętajmy bowiem, że podstawowym kryterium wyboru kandydatów na recenzentów jest ich merytoryczna kompetencja do oceny danego wniosku o stopień czy tytułu naukowy. Wreszcie ważnym czynnikiem jest aktywność naukowa potencjalnych kandydatów na recenzentów w ostatnich latach. Ponieważ poszukiwania najodpowiedniejszych kandydatów na recenzentów przeprowadzane są bardzo często przy użyciu różnych baz danych, zawierających publikacje naukowe, osoby aktywniejsze naukowo i publikujące więcej prac lub bardziej znaczące prace w danej tematyce (odpowiadającej osiągnięciom naukowym wnioskodawców) mają większe szanse bycia zauważonymi i dostania się na listę kandydatów na recenzentów niż osoby w ostatnim czasie mniej aktywne naukowo.

To nie jest gra o sumie zerowej

Dr hab. Krzysztof Leja, prof. PG, prodziekan ds. nauki Wydziału Zarządzania i Ekonomii Politechniki Gdańskiej, pisze o tym, co powinniśmy oceniać w trzecim kryterium ewaluacji.

Dobrze się stało, że z inicjatywy Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego odbyła się dyskusja w drodze do odpowiedzi na pytanie: jaka ewaluacja od 2026 r. Uczestnicy sympozjum koncentrowali się na trzecim kryterium ewaluacji, tj. wpływie wyników badań naukowych na gospodarkę i społeczeństwo w naukach humanistycznych i społecznych. W moim przekonaniu, nie sposób przecenić znaczenia tego kryterium, dlatego dobrze się stało, że z wyprzedzeniem o nim rozmawiamy. Chciałbym skoncentrować się na jednym z wielu poruszanych wątków, który uważam za kluczowy. W trakcie wprowadzenia do dyskusji jedna z pań prelegentek sformułowała pytanie: Czy w procesie ewaluacji (czyli wartościowania – przyp. aut.) powinno być oceniane to, co robimy, czy też powinniśmy robić to, co będzie oceniane? Jest to fundamentalne zagadnienie nie tylko w odniesieniu do trzeciego kryterium ewaluacji, które jest oceniane przez ekspertów, lecz również do pozostałych kryteriów. Jak łatwo się domyślić, nie znaleziono jednoznacznej odpowiedzi.

Uważam, że katalog aktywności instytucji akademickich, które można uznać za istotne dla społeczeństwa i gospodarki, powinien być bardzo pojemny, wręcz otwarty, jednak pamiętać trzeba, że ewaluacja jest wartościowaniem jakości badań naukowych, a nie całokształtu aktywności uczelni. Dlatego odejście od poszukiwania związku przyczynowo-skutkowego pomiędzy prowadzonymi badaniami a ich wpływem na otoczenie, moim zdaniem byłoby nietrafne. Nie oznacza to w żadnym razie, że nasza aktywność dydaktyczna nie ma wpływu na otoczenie społeczne i gospodarkę, przeciż kształcimy, kierując się m.in. oczekiwaniami rynku pracy. Jak

pisal Wojciech Gasparski, aby działania podejmowane przez refleksyjnych praktyków (absolwentów szkół wyższych) były „sprawne na miarę czasów”, powinny ich cechować metaumiejętności, wśród których wyróżnił zdolność zdobywania nowych umiejętności. Dydaktyka akademicka jest nierozłączna z prowadzonymi badaniami naukowymi.

To oczywiście. Ale ewaluacji podlega jakość pracy naukowej.

Niezależnie od ułomności trzeciego kryterium ewaluacji, proponowałbym pochylić się nad stwierdzeniem, że uniwersytet jest organizacją służącą otoczeniu, o czym pisał Igor Ansoff kilkadziesiąt lat temu. Jeśli tak uznamy, naszym obowiązkiem jest wsłuchiwanie się w oczekiwania interesariuszy uczelni, tj. społeczeństwa, gospodarki, sektorów publicznego i społecznego, rządu i samorządu oraz, co oczywiście, interesariuszy wewnętrznych. Następnym krokiem powinno być kreowanie przez organy przedstawicielskie uniwersytetu propozycji ram prawnych funkcjonowania uczelni. I wreszcie zapewnienie uczelni – przy obowiązujących regulacjach prawnych – zdolności adaptacyjnych jako odpowiedzi

na oczekiwania interesariuszy.

Moja odpowiedź na pytanie sformułowane na wstępie jest następująca: W procesie ewaluacji powinno być oceniane to, co robimy, jednak robiąc to, powinniśmy mieć na uwadze fakt, że uczelnia jest organizacją służącą otoczeniu. M.E. Porter i M. Kramer przed niemal dwudziestoma laty stwierdzili, że sukces korporacji i dobro społeczne nie są grą o sumie zerowej. Uniwersytet nie jest i, mam nadzieję, nie będzie korporacją, ale jego sukces i dobro otoczenia społeczno-gospodarczego również nie są grą o sumie zerowej.



Nie zapominajmy o kształceniu

Dr Robert Musiałkiewicz, prawnik, rektor Państwowej Akademii Nauk Stosowanych we Włocławku i przewodniczący Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych postuluje – podobnie, jak w numerze październikowym FA prof. S. Gałkowski – przywrócenie kształceniu należnej wagi w działalności uniwersytetu oraz proponuje stworzenie krajowej strategii kształcenia na poziomie wyższym, dokumentu o podobnej randze, co Polityka Naukowa Państwa.

W obecnej dyskusji nad reformą polskiego szkolnictwa wyższego i nauki dominują zagadnienia związane z badaniami naukowymi, a w szczególności zasadami ewaluacji działalności naukowej. Pamiętajmy jednak, że szkolnictwo wyższe obejmuje również proces kształcenia, którego nie można sytuować w pozycji podrzędnej wobec procesu badawczego. Wykształcone społeczeństwo odgrywa nie mniejszą rolę w rozwoju gospodarczym i społecznym państwa niż odkrycia naukowe. Można zadać pytanie, czy na obecny kształt naszego państwa i jego rozwój bardziej wpłynęły efekty polskich badań naukowych, czy to, że w ciągu ostatnich trzech dekad wskaźnik scholaryzacji na poziomie wyższym wzrósł kilkakrotnie.

Nie możemy zapominać i zaniedbywać doskonalenia jakości kształcenia, którego formy i treści zmieniają się wraz z postępem technologicznym i zmianami w gospodarce. Obserwujemy zmianę oczekiwań edukacyjnych młodzieży, na której wychowanie w istotny sposób wpływają nowoczesne technologie oraz funkcjonowanie w e-społeczeństwie. Zwiększa się skala świadomej rezygnacji ze studiów przed uzyskaniem dyplomu. Dziś w zasobach internetowych można znaleźć wykłady, ćwiczenia i laboratoria niemal z każdego obszaru, a także poradniki obrazujące, jak rozwiązać określony problem. Istnieją możliwości kształcenia pozaformalnego, dostępu do elektronicznych baz danych, czasopism naukowych i książek elektronicznych. Uczelnie utraciły monopol na dostęp do wiedzy, co – choć może brzmieć boleśnie – powoduje, że konkurują z ofertami e-wiedzy. Wydaje się, że z roku na rok ta konkurencja będzie dla nich coraz trudniejsza.

Mówiąc o reformowaniu sektora akademickiego, musimy dyskusja nad kształceniem w przyszłości. Powinniśmy odpowiedzieć na pytania, czy obecna formuła kształcenia wyższego, przyjęta w ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, jest właściwa. Środowisko akademickie przede wszystkim powinno podejść krytycznie do siebie, do roli nauczyciela i mentora, jaką obecnie pełni. W uczelniach akademickich zasady ewaluacji działalności naukowej definiują codzienne obowiązki nauczycieli akademickich. Proces dydaktyczny schodzi na dalszy plan. Czy takie postawienie sprawy nie deprecjuje kształcenia studentów? Warto powrócić do dyskusji nad stanowiskami dydaktycznymi. Czy powinny być zarezerwowane dla tych, którzy są gorszymi naukowcami, czy dla tych, którzy są lepszymi dydaktykami? Czy awans na stanowisko profesora uczelni w praktyce (nie de iure) powinien być przyznawany również za osiągnięcia dydaktyczne?

Wydaje się, że należy także rozmawiać o zasadach ewaluacji jakości kształcenia, które dziś mają niemal tożsamą formę dla kształcenia na profilu praktycznym i na profilu akademickim. Obecnie decydujący głos o przyznaniu akredytacji kierunkom o profilu praktycznym mają nauczyciele akademicy reprezentujący uczelnie akademickie. Czy tak być powinno? Sama Polska Komisja Akredytacyjna wymaga reformy (na co słusznie wskazywał na łamach „Forum Akademickiego” dr hab. Jakub Brdulak, sekretarz PKA). Z jednej strony

reformy powinny zmierzać w kierunku zwiększenia jej niezależności politycznej, a z drugiej – wprowadzenia mechanizmów odpowiedzialności za wydawane opinie.

Kolejnym tematem jest problem relacji kształcenia na poziomie wyższym i potrzeb gospodarczych państwa. Czy sektor szkolnictwa wyższego nie powinien w większym stopniu uwzględniać obecnych i przyszłych potrzeb kadrowych gospodarki, administracji, sektora edukacji? Przykładem może być kształcenie nauczycieli. Średni wiek nauczyciela w Polsce wynosi 46 lat, a pięć grup nauczycielskich w Barometrze Zawodów na rok 2024 znalazło się w grupie zawodów deficytowych (tj. nauczyciele praktycznej nauki zawodu, nauczyciele przedmiotów ogólnokształcących, nauczyciele przedmiotów zawodowych, nauczyciele przedszkoli oraz nauczyciele szkół specjalnych i oddziałów integracyjnych). Tymczasem niedawno zaostrzono kryteria wykształcenia niezbędnego do wykonywania zawodu nauczyciela, co w istotnym stopniu zmniejszyło atrakcyjność podejmowania takich studiów. W rezultacie w wielu szkołach już brakuje nauczycieli z ww. grup, a perspektywy na lata następne wyglądają dramatycznie. Czy należy akceptować sytuację masowego kształcenia na kierunkach, po których ukończeniu istnieje bardzo wysoka stopa bezrobocia?

Czy nie mamy tu do czynienia z marnotrawieniem środków publicznych, które można skierować choćby na wzmocnienie infrastruktury dydaktycznej uczelni.

Czy w ocenie jakości kształcenia na uczelniach nie powinniśmy również uwzględniać sytuacji absolwentów na rynku pracy w oparciu o ogólnopolski system monitorowania ekonomicznych losów absolwentów (ELA)? Na uczelniach publicznych ciąży szczególna odpowiedzialność wobec podatników, którzy utrzymują publiczny system szkolnictwa wyższego i nauki. Nie możemy poprzez nieefektywną działalność być kosztem dla systemu finansowego państwa. Powinniśmy być jego najlepszą inwestycją. Dlatego wydaje się, że warto patrzeć na problematykę kształcenia na poziomie wyższym również z perspektywy racjonalności finansów publicznych.

Czy wreszcie nie jesteśmy zamknięci w klatce formalizmu, co stawa nam bariery oraz narzuca rozwiązania, które ograniczają swobodę w budowaniu modeli kształcenia. Obecnie mamy obowiązek osiągnięcia przez studentów danego kierunku tych samych efektów uczenia się, co wpływa na możliwość elastycznego wyboru przedmiotów przez studentów oraz wybierania dowolnych modułów/przedmiotów z różnych kierunków. Czy moglibyśmy dopuścić do sytuacji, w której warunkiem ukończenia studiów byłoby osiągnięcie np. 70% efektów uczenia się przypisanych do danego kierunku, zaś pozostałą część student mógłby zdobyć na innych kierunkach? W pracy zawodowej niewiele z nas wykonuje czynności, które obejmują tylko jedną dyscyplinę wiedzy. Dlaczego nie moglibyśmy przygotowywać na to studentów już podczas kształcenia? Następnym przykładem nadrzędności zasad formalnych nad racjonalnością działań są zasady tworzenia nowych kierunków studiów. Od publicznych uczelni zawodowych



wymaga się, aby kształciły na rzecz otoczenia społeczno-gospodarczego. Tymczasem utworzenie nowego kierunku studiów w trybie decyzji ministerialnej wymaga złożenia wniosku, który wraz z załącznikami liczy kilkaset, a czasami nawet ponad tysiąc stron, a jego procedowanie trwa kilka miesięcy.

Kolejnym obszarem do dyskusji jest potwierdzanie na uczelniach efektów uczenia się nabytych drogą nieformalną, coś, co w praktyce niemal nie funkcjonuje na uczelniach publicznych. Przyczyną takiego stanu rzeczy jest ograniczenie tej możliwości jedynie do kandydatów na studia. W zakresie walidacji efektów uczenia się na poziomie wyższym jesteśmy mentalnie i formalnie nadal w XX wieku.

Mam wrażenie, że jedynym tematem związanym z kształceniem na poziomie wyższym, który gości w głównym nurcie sektorowych dyskusji, jest problematyka mikropoświadczeń i ich miejsca w systemie szkolnictwa wyższego. Temat ten jest zapewne bardzo ważny, ale nie powinien dominować nad innymi zagadnieniami, zarówno

tymi, o których była wcześniej mowa, jak wieloma innymi. Mam tu na myśli choćby: kształcenie w uniwersytetach europejskich, preferencyjne traktowanie przez ustawę PSWN studiów niestacjonarnych (w kontekście wypaczeń związanych z brakiem zajęć z bezpośrednim udziałem wykładowcy), czy problematykę uprawnień do prowadzenia studiów podyplomowych.

Warto byłoby pokusić się o stworzenie krajowej strategii kształcenia na poziomie wyższym funkcjonującej obok Polityki Naukowej Państwa. Dokument ten powinien zawierać cele i priorytety systemu szkolnictwa wyższego w obszarze kształcenia. Strategia powinna być współtworzona przez interesariuszy zewnętrznych, w szczególności przez przedstawicieli pracodawców, by uwzględniała ich oczekiwania oraz plany rozwojowe. Powinna być sprzężona z innym planami rozwoju społeczno-gospodarczego państwa, ale także zawierać oczekiwania uczelni wobec państwa i metod prawnych i finansowych wsparcia przez nie uczelni.

Więcej na akademiki

Minister nauki, zgodnie ze swoją zapowiedzią o priorytetowym traktowaniu kwestii akademików, wydał komunikat o zwiększeniach wysokości subwencji ze środków finansowych na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego oraz badawczego przyznanych na rok 2024, w którym zdecydował o przyznaniu dodatkowych 197 mln zł na wsparcie uczelni prowadzących domy studenckie. Zwiększenia wysokości subwencji przyznane zostały 86 uczelniom publicznym nadzorowanym przez ministra właściwego ds. szkolnictwa wyższego i nauki, 1 niepublicznej uczelni akademickiej prowadzonej przez kościół, a finansowanej z budżetu państwa na zasadach uczelni publicznych (chodzi o KUL) i 1 niepublicznej uczelni zawodowej prowadzonej przez kościół, finansowanej na tych samych zasadach (to Prawosławne Wyższe Seminarium Duchowne w Warszawie). Jak czytamy w komunikacie, w podziale nie uwzględniono 13 uczelni, które nie prowadzą domów studenckich lub nie wykazały odpowiednich danych w zatwierdzonych sprawozdaniach S-11 za rok 2023. Te instytucje to: Uniwersytet Ignatianum w Krakowie, Akademia Katolicka w Warszawie, Chrześcijańska Akademia Teologiczna w Warszawie, Papieski Wydział Teologiczny we Wrocławiu, Szkoła Główna Mikołaja Kopernika, Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach, Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie, Akademia Nauk Sto-

sowanych im. Hipolita Cegielskiego w Gnieźnie Uczelnia Państwowa, Państwowa Akademia Nauk Stosowanych im. prof. Stanisława Tarnowskiego w Tarnobrzegu, Państwowa Akademia Nauk Stosowanych w Głogowie, Akademia Nauk Stosowanych w Nowym Targu i Publiczna Uczelnia Zawodowa w Grudziądzu. Podziału środków dokonano na podstawie proporcji liczby miejsc w domach studenckich według stanu na 31 grudnia 2023 r. zaraportowanych przez poszczególne podmioty we wspomnianym w sprawozdaniu do Głównego Urzędu Statystycznego za rok 2023. Maksymalna wysokość zwiększenia wynosi 5,5 mln zł. Przyznano ją 13 uczelniom, w tym 6 technicznym (AGH, PG, PŁ, PŚ, PW i ZUT), 6 uniwersytetom klasycznym (UAM, UJ, UŁ, UMCS, UMK i UW) i SGGW. Powyżej 5 mln zł otrzymały 3 uczelnie: PP, PWr i UŚ. Między 4, a 5 mln – 4 instytucje: UW, IWM, URz i PK. Między 3 a 4 mln dostało 10 uczelni: APS, PCz, PRz, PŚw, UG, UO, UPP, UR, US i KUL. Trzy najniższe zwiększenia, każde poniżej stu tysięcy złotych, dostały: Akademia Nauk Stosowanych w Oświęcimiu, Prawosławne Seminarium Duchowne w Warszawie i Publiczna Uczelnia im. Jana Grodka w Sanoku (najniższe zwiększenie w wys. 47,4 tys. zł). Przyznane zwiększenia wysokości subwencji mają charakter jednorazowy i nie zostaną uwzględnione w podstawie naliczenia subwencji na rok 2025.

(MIT)



Miasteczko Akademickie UMCS w Lublinie

Foto: UMCS

Inkluzywna przyszłość

Piotr Biegasiewicz, filozof, doktorant na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, przekonuje, że Polska potrzebuje Uniwersytetu Otwartego oferującego kształcenie wyższe dla wszystkich bez warunków wstępnych.

W dzisiejszych czasach, kiedy zmiany technologiczne i gospodarcze stają się coraz bardziej dynamiczne, dostęp do elastycznego i zróżnicowanego systemu edukacji wyższej jest kluczowy dla rozwoju jednostek i całych społeczeństw. Polska, pomimo swojego rozwiniętego systemu tradycyjnych uniwersytetów, wciąż nie oferuje modelu edukacyjnego, który mógłby zaspokoić potrzeby osób bez formalnych kwalifikacji, takich jak matura. Wprowadzenie Uniwersytetu Otwartego (Open University) – instytucji, która już z powodzeniem działa w wielu krajach Unii Europejskiej – mogłoby być odpowiedzią na te wyzwania.

Wzory z Europy – inspiracja dla Polski

Na tle innych państw unijnych Polska pozostaje w tyle pod względem elastyczności w dostępie do edukacji wyższej. W Wielkiej Brytanii Open University działa od 1969 roku i umożliwia studiowanie bez formalnych kwalifikacji, takich jak matura. Jest to instytucja, która oferuje kształcenie na odległość, dając szansę osobom dorosłym i pracującym na zdobycie dyplomu wyższej uczelni (Open University, 2023). Podobne rozwiązania funkcjonują w Niemczech, gdzie osoby bez Abitur mogą rozpocząć studia, opierając się na doświadczeniu zawodowym lub przystąpić do specjalnych egzaminów wstępnych dla dorosłych (Hochschulzugangsprüfung). Holandia z kolei posiada Open Universiteit Nederland, który umożliwia naukę na odległość i otwarty dostęp do edukacji dla dorosłych (Open Universiteit, 2023). W Hiszpanii działa Universidad Nacional de Educación a Distancia (UNED), który oferuje programy dostosowane do potrzeb osób w wieku 25, 40, a nawet 45 lat, umożliwiając im podjęcie studiów na podstawie doświadczenia zawodowego. W Austrii osoby powyżej 20. roku życia mogą studiować bez matury po zdaniu specjalnego egzaminu (Studienberechtigungsprüfung), co otwiera drzwi do wykształcenia wyższego (UNED, 2022).

Polska na tle innych krajów

Pomimo rosnących potrzeb, Polska wciąż nie oferuje systemu, który umożliwiłby szeroki dostęp do edukacji osobom bez matury. Według Narodowego Spisu Powszechnego z 2021 roku, 37,9% osób w Polsce nie ma matury, co przekłada się na 14,55 miliona osób (posiadających wykształcenie podstawowe lub zasadnicze zawodowe) (Główny Urząd Statystyczny [GUS], 2021). To ogromna grupa, która z powodu formalnych wymagań nie może podjąć studiów na tradycyjnych uniwersytetach.

Dodatkowo Polska znajduje się wśród krajów z najniższym wskaźnikiem uczestnictwa w kształceniu ustawicznym w Europie. W 2021 roku zaledwie 4,4% osób w wieku 25–64 lata uczestniczyło w jakiegokolwiek formie edukacji ustawicznej, podczas gdy średnia dla Unii Europejskiej wynosiła 10,8% (Eurostat, 2022). To oznacza, że Polska znajduje się daleko za takimi krajami jak Szwecja czy Finlandia, gdzie wskaźniki uczestnictwa wynoszą ponad 20% (Eurostat, 2022).

Na rynku pracy, coraz bardziej cyfrowym i zautomatyzowanym, kluczowe stają się możliwości przekwalifikowania. W Polsce aż 84% osób zmieniło pracę przynajmniej raz w swoim życiu, a 69% zmieniło również branżę lub zawód (Pracuj.pl, 2022). Raporty wskazują, że zapotrzebo-

wanie na nowe umiejętności, zwłaszcza w sektorze IT i telekomunikacji, stale rośnie, a edukacja wyższa nie zawsze nadąża za tymi zmianami (Pracuj.pl, 2022). Programy edukacyjne skoncentrowane na umiejętnościach cyfrowych i technologicznych są kluczowe, aby umożliwić pracownikom dostosowanie się do wymogów współczesnego rynku pracy.

Dlaczego Polska potrzebuje Otwartego Uniwersytetu?

Stworzenie w Polsce Otwartego Uniwersytetu mogłoby znacząco przyczynić się do rozwiązania problemów związanych z dostępem do edukacji i potrzebami przekwalifikowania zawodowego. Tego typu instytucja otworzyłaby możliwości dla osób, które nie miały szansy zdobyć formalnych kwalifikacji, takich jak matura, a jednocześnie chcą się rozwijać zawodowo i zdobywać nowe umiejętności.

W Polsce, aby rozpocząć studia, wymagane jest posiadanie matury. Open University eliminuje tę barierę, umożliwiając osobom bez wykształcenia średniego dostęp do edukacji wyższej. To rewolucyjne podejście, które wspiera osoby, które z różnych powodów nie ukończyły szkoły średniej, ale mają ambicje rozwijać się zawodowo i zdobywać nowe kwalifikacje.

Studenci Open University mogą uczyć się w dogodnym dla siebie czasie i miejscu. Nauka na odległość umożliwia pogodzenie obowiązków zawodowych i rodzinnych z edukacją, co jest szczególnie ważne dla osób dorosłych, które nie mogą uczestniczyć w tradycyjnych zajęciach w kampusie. W Wielkiej Brytanii ponad 70% studentów Open University pracuje w pełnym wymiarze godzin, co dowodzi, jak elastyczny jest ten model edukacji (Open University, 2023).

W Polsce wielu dorosłych studentów ma trudności z łączeniem pracy z nauką. Tradycyjne uczelnie wymagają regularnej obecności na zajęciach, co jest barierą dla osób pracujących na pełen etat. Open University daje możliwość elastycznego zarządzania czasem i dostosowania nauki do harmonogramu zawodowego.

Open University zazwyczaj oferuje niższe koszty edukacji niż tradycyjne uczelnie. Studenci nie muszą ponosić wydatków związanych z zakwaterowaniem czy dojazdami, co czyni naukę bardziej dostępną finansowo. W 2023 roku koszty roczne w Open University w Wielkiej Brytanii wynoszą około 6000 funtów, co jest znacznie niższą kwotą niż w przypadku wielu tradycyjnych uczelni (Open University, 2023).

Każdy student ma inne tempo przyswajania wiedzy. W tradycyjnym modelu studiów wszyscy muszą podążać tym samym harmonogramem. Open University pozwala na naukę we własnym tempie, co jest kluczowe dla osób dorosłych z różnymi zobowiązaniami zawodowymi i rodzinnymi.

Nauka na odległość w Otwartym Uniwersytecie jest wspierana przez nowoczesne technologie, takie jak platformy e-learningowe, multimedia i fora dyskusyjne. Studenci mają dostęp do indywidualnych tutorów, którzy pomagają w nauce, co zapewnia wysoki poziom wsparcia edukacyjnego.

Wnioski

Wprowadzenie Otwartego Uniwersytetu w Polsce mogłoby znacząco wpłynąć na rozwój polskiego systemu edukacyjnego. Zwięk-



szłyby dostęp do edukacji wyższej dla milionów Polaków, którzy zostali wykluczeni z tradycyjnego systemu z powodu braku matury. Elastyczność, niższe koszty i dostęp do nowoczesnych narzędzi edukacyjnych to tylko niektóre z zalet tego modelu. W czasach, kiedy

rynek pracy wymaga od pracowników ciągłego podnoszenia kwalifikacji, Otwarty Uniwersytet mógłby stać się kluczowym narzędziem wspierającym rozwój zawodowy i osobisty Polaków.

Wspaniała siódemka

Ranking naukowców sporządzany przez Johna Ioannidisa i współautorów znany także jako „lista TOP 2% najbardziej wpływowych naukowców” lub „ranking naukowców Uniwersytetu Stanforda i Elseviera” zyskał w Polsce ogromną popularność. Uczelnie chwala się w prasie popularnej i na swoich stronach WWW, zwłaszcza w październiku, kiedy to publikowana jest kolejna aktualizacja, ilu to ich profesorów znalazło się na liście. Tegoroczna wersja zestawienia (wrzesień 2024, cytowania z lat 1996–2023) obejmuje łącznie 1244 polskich naukowców, z których 297 znajduje się wśród czołowych 100 000 naukowców (2% najwyższych miejsc), zaś pozostali zajmują miejsca 100 055 – 1 664 911 i znaleźli się w zestawieniu Ioannidisa i wsp. z innych powodów niż zajęcie jednego z 2% najwyższych miejsc.

Ranking naukowców Ioannidisa i wsp. może posłużyć do tworzenia rankingów uczelni. Proponuję jako kryterium oceny uczelni przyjąć średnią arytmetyczną miejsc zajmowanych przez „wspaniałą siódemkę”, czyli siedmiu naukowców z danej uczelni zajmujących najlepsze miejsca w zestawieniu Ioannidisa i wsp. Jest ono corocznie aktualizowane, co pozwala na bieżącą aktualizację rankingów uczelni.

Dlaczego właśnie siedmiu? Siedem jest niezwykłą liczbą. Mamy 7 dni tygodnia i 7 kontynentów. Mahometanie mają 7 nieb i 7 piekieł, a chrześcijanie 7 grzechów głównych. Rzym leży na siedmiu wzgórzach, a miłośnicy westernów kochają *Siedmiu wspaniałych*. W mojej zaś ukochanej chemii roztwór idealnie obojętny, tzn. ani kwaśny ani zasadowy, ma pH 7. A poważnie: na dobrej uczelni powinno być wielu dobrych naukowców. Liczba 7 wydaje się „złotym środkiem”, radykalne jej zwiększenie znacznie ogranicza liczbę uczelni, które można wziąć pod uwagę w rankingu (za względu na wystarczającą liczbę sklasyfikowanych naukowców). Z kolei pomysł oceny uczelni na podstawie osiągnięć zbyt małej liczby naukowców najlepiej podsumowuje przysłowie: „jedna jaskółka nie czyni wiosny”. Można też wykaazać, że zestawienie sześciu lub ośmiu najlepszych naukowców daje z przybliżeniem ten sam wynik, co zaproponowany tu ranking bazujący na miejscach zajętych przez „wspaniałą siódemkę”.

Tabela 1. Ranking światowy 2024. Średnia miejsc zajętych w rankingu Ioannidisa przez 5 najwyższych sklasyfikowanych naukowców oraz miejsce uczelni w rankingu ARWU.

Uczelnia	Kraj	Średnia	ARWU
Harvard Medical School	USA	42	1
Stanford University	USA	92	2
University of California, Berkeley	USA	193	5
University College London	UK	195	16
Johns Hopkins University School of Medicine	USA	199	17

Tabela 1 przedstawia 5 najlepszych uczelni w rankingu światowym. Dwa pierwsze miejsca dokładnie pokrywają się z dwoma pierwszymi miejscami w rankingu szanghajskim. Harvard i Stanford zajmują też bardzo wysokie miejsca w innych rankingach uniwersytetów. Także inne uczelnie zajmujące 5 najwyższych lokat w Tabeli 1 należą do czołówki w ARWU (ranking szanghajski) i w innych znanych zestawieniach. W odróżnieniu jednak od innych rankingów, algorytm użyty do opracowania niniejszej listy jest prosty i korzysta z ogólnie dostęp-

nych i łatwych do weryfikacji danych. W pierwszej pięćdziesiątce są głównie uczelnie amerykańskie i brytyjskie, a także dwie uczelnie kanadyjskie i jedna z Singapuru. Najwyżej sklasyfikowana uczelnia z kontynentalnej Europy (Politechnika w Zurychu) zajmuje 74 miejsce.

Nas oczywiście najbardziej interesuje kondycja nauki polskiej (Tabela 2). W ARWU mamy 2 uczelnie na pozycjach 401–500, w rankingu THE – 3 uczelnie na pozycjach 601–800, a w Tabeli 2 mamy zaledwie jedną uczelnię w pierwszym tysiącu. Jeżeli więc chcemy przedstawić polską naukę w korzystnym świetle, to akurat ranking Ioannidisa jest jednym z najgorszych do tego narzędzi.

Tabela 2. Miejsca polskich uczelni w rankingu światowym 2024 oraz średnia miejsc zajętych w rankingu Ioannidisa przez 7 najwyższych sklasyfikowanych naukowców

Miejsce	Szkoła	Średnia
809	Uniwersytet Warszawski	19 883
1359	Uniwersytet Gdański	39 792
1404	Uniwersytet Jagielloński Collegium Medicum	41 720
1414	Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	42 322
1603	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	50 156
1614	Uniwersytet Medyczny w Łodzi	50 536
1676	Uniwersytet Jagielloński	53 920
1753	Politechnika Poznańska	56 892
1794	Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie	59 104
1926	Politechnika Wroclawska	65 596

W Tabeli 2 pominięto PAN (jako całość miejsce 1054) oraz poszczególne instytuty PAN. Instytut Badań Systemowych PAN uzyskał wynik porównywalny z najlepszymi uniwersytetami w Polsce. UJ występuje dwukrotnie w Tabeli 2, bowiem Collegium Medicum UJ jest traktowane w Scopusie jako odrębna jednostka. Połączone siły (5 naukowców z Collegium Medicum i 2 z pozostałych wydziałów UJ) pozwalają na osiągnięcie średniej 35 563 i przesunięcie się przed UG. W zestawieniu z innymi rankingami, w Tabeli 2 zadziwiają dobre miejsca UG i UMK oraz dopiero 15 miejsce PW.

Abstrahując od adekwatności rankingu Ioannidisa jako narzędzia oceny naukowców, jego wynikami jest łatwo manipulować. To brzmi dumnie, że oto mamy 297 naukowców w „światowej elicie”, ale sto tysięcy ludzi to żadna elita, a tym bardziej nie jest nią 1 664 911 najwyższych notowanych naukowców. Wśród dziesięciu tysięcy najwyższych ocenianych naukowców (których bez żadnej przesady można nazwać elitą) jest już tylko sześciu polskich badaczy, w tym dwóch niezwykłych (Zdzisław Pawlak, 1926–2006 i Jacek Namieśnik, 1949–2019). Ponadto wyniki rankingu podlegają rozkładowi Pareta, tzn. nawet w ścisłej czołówce są kolosalne różnice między poszczególnymi naukowcami. Najwyżej notowany naukowiec ma 8-krotnie wyższy indeks h i 15-krotnie więcej cytowań niż najwyższy notowany naukowiec z Polski. Zatem przedstawianie jakiegokolwiek uczelni jako naukowej potęgi z powodu tuzina naukowców na liście Ioannidisa (zwłaszcza na miejscach 100 000+) jest zdecydowaną przesadą.

Marek Kosmułski

Polscy naukowcy wciąż w ogonie

Prof. dr hab. inż. Wit Grzesik, emerytowany pracownik Politechniki Opolskiej, od kilku lat komentuje dla FA tzw. Top 2% Scientist List (najczęściej cytowanych naukowców), publikowaną corocznie przez prof. Johna P.A. Ioannidesa z Uniwersytetu Stanforda we współpracy z wydawnictwem Elsevier. W tym roku pokazuje, że badacze z jednego brytyjskiego uniwersytetu mają więcej cytowań niż wszyscy polscy naukowcy wyszczególnieni na liście Top 2% 2024.

Najnowsza – siódma – odsłona światowego rankingu cytowań Top 2% została oparta na kopii migawkowej danych z 1 sierpnia 2023 r. Zostały one uaktualnione do końca roku kalendarzowego 2023. Dostęp do danych jest możliwy przez stronę wydawnictwa Elsevier.

Do sporządzenia zestawienia użyto danych zgromadzonych na platformie Scopus dostępnych przez stronę ICSR Lab. Obliczenia przeprowadzono dla profili autorów na dzień 1 sierpnia 2023 r. W Polsce ponad 70% ogółu cytowań wykazanych w rankingu Top 2% za 2023 r. generują uczelnie. Reszta jest zasługą instytutów PAN i badawczych oraz innych instytucji, np. uczelni prywatnych, nie ujętych w artykule. Ich dokładna analiza jest bardzo utrudniona z uwagi na duże rozproszenie informacji, ponieważ instytucje są reprezentowane w zestawieniu przez 1 lub najwyżej 2 osoby. Na ogólną liczbę 1305 naukowców z Polski ujętych w tegorocznym rankingu 994 osoby, czyli 76,6%, są zatrudnione w uczelniach. W artykule wykorzystano dane opublikowane w kategorii cytowań rocznych, które posłużyły autorowi do wyznaczenia odpowiednich porównawczych wskaźników bibliometrycznych (patrz Tab. 1) i utworzenia oryginalnego rankingu dla czterech grup polskich uczelni. Warto przypomnieć, że znalezienie się w zestawieniu Top 2% jest traktowane jako niezwykle prestiżowe ponieważ cytowane artykuły traktuje się jako referencyjne, a więc wyznaczające kierunki rozwoju nauki w świecie. Z doświadczenia autora, popularyzującego od kilku lat wiedzę o Top 2% Scientists List, wynika, że nadal nie jest ona powszechna, choć stopniowo rośnie, na co może mieć wpływ raczej symboliczny – rzędu 0,5% – udział cytowań polskich prac naukowych w globalnej liczbie cytowań i brak zrozumienia istoty stosowania wskaźników bibliometrycznych

do oceny indywidualnego i zbiorowego wkładu naukowego do ujętych w zestawieniu cytowań na świecie. Rankingi zaczynają być doceniane przez większość uczelni, które systematycznie zamieszczają w Internecie listy ujętych w nich pracowników.

Tabl. 1. Lista wskaźników bibliometrycznych wykorzystanych do oceny pozycji polskich wyższych uczelni w kategorii cytowań w 2023 r. (opr. autora)

Symbol	Nazwa angielska	Odpowiednik polski
nc23(ns)	total cites to authored papers (self-citation excluded) in 2023	łączna liczba cytowań artykułów w 2023 r. (bez autocytowań)
nc23(ns) _{av}	average value of total cites for individual universities	średnia wartość cytowań dla każdej uczelni
h23 (ns)	h-index as of end- 2023 (self-citation excluded)	h-indeks na koniec 2023 r. bez autocytowań
h23(ns) _{av}	average value of h index for individual universities	średnia wartość indeksu h dla każdej uczelni

W artykule zestawiono wyniki cytowań uczelni z Polski w odniesieniu do całkowitej liczby cytowań i liczby ujętych pracowników nauki oraz przypisanych im rocznych cytowań indywidualnych i wartości indeksu h. Dane te posłużyły do wyznaczenia średniej liczby cytowań i średniego indeksu h dla każdej z uczelni za rok 2023. Na tej podstawie porównano osiągnięcia 18 polskich uczelni technicznych, 18 uniwersytetów klasycznych, 10 uniwersytetów medycznych i 5 uniwersytetów przyrodniczych i rolniczych. Podano też informacje o osiągnięciach instytutów PAN i badawczych. Autor jest przekonany, że przed-

Tabl. 2. Zestawienie liczby cytowań dla wyższych uczelni technicznych w 2023 r. (opr. autora)

Nr	Nazwa uczelni	Liczba cytowań	Liczba osób w rankingu	Średnia liczba cytowań	Średni indeks h
1	Politechnika Gdańska	28103	43	654	11
2	Politechnika Wrocławska	19576	52	376	9
3	Akademia Górniczo Hutnicza	17243	43	401	8
4	Politechnika Poznańska	15806	31	510	10
5	Politechnika Śląska	15168	42	361	9
6	Politechnika Warszawska	10010	36	278	7
7	Politechnika Łódzka	9870	29	340	8
8	Politechnika Opolska	9197	7	1314	15
9	Politechnika Krakowska	7226	19	380	9
10	Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie	6489	13	499	10
11	Politechnika Lubelska	5398	22	245	8
12	Wojskowa Akademia Techniczna	3764	13	290	8
13	Politechnika Częstochowska	3349	13	258	8
14	Politechnika Białostocka	2973	7	425	10
15	Politechnika Rzeszowska	2755	15	184	7
16	Politechnika Bydgoska	1689	6	282	8
17	Politechnika Świętokrzyska	755	4	189	7
18	Politechnika Koszalińska	487	1	487	11
	Razem	160192	396	405	9

Tabl. 3. Zestawienie cytowań dla uniwersytetów (opr. autora)

Nr	Nazwa uczelni	Liczba cytowań	Liczba osób w rankingu	Średnia liczba cytowań	Średni indeks h
1	Uniwersytet Warszawski	32053	59	543	9
2	Uniwersytet Jagielloński	29041	57	509	9
3	Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie	22975	9	2533	18
4	Uniwersytet Opolski	18381	4	4595	16
5	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	12354	23	325	8
6	Uniwersytet Gdański	11788	21	561	9
7	Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	10988	27	407	9
8	Uniwersytet Wrocławski	8584	19	373	8
9	Uniwersytet Śląski	8462	23	368	8
10	Uniwersytet Białostocki	7641	3	2547	20
11	Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie	7628	19	401	8
12	Uniwersytet Łódzki	6861	18	381	9
13	Uniwersytet Rzeszowski	5788	10	579	10
14	Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach	5105	5	1021	10
15	Uniwersytet Szczeciński	2226	7	318	9
16	Uniwersytet Zielonogórski	1583	5	317	9
17	Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II	1284	4	321	9
18	Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie	284	1	284	7
	Razem	193026	314	870	10

stawione statystyki zainspirują środowisko naukowe do dalszych działań na rzecz wzmocnienia roli polskiej nauki w świecie. W roku 2023 odnotowano 12,7% przyrost cytowań w stosunku do roku 2022.

Metodyka analiz i ocen porównawczych

W artykule do oceny pozycji polskich wyższych uczelni w światowym rankingu za 2022 r. wykorzystano zasadniczo dwa wskaźniki bibliometryczne, a mianowicie całkowitą liczbę cytowań bez autocytowań ($nc22(ns)$) i indeks h odniesiony do 2022 r. bez autocytowań ($h22(ns)$) oraz – biorąc pod uwagę liczbę osób – średnią liczbę cytowań i średni indeks h dla danej uczelni. Wyniki pobrano z bazy wydawnictwa Elsevier. Wskaźniki porównawcze za 2022 r. mają indeks 22.

Dodatkowo, jako czynnik jakościowy wyznaczono dla danej uczelni średnią wartość liczby cytowań ($nc23(ns)_{av}$) i indeksu h ($h23(ns)_{av}$), uwzględniając liczbę osób ujętych w rankingu. Odpowiednie dane zestawiono w Tab. 2-4.

Analiza ilościowa osiągnięć publikacyjnych uczelni

W Tab. 2 podano zestawienie cytowań rocznych dla grupy uczelni technicznych. Tak jak w ubiegłym roku liderem pod tym względem

jest Politechnika Gdańska (28 103). Na kolejnych miejscach znalazły się Politechnika Wrocławska (19 576) i Akademia Górniczo-Hutnicza (17 243) ze stratą prawie 10 tysięcy cytowań do PG. Dla przypomnienia, w 2022 r. podium zajmowały PG (21 969), Politechnika Poznańska (20 415) i AGH (18 092). Politechnika Gdańska, która zwiększyła liczbę cytowań rok do roku o ok. 28%, ma również największą średnią liczbę cytowań na osobę – 654, czyli zdecydowanie powyżej średniej wynoszącej 362 dla wszystkich uczelni technicznych (bez uwzględnienia Politechniki Opolskiej, która odbiega od pozostałych), a nawet dla całej Polski – 612 (Tab. 2). Dla pozostałych uczelni to zasadniczo przedział 250–400 cytowań na osobę, a dla trzech uczelni nawet poniżej 250 (Tab. 2). Można zauważyć, że ten wskaźnik jest niższy w porównaniu z uniwersytetami klasycznymi, a szczególnie z uniwersytetami medycznymi (Tab. 3 i 4).

W Tab. 3 podano zestawienie cytowań rocznych dla uniwersytetów. W tej grupie liderem jest obecnie Uniwersytet Warszawski (32 053), a na drugim i trzecim miejscu znalazły się Uniwersytet Jagielloński (22 9041) i niespodziewanie Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej (22 975) ze stratą ok. 9 tys. cytowań. W porównaniu do poprzedniego roku uczelnie te zamieniły się miejscami, bowiem wówczas to UJ (23 830) był liderem, a kolejne miejsca zajęły UW (23 286) i Uni-

Tabl. 4. Zestawienie cytowań dla uniwersytetów medycznych (opr. autora)

Nr	Nazwa uczelni	Liczba cytowań	Liczba osób w rankingu	Średnia liczba cytowań	Średni indeks h
1	Collegium Medicum UJ	47363	32	1480	13
2	Uniwersytet Medyczny we Wrocławiu	43261	28	1545	12
3	Uniwersytet Medyczny w Łodzi	34733	17	2043	13
4	Uniwersytet Medyczny w Szczecinie	26720	13	2065	15
5	Gdański Uniwersytet Medyczny	22706	21	1081	13
6	Warszawski Uniwersytet Medyczny	17795	19	937	11
7	Uniwersytet Medyczny w Poznaniu	17054	21	812	11
8	Uniwersytet Medyczny w Lublinie	13740	29	474	9
9	Śląski Uniwersytet Medyczny	10205	5	2041	16
10	Uniwersytet Medyczny w Białymstoku	8075	16	505	10
	Razem	241652	201	986	12

Tabl. 5. Zestawienie cytowań dla uniwersytetów przyrodniczych i rolniczych (opr. autora)

Nr	Nazwa uczelni	Liczba cytowań	Liczba osób w rankingu	Średnia liczba cytowań	Średni indeks h
1	Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu	11557	24	482	10
2	Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie	6834	13	526	11
3	Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie	6637	22	302	8
4	Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu	6131	11	557	11
5	Uniwersytet Rolniczy w Krakowie	2905	13	223	7
Razem		34164	83	418	9

wersytet Wrocławski (11 211). Największą średnią liczbę cytowań na osobę wykazały tym razem uniwersytety w Opolu (4595 – za sprawą Wydziału Lekarskiego), w Białymstoku (2547) i UMCS (2533), co może być dużym zaskoczeniem, jeśli wziąć pod uwagę skalę wzrostu. Sytuacje takie zdarzają się również w innych grupach uczelni i można je traktować jako jednorazowe piki związane z zatrudnieniem osób legitymującymi się ponadprzeciętną roczną liczbą cytowań. Można z dużym prawdopodobieństwem odnosić takie fakty do udziału w „fabrykach artykułów”, co opisuje J. Szczepaniak (*Fabryki artykułów. Biznes współczesnej nauki*, FA 2/2022). Średnia dla wszystkich 18 uniwersytetów wynosi 870 cytowań na osobę, a bez trzech jednostek z podium zmniejsza się do 396. Ta wartość odpowiada bardziej ogólnej tendencji widocznej w Tab. 3. Z drugiej strony można zauważyć, że ten wskaźnik jest i tak wyższy niż dla uczelni technicznych, ale zdecydowanie niższy (nawet z trzema wspomnianymi wcześniej uniwersytetami) niż dla uniwersytetów medycznych (ok. 1000 cytowań).

W Tab. 4 podano zestawienie rocznych cytowań dorobku uniwersytetów medycznych. Pod względem ich liczby liderem jest ponownie Collegium Medicum UJ (47 363), a na drugim i trzecim miejscu znalazły się Uniwersytet Medyczny we Wrocławiu (43 261) i Uniwersytet Medyczny w Łodzi (34 733) ze stratą prawie 12,6 tys. cytowań do lidera. W ubiegłorocznym rankingu podium wyglądało tak samo: CM UJ (46 234), UMW (42 401) i UMŁ (29 810). W porównaniu do roku 2022 największy przyrost cytowań (o 24%) wykazało CM UJ. Największą średnią liczbę cytowań na osobę – ok. 2000 – wykazały uniwersytety medyczne w Łodzi i Szczecinie oraz Śląski Uniwersytet Medyczny w Katowicach. Zaskoczeniem może być wynik Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego ze Szczecina: w ubiegłym roku wykazał tylko 1311 cytowań i 187 na osobę. Ogólnie średnia dla wszystkich dziesięciu uniwersytetów medycznych wynosi ok. 1000, ale rozrzut wartości jest znaczący – między 500 a 2000. Z drugiej strony, cztery uczelnie z tej grupy mają powyżej 1500 cytowań na osobę.

W Tab. 5 podano zestawienie cytowań rocznych dla grupy 5 uniwersytetów przyrodniczych i rolniczych. Pod względem liczby cytowań liderem jest ponownie UP w Poznaniu (11 557), a na drugim i trzecim miejscu znalazły się SGGW w Warszawie (6934) i UP w Lublinie (6637). Dostrzegalny jest wzrost cytowań wszystkich jednostek z tej grupy. Ubiegłoroczne podium to UP w Poznaniu (8461), SGGW w Warszawie (5467) i UP we Wrocławiu (4560). Komentarz w tej sprawie jest oczywisty i wskazuje raczej na drugorzędną rolę prowadzonych w nich badań naukowych w kontekście rankingu krajowego. Z pewnością potencjał naukowy uczelni z tej grupy jest zdecydowanie większy, o czym może świadczyć liczba cytowanych osób na poziomie średnich wartości z pozostałych grup.

Średni indeks h wygenerowany przez polskie uczelnie techniczne i uniwersytety to 9 i 10, a uczelnie medyczne to 12. Z kolei dla wszystkich jednostek naukowych i badawczych z Polski ujętych w rankingu średnia wartość indeksu h wygenerowanego w ciągu 2023 roku to 9. Należy też dodać, że publikacje wykazane w rankingu zostały opracowane ze średnim udziałem autocytowań na poziomie 15,1%.

Odnosząc się do dostrzeżonych negatywnych faktów, należy zasygnalizować, że są w Polsce uczelnie, które ledwie przekraczają lub nie dochodzą do 500 cytowań. W kilku uczelniach technicznych i uniwersytetach (Tab. 2 i 3) liczba osób ujętych w rankingu to 5 lub mniej, i to często z uwzględnieniem starszych pracowników lub emerytów. Jest grupa kilku uczelni z jednym, dwoma lub najwyżej trzema pracownikami legitymującymi się odpowiednimi cytowaniami, np. Politechnika Koszalińska, Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, Akademia im J. Długosza w Częstochowie czy UKSW w Warszawie, nie wspominając o kilku akademiach ekonomicznych i wielu uczelniach niepublicznych. Dostrzegalny jest szkodliwy dla polskiej nauki trend zbiorowego publikowania nawet w formie „fabryk artykułów naukowych” lub zatrudniania pracowników z Azji legitymujących się cytowaniami idącymi w tysiące. Jak logicznie można wytłumaczyć gwałtowny wzrost cytowań rok do roku jednej z uczelni, gdy większość wykazuje wzrost o 10–20%? Czytelnicy mogą sami dostrzec skalę tego zjawiska analizując dane w Tab. 2–5.

Porównanie osiągnięć uczelni na tle danych rankingowych dla Polski

W Tab. 6 zamieszczono zbiorcze dane odniesione do liczby cytowanych osób (nc23(ns) i nc22(ns)) wg danych źródłowych dostępnych w bazach rankingu TOP 2%. Na ich podstawie dokonano porównania osiągnięć publikacyjnych pięciu grup uczelni za lata 2022 i 2023.

Z danych zestawionych w Tab. 6 wynikają następujące wnioski: Udział uczelni w cytowanym dorobku publikacyjnym dla Polski wzrósł o 12,7%, ale występuje znaczne zróżnicowanie w poszczególnych typach uczelni. Największy przyrost cytowań wykazały tym razem uniwersytety (ok. 40%) i uniwersytety przyrodnicze i rolnicze (ok. 34%), a najmniejszy uczelnie techniczne (ok. 16,1%). Należy odnotować fakt utrzymania średniej liczby cytowań, co przy równoczesnym wzroście liczby osób ujętych w rankingu spowodowało spadek indeksu h z 10 na 9. Występuje bardzo duże zróżnicowanie co do ilości i jakości cytowań w każdej z czterech grup uczelni.

Tabl. 6. Zestawienie całkowitej liczby cytowań w 2022 i 2023 r. Dane po ukośniku dotyczą porównania z latami 2021/ 2022 r. (opr. autora)

Wskaźnik/rocznik	2022	2023	Przyrost %
nc(ns) – Polska ogółem	708283	798220	12,7/25,5
nc(ns) – uczelnie techniczne	137989	160192	16,1/22,6
nc(ns) – uniwersytety	138006	193026	39,9/13,2
nc(ns) – uniwersytety medyczne	200872	241652	20,3/50
nc(ns) – uniw. przyrodnicze i rolnicze	25535	34164	33,8/22,3
nc(ns) _{av} – Polska ogółem	620	612	-/14,8

W grupie instytutów naukowych dominują placówki PAN z 47 497 cytowaniami (czyli liczbą porównywalną z CM UJ; Tab. 4) i 78 naukowcami w zestawieniu. Wyróżniają się: Instytut Fizyki Jądrowej PAN (8396 cytowań), Instytut Pomnik – Centrum Zdrowia Dziecka

(6283 cytowań) i Instytut Badań Systemowych PAN (5857 cytowań), które dorównują pod tym względem uniwersytetom z końca pierwszej i drugiej dziesiątki (Tab. 3). Jest kilka instytutów naukowo-badawczych z liczbą cytowań w granicach 3000-4000, np. Instytut Biologii Doświadczalnej PAN (4244 cytowań), Narodowe Centrum Badań Jądrowych (3320), Instytut Farmakologii PAN (3208), Instytut Fizyki PAN (3058), Centrum Badań Molekularnych i Mikromolekularnych PAN (2760). W sumie wnoszą one do dorobku polskich badaczy ponad 93000-95000 cytowań, czyli ok. 12% ogółu dla Polski.

W 2023 r. mamy znaczący wzrost liczby cytowań polskich publikacji (patrz Tab. 2), ale nie poprawiło to indeksu h, co sygnalizowano już w artykule *Cytowalność w świecie* (FA 6/2023). Interesującym materiałem porównawczym jest w kontekście jakości publikacji struktura cytowań przedstawiona dla danych z Polski w Tab. 7.

Tabl. 7. Struktura cytowań w 2023 r. (opr. autora)

Liczba cytowań	Liczba osób	Średnia w grupie
Powyżej 10000	5	19668
5000 - 10000	12	6999
1000 - 5000	119	1844
500 - 1000	245	690
250 - 500	409	359
Poniżej 250	515	157

Z danych zestawionych w Tab. 7 wynikają następujące wnioski: W rankingu najliczniej są reprezentowane osoby, które uzyskały mniej niż 500 cytowań – stanowią 70,8% ogółu. Cytowania w przedziale 500-5000 wykazało 27,9% badaczy. Elitarna grupa z liczbą cytowań powyżej 10 000 to wyłącznie przedstawiciele nauk medycznych. Podium zajmują: prof. Maciej Banach z UMŁ (23 117), dr Roman Topór-Mądry z CM UJ (21 349) i prof. Piotr Ponikowski z UMWr (20 452).

Podsumowanie

W związku z szerszym rozpowszechnieniem rankingu Top 2% Scientists List potrzebujemy analiz zmierzających do wzrostu jakości i autorytetu polskiej nauki. Lista Top 2% może pełnić, a może już pełni, rolę stimulatora do osiągnięcia wyższych pozycji naukowych nie tylko w kraju, ale przede wszystkim w świecie. Przedstawione wyniki analiz i porównań sugerują, że to uczelnie decydują o poten-

cjale publikacyjnym kraju. W ostatnim zestawieniu Top 2% znalazło się 994 (870 w 2022 r.) naukowców, czyli 76,2% (75% w 2022 r.) afiliowanych w uczelniach. Uzyskana przez nich liczba cytowań (629 034) stanowi ok. 78,8% ogółu cytowań polskich badaczy (798 220). W 2023 r. nastąpił zauważalny wzrost liczby cytowanych publikacji, natomiast średnia liczba cytowań dorobku jednego badacza zmniejszyła się nieznacznie do 612. Pod względem liczby cytowań i średniej liczby cytowań uczelnie medyczne wyprzedzają wyraźnie dwie najliczniejsze grupy uczelni, tj. uniwersytety i uczelnie techniczne. Pod względem jakości publikacji uczelnie techniczne (9) są na porównywalnym poziomie z uniwersytetami (10), ale znacznie poniżej uniwersytetów medycznych (12). Średni indeks h wygenerowany przez polskie uczelnie to 9 (w ubiegłorocznym zestawieniu 10). Gwałtowny wzrost liczby cytowań w niektórych uczelniach można łączyć, chociaż hipotetycznie, z masową produkcją publikacji przez międzynarodowe zespoły autorów, które nazwane są „fabrykami artykułów” – research papers mills.

Rozwój kariery naukowej wymaga utrzymania ciągłej i niezawodnej wydajności publikacyjnej, która zazwyczaj jest osiągalna przez stopniowy wkład umożliwiający ustalenie optymalnych kierunków badań. W tym przypadku ogólna ocena dorobku publikacyjnego uczelni wydaje się być pozytywna, chociaż nie stanowi w skali globalnej przełomu.

O skali wyzwań, jakie stoją przed polskimi uczelniami, niech powiedzą dwa przykłady z Belgii i USA (pierwszy dotyczy uczelni technicznych, a drugi całościowego osiągnięcia nauki polskiej). Uniwersytet Techniczny w Berlinie wykazał ok. 140 000 cytowań, czyli liczbę porównywalną z wszystkimi polskimi uczelniami technicznymi. KU Leuven z Belgii (pod koniec pierwszej setki na liście Szanghajskiej) wykazał ok. 500 000 cytowań, czyli tyle, ile łącznie mają publikacje badaczy z polskich uniwersytetów klasycznych i medycznych. Imperial College London (pierwsza dwudziestka na liście Szanghajskiej) wykazał ok. 800 000 cytowań, czyli liczbę porównywalną z wszystkimi uczelniami w Polsce.

Przedstawione wyniki i zestawienia pozostawiam do wnikliwej oceny czytelników. Ucieszą mnie wszystkie merytoryczne komentarze. Wszystkim osobom, które dostały zaszczytu znalezienia się w prestiżowym rankingu Top2% 2024 składam serdeczne gratulacje!

(wit.grzesik@gmail.com, <https://orcid.org/0000-0003-3898-5119>)

Powstanie polska baza czasopism?

Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego Dariusz Wieczorek powołał zespół ds. opracowania koncepcji krajowej bazy czasopism naukowych. Pracami tego gremium będzie kierował prof. dr hab. inż. Wojciech Piasecki z Instytutu Nauk o Morzu i Środowisku Uniwersytetu Szczecińskiego. Pozostali członkowie to: dr hab. inż. Grzegorz Adamiec, prof. PŚ (fizyk), dr hab. Andrzej Bisztyga, prof. UZ (prawnik), dr Aneta Drabek (UŚ), prof. dr hab. inż. Tadeusz Dudycz (PWr), dr hab. Ewa Golachowska, prof. Instytutu Slawistyki PAN, prof. dr hab. inż. Marek Gorgoń (AGH), dr hab. Daniel Młocicki, prof. Instytutu Parazytologii PAN, mgr Danuta Szewczyk-Kłós, dyrektor Biblioteki UO, przewodnicząca Konferencji Dyrektorów Bibliotek Akademickich Szkół Polskich i prof. Daniela Szymańska z UMK (geografka).

Zadania zespołu obejmują: przeprowadzenie analizy istniejących rozwiązań dotyczących tworzenia i funkcjonowania baz czasopism naukowych, opracowanie propozycji kierunkowych rozwią-

zań możliwych do zastosowania w bazie w celu zwiększenia rozpoznawalności polskich czasopism naukowych i wspierania ich rozwoju oraz opracowanie zakresu danych i wymagań niezbędnych do utworzenia bazy czasopism naukowych. Zespół ma zakończyć prace do końca tego roku.

Podczas inauguracyjnego posiedzenia zespołu 12 listopada min. Dariusz Wieczorek powiedział: – Naszym najważniejszym zadaniem jest stworzenie koncepcji bazy czasopism polskich, co pozwoli skuteczniej promować naszych naukowców oraz czasopisma zarówno w kraju, jak i na arenie międzynarodowej. W Polsce istnieje już wiele czasopism naukowych na wysokim poziomie. Ministerstwo powinno posiadać własną bazę, która – nadzorowana przez resort nauki – może ułatwić rozwiązanie wielu problemów.

(mit)

Szkolnictwo wyższe w 2023 roku wg GUS

Pod koniec października Główny Urząd Statystyczny opublikował raport *Szkolnictwo wyższe i jego finanse w 2023 r.* Czytamy w nim, że w roku akademickim 2023/24 w Polsce działało 358 uczelni, ale w publikacji zaprezentowane są dane z 342 uczelni, które złożyły sprawozdania statystyczne. Oznacza to, że 16 uczelni, czyli 4,5% wszystkich, nie wywiązało się z nakładanego przez państwo obowiązku raportowania o swojej działalności i sytuacji.

W roku akademickim 2023/24 we wszystkich uczelniach studioowało 1245,2 tys. osób. Kobiety stanowiły większość 728 464, czyli 58,5%. W uczelniach publicznych uczyło się 64,3% studentów, czyli nieco ponad 800 tys., w niepublicznych 35,7%, czyli 444,5 tys. Na studia stacjonarne uczęszczało 790 428 osób (ok. 63,5%), a niestacjonarne 454 725 (36,5%). Większość studentów trybu stacjonarnego kształciła się w uczelniach publicznych – 645 656, czyli 81,7%. Odmienne jednak wyglądała sytuacja w uczelniach publicznych, w których studenci trybu stacjonarnego stanowili 80,7% wszystkich, a odmiennie w niepublicznych, gdzie w 2023 roku było ich 32,6%. Studenci pierwszego roku w liczbie 358 329 stanowili 28,8% wszystkich. Stacjonarnych było 239 642, czyli 66,9% pierwszorzeczniaków, a niestacjonarnych było 118 687, czyli 33,1%.

W 2023 roku mury uczelni opuściło 292,1 tys. absolwentów, czyli liczba porównywalna z poprzednim rokiem (o 0,2% mniej). Największy odsetek – 53,9% – stanowili absolwenci studiów pierwszego stopnia. Dyplomy magistra i magistra inżyniera miało 46,1% absolwentów; absolwenci jednolitych studiów magisterskich stanowili 8,9% ogółu.

Studenci z niepełnosprawnościami stanowili 1,8% wszystkich studentów, taki sam był odsetek absolwentów z niepełnosprawnościami.

W studiach podyplomowych w roku akademickim 2023/24 uczestniczyło 177,9 tys. osób, czyli o 21,2 tys. więcej niż przed rokiem. To kobiety znacznie częściej niż mężczyźni postanowiły zdobyć dodatkowe kwalifikacje – stanowiły 71,3% ogólnej liczby uczestników studiów podyplomowych.

Warto zauważyć, że w 2023 roku nastąpił wzrost liczby studentów zagranicznych o 1,6% w stosunku do roku 2022. Było ich ponad 107 tys., czyli 8,6% wszystkich studentów w Polsce. To znakomity wynik, o którym od lat marzył Waldemar Siwiński, wieloletni prezes Fundacji Edukacyjnej Perspektywy podejmującej działania na rzecz umiędzynarodowienia polskiego szkolnictwa wyższego. W kolejnym raporcie GUS za rok 2024 zapewne nie będzie tak dobrych danych z powodu obostrzeń wprowadzonych przez rząd w związku z nadużyciami popełnianymi w zakresie przyznawania wiz studenckich przez uczelnie niepubliczne.

Warto spojrzeć na poszczególne uczelnie. Nie ma już ani jednej z ponad 40 tys. studentów. W 2023 roku najczęściej miał ich Uniwersytet Warszawski – 36 477. Tuż za nim był Uniwersytet Jagielloński z 33 5459 tys. studentów. Trzeci z kolei Uniwersytet im. Adama Mickiewicza miał 29 117 studentów. Już tylko dwie uczelnie techniczne miały ponad 20 tys. studentów. To politechniki Wrocławska – 20 970 i Warszawska – 20 851. Największą uczelnią przyrodniczą była (i zapewne jest nadal) Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie z 15 254 studentami. Największym uniwersytem medycznym – Śląski Uniwersytet Medyczny z 10 203 studentami.

W podziale geograficznym najczęściej studentów kształciło się w woj. mazowieckim – 285 465, czyli 22,9% wszystkich. Na kolejnych miejscach były woj. małopolskie – 148 433 (prawie połowę mniej od lidera) i wielkopolskie – 131 033. Najmniej studentów było w woj. lubuskim – tylko 10 989, czyli mniej niż 0,9% ogółu.

W 2023 r. doktoraty przygotowywało 20,6 tys. osób, to o połowę mniej, niż jeszcze kilka lat temu, gdy mieliśmy 40 tys. doktorantów. Na studiach doktoranckich, które wygasną z końcem tego roku, było wciąż 3,2 tys. doktorantów. W szkołach doktorskich było ich 17,4 tys. Kobiety stanowiły 51,5% doktorantów. Na studiach doktorskich było ich 1,9 tys. (59,4%), a w szkołach doktorskich 8,7 tys. (50%).

W roku 2023 stopień lub tytuł naukowy uzyskało 9 649 naukowców. Najwięcej było doktoratów – 7990, w tym 4412 uzyskały kobiety (55%); dalej habilitacji – 1033, w tym 525 uzyskały kobiety (50,8%); wreszcie 626 osób zdobyło tytuł profesora, w tym 261 kobiet (41,78%).

W roku akademickim 2023/24 uczelnie zatrudniały 94,7 tys. nauczycieli akademickich w przeliczeniu na etaty, w tym 46,1 tys. kobiet (48,7%). Najwięcej nauczycieli akademickich pracowało na stanowisku adiunkta – 42 tys. osób (w tym 4150 z habilitacją) oraz na stanowisku profesora – 27,5 tys., w tym 9,4 tys. z tytułem profesora. W tej ostatniej grupie był najniższy odsetek kobiet – 37%. Najwyższy udział kobiety miały w gronie asystentów – 56,1%. Uczelnie zatrudniały 77,3 tys. pracowników niebędących nauczycielami akademickimi.

W 2023 roku szkoły wyższe w Polsce zanotowały dodatni wynik finansowy netto w wysokości 807 mln 025,7 tys. zł. Na uczelnie publiczne przypadało 648 mln 386,8 tys. zł, z czego podległe MNiSW – 524 mln 026,5 tys. zł, podległe ministrowi zdrowia – 92 mln 277 tys. zł, a ministrowi kultury – tylko 7 mln 5,4 tys. zł. Pozostałe uczelnie publiczne wypracowały 25 mln 77,9 tys. zł zysku netto. Uczelnie niepubliczne odnotowały wynik netto na poziomie 158 mln 638,9 tys. zł. Porównajmy te wartości do ubiegłego roku, pamiętając, co w październikowym numerze FA pisał na temat kondycji finansowej uniwersytetów klasycznych prof. Mirosław Gornowicz, były przewodniczący Uniwersyteckiej Komisji Nauki: tak źle nie było od dekady! Nie doszło do tego niespodziewanie, gdyż rok wcześniej ten sam autor ostrzegał na łamach FA, że kończy się okres względnie stabilny. Przypomnijmy zatem, że w 2022 roku uczelnie publiczne zanotowały niemal rekordowe 1 mld 115,7 mln zł zysku netto, czyli o ponad 42% lepszy wynik niż w roku 2023. Najwyższy wynik finansowy w ostatnich 30 latach miały zaś w 2019 roku – 1 mld 763 mln zł. Dodajmy jeszcze, że tegoroczny wynik finansowy tego sektora jest najniższy w ostatnich pięciu latach. Podobnie jest z wynikiem uczelni niepublicznych za rok 2023 – najniższy od pięciu lat; stanowi tylko 38,6% tego z 2022 roku.

Odmienne kształtują się przychody obu tych grup z podstawowej działalności operacyjnej. W uczelniach publicznych 66,3% tych przychodów stanowiła subwencja na utrzymanie potencjału dydaktycznego i badawczego. W niepublicznych – tylko 10,2%. Także inne dotacje państwowe w publicznych dawały 5,7% przychodów, a w niepublicznych tylko 1,8%. Zupełnie inaczej rzecz się miała z opłatami za usługi edukacyjne. U „prywatyzacji” stanowiły one 75,9% przychodów z działalności operacyjnej, a w uczelniach publicznych tylko 6,4%. Granty NCBR to w publicznych 1,5%, a w niepublicznych – 2,7% przychodów. Granty NCN odpowiednio 2,7% i 0,6% przychodów z podstawowej działalności operacyjnej.

Koszt kształcenia jednego studenta wynosił w Polsce w 2023 roku 30 624 zł. Przy czym średnią zaniżały uczelnie niepubliczne, w których wyniósł on tylko 11 139 zł, podczas gdy w publicznych było to 40 323 zł. Jednak nie we wszystkich. W tych, które nadzoruje MNiSW, wyniósł on 37 tys. zł, ale już w uczelniach podległych Ministerstwu Zdrowia 48 900 zł, a w uczelniach artystycznych aż 62 622 tys. zł i podobnie w pozostałych.

(p)

Wielu badaczy zapomina o tym, kiedy publikuje po angielsku

Publikowanie w anglojęzycznych pozycjach naukowych to krok w stronę widoczności międzynarodowej. Obecność w globalnych dyskusjach wymaga jednak stosowania się do ich zasad. Jak napisać tekst, który brzmi naturalnie, jakby stworzył go *native speaker*, a jednocześnie wzmocnić przekaz? Dr Mikołaj Golubiewski, twórca Grupy Mowa, która wspiera polskich naukowców w obiegu anglojęzycznym, przedstawia kluczowe aspekty, o które należy zadbać, by Twój tekst zyskał widoczność w obiegu międzynarodowym.

1. Myśl po angielsku – poznaj kulturę wypowiedzi

Zrozumienie anglosaskiej kultury akademickiej to podstawa. W anglojęzycznym dyskursie naukowym tekst postrzegany jest jako mocny głos w szerszej dyskusji, a nie wyczerpująca synteza. W przeciwieństwie do polskiej tradycji angielski akcentuje wypowiedzi pierwszoosobowe. Unikaj zatem strony biernej na rzecz czynnej. Lepiej podać jeden wyrazisty przykład zamiast rozbudowanych wycień. Anglosasi uważają, że specjalista powinien decydować za odbiorców, co jest najciekawsze do omówienia.

2. Pułapki terminologiczne – jak unikać błędów w przekładzie pojęć

Precyzyjne użycie terminów dla danej dziedziny jest kluczowe w udziale w międzynarodowych dyskusjach naukowych. Np. w naukach o zarządzaniu polskie „renta pierwszeństwa” to *first-mover advantage*, a nie dość absurdalne *priority annuity*, które znajdziemy w źle przełożonych publikacjach. Podobnie termin lingwistyczny „fortunność” to nie *fortune*, lecz *felicity*. Aby uniknąć błędów, warto sprawdzać funkcjonowanie terminów w anglojęzycznej literaturze przedmiotu, a nawet w Wikipedii, bo przedstawia aktualny konsensus terminologiczny.

3. Akademicki szyk zdania – doszlifuj styl i formatowanie

Konwencje anglojęzyczne mocno różnią się od polskich, a każdy wydawca ma własne wymagania dotyczące formatowania. Do tego obszaru należą rodzaje cudzysłowów, zasady stosowania pauz i półpauz czy zapis przypisów, skrótów bibliograficznych i tytułów. Zanim wyślesz tekst, upewnij się, że jest dostosowany do oczekiwań wydawcy, bo późniejsze poprawki bywają frustrujące.

4. Poprawne cytowanie – jak korzystać z angielskich źródeł

Przekład cytatów z polskiego na angielski jest nieprofesjonalny i może wprowadzić nieścisłości. Zamiast cytować literaturę z polskich wydań, szukaj oryginalnych anglojęzycznych edycji. Korzystaj z kwerend internetowych i baz danych,

takich jak JSTOR czy Google Books, by znaleźć właściwe anglojęzyczne wersje cytowanych dzieł i precyzyjnie wskazać strony.

5. AI to narzędzie, nie rozwiązanie

Choć narzędzia oparte na sztucznej inteligencji stają się coraz popularniejsze, nadal wprowadzają wiele błędów, zwłaszcza w języku naukowym. AI często tłumaczy terminologię techniczną dosłownie. Weźmy termin „aktualizacja” u Arystotelesa, błędnie tłumaczony przez AI jako *update* zamiast *actualization*. Często ofiarą tłumaczenia maszynowego pada też sens zdań, które w tekstach akademickich bywają złożone. Zawsze sprawdzaj tłumaczenia automatyczne i literaturę źródłową, a przy najmniejszej wątpliwości skonsultuj je z ekspertem z danej dziedziny.



6. Znajdź idealnego wydawcę – od aplikacji do publikacji

Dobór odpowiedniego czasopisma/wydawnictwa to krok kluczowy. Zanim wyślesz tekst, upewnij się, że pasuje do profilu publikacji czy tematyki planowanych numerów. Wielki pożytek może też przynieść przygotowanie *cover letter* z dobrym uzasadnieniem, aplikacji wydawniczej czy formularzy publikacyjnych. Warto też nawiązać kontakt z redaktorem prowadzącym i skrupulatnie monitorować proces recenzji oraz składu.

Profesjonalna publikacja – klucz do sukcesu

Publikacja naukowa w anglojęzycznym środowisku to wyzwanie, które wymaga więcej niż tylko przekładu. Znajomość kultury wypowiedzi i konwencji akademickich, precyzyjna terminologia i dbałość o szczegóły edytorskie są kluczowe. Jeśli potrzebujesz wsparcia w tym procesie, skontaktuj się z Grupą Mowa – gwarantujemy językową skuteczność Twojej publikacji.

Mowa }
www.grupamowa.pl

Uniwersytet kształtuje rzeczywistość

Prof. Alojzy Nowak, rektor Uniwersytetu Warszawskiego, który niedawno objął prezydenturę w uniwersytecie europejskim 4EU+, mówi o dotychczasowych przedsięwzięciach, ich finansowaniu i roli prezydentury UW w sojuszu.

Uniwersytet Warszawski jest jedną z czterech uczelni założycielskich Sojuszu, którego początki sięgają 2018 roku. Od tego czasu aktywnie uczestniczy we wszystkich działaniach 4EU+, współtworząc ofertę edukacyjną, badawczą, realizując wspólne projekty i inicjatywy związane z innowacyjnością, transferem technologii i społeczną odpowiedzialnością uczelni. Sojusz tworzy obecnie osiem uczelni: Uniwersytet Karola, Uniwersytet w Heidelbergu, Uniwersytet Paris-Panthéon-Assas, Uniwersytet Sorboński, Uniwersytet Kopenhaski, Uniwersytet w Mediolanie, Uniwersytet Genewski i Uniwersytet Warszawski. 4EU+ jest niewątpliwie jedną z naszych inicjatyw strategicznych. W ciągu sześciu lat jego funkcjonowania studentki i studenci oraz doktorantki i doktoranci Uniwersytetu Warszawskiego uczestniczyli w licznych wspólnych aktywnościach, takich jak: projekty edukacyjne, szkoły letnie i zimowe, warsztaty, kursy podyplomowe, projekty w ramach minigrantów studenckich i badawczych. Organizujemy także warsztaty doskonalenia umiejętności i wyjazdy studyjne dla pracowników akademickich, oferujemy tzw. 4EU+ shared courses – zajęcia online uczelni członkowskich, które są udostępniane studentom i doktorantom zarówno z UW, jak i pozostałych uniwersytetów. Współtworzymy także trzy międzynarodowe studia wspólne drugiego stopnia, powstałe w wyniku współpracy uczelni 4EU+: Global Environment and Development (MERGED), Migration Studies and New Societies, M3EP – Joint Master in European Environmental Economics and Policy.

We wrześniu bieżącego roku, otrzymaliśmy informację, że nasz sojusz uzyskał środki na tworzenie kolejnego kierunku studiów – BioMS: Erasmus Mundus Design Measures: Joint Master in Biodiversity. Będzie to pierwszy kierunek przygotowywany w programie Erasmus Mundus Design Measures, który koordynujemy. Traktujemy to jako wielki sukces Uniwersytetu Warszawskiego.

Pod kierunkiem uniwersyteckiego zespołu IT rozwijana jest platforma 4EU+ Student Portal, na której wszyscy zainteresowani studenci zrzeszonych w sojuszu uniwersytetów mogą znaleźć aktualną ofertę zajęć. Oprócz tego planowane jest uruchomienie nowych funkcjonalności platformy: katalogu z ofertą podwyższającą kompetencje osób studiujących oraz katalogu z ofertami fizycznej mobilności i wymiany studenckiej.

W latach 2020-2023 Uniwersytet Warszawski był zaangażowany w realizację projektu badawczego *TRAIN4EU+*, prowadzonego ze środków programu Horyzont 2020. W aktualnie trwającym projekcie „4EU+ 1CORE”, finansowanym ze środków Erasmus+, którego celem jest rozwój modelu jednolitego europejskiego uniwersytetu badawczego, pracownicy UW aktywnie uczestniczą w działaniach wszystkich siedmiu pakietów prac, a kierujemy pakietem 7. „Communication and Dissemination”, który dotyczy komunikacji oraz upowszechniania rezultatów projektu.

Od 2022 roku Uniwersytet Warszawski koordynuje także aktywności wspierające uczelnie z Ukrainy „4EU+ for Ukraine”. To projekt realizowany przez UW w programie NAWA „Solidarni z Ukrainą”, którego celem jest wzmocnienie i rozwój współpracy sojuszu z trzema uczel-

niami partnerskimi z Ukrainy. Dofinansowanie od NAWA otrzymaliśmy także w ramach programu „Wsparcie Uniwersytetów Europejskich” oraz – w październiku tego roku – na projekt „4EU+ Eternity”.

Dwie kolejne istotne dla Uniwersytetu Warszawskiego inicjatywy sojuszu to konkursy wspierające projekty badawcze i edukacyjne. W 2023 roku w ramach programu „4EU+ Visiting Professorships” czworo pracowników naukowo-dydaktycznych z Uniwersytetu Warszawskiego otrzymało dofinansowanie na kilkumiesięczny



pobyt w uczelni partnerskiej 4EU+, służący rozwijaniu międzynarodowej współpracy w obszarze badań i edukacji. W nowej edycji wyłoniono kolejne cztery osoby, które wyjadą na inne uczelnie. Konkurs *SEED4EU+* służy wspieraniu inicjatyw międzyuczelnianych zespołów z uniwersytetów 4EU+ w obszarze edukacji, badań i innowacji. Uniwersytet Warszawski jest zaangażowany w realizację 11 spośród 17 projektów, które otrzymały dofinansowanie. Jako członek sojuszu 4EU+ uniwersytet wziął również udział w dwóch pilotażowych projektach finansowanych ze środków Unii Europejskiej: „European Status for ECIU University” (ESEU) oraz „European Degree Label” (ED-AFFICHE), które mają służyć pogłębieniu współpracy akademickiej w Europie.

Większość działań podejmowanych przez 4EU+ jest finansowana ze środków unijnych, w związku z inicjatywami Komisji Europejskiej, głównie w ramach programów Erasmus+, Erasmus Mundus, wcześniej także Horyzont 2020, ale też ze źródeł krajowych, np. programów NAWA czy ministerialnych. Oczywiście także z budżetów własnych uczelni oraz konsorcjum 4EU+. Przykładem działania wspieranego przez fundusze uczelniane są minigranty na projekty edukacyjne i studenckie Uniwersytetu Karola, Uniwersytetu Genewskiego oraz Uniwersytetu Warszawskiego. W naszym przypadku finansowanie pochodziło z programu IDUB.

Przyjęliśmy założenie, że połowa naszych studentek i studentów skorzysta z różnych form mobilności: fizycznej, wirtualnej i mieszanej. Mogą być beneficjentami mobilności, uczęszczając np. na zajęcia prowadzone przez wykładowcę z innej uczelni 4EU+. W ramach sojuszu staramy się wypracować jak najszerszą ofertę mobilności fizycznych (krótko i długoterminowych) oraz bogatą ofertę wirtualną. Wyzwaniem jest monitorowanie i raportowanie liczby mobilności. Przy stale rosnącej liczbie mobilnych studentów i pracowników konieczne jest wdrożenie efektywnych rozwiązań IT, które umożliwią rejestrację wszystkich wyjazdów i przyjazdów, co będzie wymagało znacznych nakładów finansowych. Największym wyzwaniem jest raportowanie mobilności finansowanych ze źródeł innych niż Erasmus+ czy centralnie zarządzane granty i projekty.

Prezydentura w Sojuszu jest sprawowana w systemie rotacyjnym, co roku obejmuje ją inny uniwersytet. Podstawową zasadą naszej współpracy jest równość i demokracja. Każda uczelnia członkowska ma równe prawa, równy głos i decyzyjność we wszystkich sprawach. Prezydentura 4EU+ to nadawanie biegu pracom nad strategiczną wizją sojuszu i ustalanie porządku jego prac przez cały rok akademicki. To także koordynacja aktywności dwóch ciał zarządzających sojuszem: 4EU+ Governing Board (Rada Zarządzająca 4EU+)

i 4EU+ Management Committee (Komitet Zarządzający 4EU+). Jednym z celów naszej prezydencji będzie kontynuacja pracy nad wdrożeniem Strategii 4EU+ na lata 2025-2035, sfinalizowanej w tym roku przez Uniwersytet Mediolański, od którego przejęliśmy kierownictwo w 4EU+. Co ważne, przewodniczenie sojuszu przez Uniwersytet Warszawski przypada w bardzo symbolicznym momencie: prezydencji Polski w Radzie UE. Będzie to na pewno doskonała okazja do poruszenia ważnych dla sojuszu i Uniwersytetu Warszawskiego kwestii na szerszym forum, np. tworzenia wspólnych programów studiów i dyplomów. Dodatkowo na UW stawiamy sobie jeszcze jedno ważne zadanie, które zresztą rektorzy innych uczelni też realizowali, a mianowicie spotkania z Komisją Europejską, żeby przekonać jej członków do zwiększenia środków na finansowanie tego typu współpracy akademickiej.

Na *Annual Meeting*, które zorganizowaliśmy niedawno na naszym uniwersytecie, gościliśmy Pana Dariusza Wieczorka, ministra nauki, który podkreślił w swoim wystąpieniu, że udział polskich uczelni w sojuszach Uniwersytetów Europejskich jest dla ministerstwa priorytetem. Aktywność Uniwersytetu Warszawskiego w budowaniu sojuszu 4EU+ i realizacji jego misji to wielka szansa na silne umiędzyznarodowienie naszej uczelni i polskiego szkol-

nictwa wyższego. Uczestniczymy w wielu udanych inicjatywach i projektach. UW współtworzy 4EU+ od początku jego istnienia i przez kilka lat udało nam się osiągnąć naprawdę wiele, szczególnie w zakresie budowania wspólnych struktur edukacyjnych. Większość przedsięwzięć badawczych i edukacyjnych, które są realizowane w sojuszu 4EU+, dotyczy czterech programów flagowych (tzw. flagshipów): „Zdrowie i zmiany demograficzne w środowisku miejskim”; „Europejskość: wielojęzyczność, różnorodność, obywatelstwo”; „Dane – Modele – Transformacje” oraz „Przemiany środowiskowe”. Nacisk na rozwój badań naukowych i wspieranie międzyuczelnianych zespołów badawczych, choćby poprzez fundowanie projektów we wspomnianej wcześniej inicjatywie *SEED4EU+*, to ważny element naszej strategii na kolejne lata i szansa na dalszy rozwój. Nasz świat się zmienia, rola uczelni również musi się zmieniać. Uniwersytet nie tylko dostosowuje się do ewoluującej rzeczywistości, lecz także musi ją kształtować. Intensyfikacja wymiany akademickiej, międzyuczelniana współpraca, tworzenie wspólnych ścieżek kształcenia, cyfryzacja, prowadzenie działań z zakresu społecznej odpowiedzialności uczelni czy wypracowanie rozwiązań dotyczących wydawania mikropoświadczeń to nasze podstawowe zadania i cele.

NCN CHANCE – Kryzys i Dobrobyt

KRAKÓW Sześć polskich zespołów badawczych zdobyło finansowanie w konkursach Crisis i Well-being, organizowanych przez Narodowe Centrum Nauki w programie CHANCE we współpracy z sieciami HERA i NORFACE. CHANCE (Collaboration of Humanities and Social Sciences in Europe) to jeden z dwóch międzynarodowych programów typu ERA-NET koordynowanych przez NCN. Zrzesza on 27 agencji finansujących badania z 24 krajów europejskich. Badania mają dać odpowiedzi na wyzwania społeczne i kulturowe. O finansowanie w obu konkursach mogły ubiegać się konsorcja międzynarodowe złożone z co najmniej 4 do 6 zespołów badawczych, pochodzących z co najmniej 4 krajów, biorących udział w danym konkursie. Do konkursu Well-being zgłoszono 159 wniosków, a do konkursu Crisis – 205. Po dwustopniowym procesie ewaluacji do finansowania rekomendowano po 36 projektów w każdym z konkursów. Decyzją Rady konkursów (stworzonych z krajowych agencji finansujących badania) w konkursie Enhancing Well-being for the Future na liście laureatów znalazło się 10 projektów, w 4 uczestniczą zespoły z Polski. W konkursie Crisis – Perspectives from the Humanities dofinansowanie otrzyma 10 projektów, w tym 2 z udziałem polskich zespołów badawczych. W nagrodzonych projektach zaangażowane będą w sumie 93 zespoły badawcze z 21 krajów.

Polscy badacze będą uczestniczyć w czterech projektach konkursu Enhancing Well-being for the Future. Projektem „LGBTI_FUTURES – Dobrostan młodych osób LGBTI+ w Europie – wyobrażone przyszłości w czasach niepewności” kieruje dr Justyna Struzik z Uniwersytetu Jagiellońskiego, a partnerami polskiej uczelni są instytucje z Estonii, Szwajcarii, Szwecji i Wielkiej Brytanii. Dr Anna Gromada z Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk kieruje polskim zespołem w projekcie „WELLMOD – Model Mikrosymulacyjny Dobrostanu Przyszłości”, a projekt będzie realizowany z udziałem partnerów z Francji, Luksemburga oraz Wiel-

kiej Brytanii. Dr hab. Michał Brzeziński z Uniwersytetu Warszawskiego kieruje polskim zespołem w projekcie „WELLSIM – Wielowymiarowy dobrobyt społeczny w pięciu krajach europejskich z perspektywy mikrosymulacji przebiegu życia”. Projekt będzie realizowany z udziałem partnerów z Niemiec, Hiszpanii, Szwecji oraz Wielkiej Brytanii. Za polską część projektu „WOW – Dobrostan kobiet w sieci: analiza zjawiska przemocy cyfrowej wobec kobiet w Europie” odpowiada dr hab. Witold Klaus z Instytutu Nauk Prawnych PAN. Projekt będzie realizowany z udziałem partnerów z Hiszpanii, Szwecji oraz Wielkiej Brytanii.

Polskie zespoły naukowe uczestniczą w dwóch projektach konkursu Crisis – Perspectives from the Humanities. Zespół pod kierunkiem dr Izabeli Skoczeń z UJ wraz z partnerami z Austrii, Rumunii i Szwajcarii realizuje projekt „NIHAL – Normy w językowej komunikacji pomiędzy sztuczną inteligencją a człowiekiem”. Polską grupą w projekcie „RELIDEM – Religijne przeorganizowanie i demokratyczna rezyliencja: studium porównawcze religijnych reakcji na kryzysy (geo)polityczne” pokieruje dr hab. Katarzyna Zielińska z UJ, a badania będą realizowane w kooperacji z grupami naukowymi z Finlandii, Litwy oraz Szwecji. W sumie aż 3 „polskie” projekty będą realizowane przez zespoły z najstarszego polskiego uniwersytetu.

(MDW)



Miejsce spotkań liderów

Prof. Jerzy Woźnicki, prezes Fundacji Rektorów Polskich

LUMEN – Leaders University Management – to inicjatywa, która trwa już dziesięć lat. Zrealizowaliśmy dwie formy aktywności. Pierwsza to coroczna konferencja pod nazwą LUMEN, a druga to organizowane kilkakrotnie konkursy na wybitne osiągnięcia w zakresie zarządzania na różnych poziomach. Ta część naszej aktywności została zakończona z chwilą wybuchu pandemii i postanowiono nie wracać do tego. Jednak, podczas jubileuszowej konferencji chcemy uhonorować statuetkami osoby za wkład w różne działania zarządcze, referowane podczas obrad, i szerzej w rozwój szkolnictwa wyższego.

Projekt LUMEN dotyczy wskazywania i kreowania liderów jako organów zarządzających w nauce i w szkolnictwie wyższym. Chodzi o kompetencje kadr kierowniczych szkolnictwa wyższego, a nie osiągnięcia samych wybitnych naukowców. Tego dotyczy pierwszy dzień obrad, za który odpowiedzialność bierze Fundacja Rektorów Polskich. Drugi dzień jest czasem spotkań kadry kierowniczej informatycznych działów uczelni, czyli osób zaangażowanych w procesy cyfryzacji. To nie tylko wykłady i dyskusje, ale także miejsce na spotkanie z firmą PCG Academia, która oprócz kompetencji w zakresie cyfryzacji i możliwości konsultingu w tym zakresie, oferuje pewne wyjątkowe produkty, które mogą poprawiać efektywność zarządzania uczelnią.

Merytorycznie chodzi nam o rozwój kompetencji liderów szkolnictwa wyższego. Inaczej niż w korporacji, gdzie lider może wszystko, rektor uniwersytetu, choćby mu formalnie dać nie wiem jak wielką władzę, co pod pewnymi względami zrobiła ustawa z 2018 roku, faktycznie podlega dwóm istotnym ograniczeniom: rektor ma duże kompetencje, ale jedynie w okresie ograniczonym do dwóch kadencji, a czasami tylko do jednej. To silne ograniczenie. Dlatego w ustawie z 2005 roku wydłużyliśmy kadencje rektorskie z trzech do czterech lat. Drugie ograniczenie jest takie, że pozostając profesorem, rektor po zakończeniu swojej misji, wraca do środowiska wydziałowego czy instytutowego, do badań naukowych. To bywają bardzo trudne powroty. Gdy to środowisko uzna, że profesor jako rektor nie „zaopiekował się” dość dobrze swoim bliskim otoczeniem naukowym, bywa nawet poddawany pewnemu ostracyzmowi. A przecież w Kodeksie Dobrych Praktyk KRASP stwierdza się, że rektor nie powinien faworyzować, także finansowo, swojej jednostki uczelnianej.

Uczelnia tym się różni od przedsiębiorstwa, że ma ona interesariuszy na rzecz których pracuje, a nie udziałowców, którym należy

się udział w zyskach finansowych. To powinno zmieniać postrzeganie misji. Myślę, że kadra, zwłaszcza w ostatnich latach, ma rosnące poczucie etosu, coraz częściej mówimy o wartościach akademickich, jednak coraz mniejsza jest identyfikacja z uczelnią, co wyraża się choćby w tym, że coraz mniej jest chętnych do pełnienia funkcji w organach akademickich.

Liderzy w szkolnictwie wyższym, inaczej niż w biznesie, są wybierani przez własne środowisko. To dobrze, że coraz częściej wybiera się ludzi odważnych, przedstawiających określoną wizję rozwoju uczelni. Doświadczenie ostatnich kadencji uczy, że wybór spolegliwego kolegi, który „nie przeszkadza” – tak się mówiło w latach 90. – wcale nie musi być dobrym rozwiązaniem. Ludzie widzą, że ważne jest, gdy rektor potrafi poprawiać pozycjonowanie swojej uczelni, co daje zauważalne korzyści całej społeczności. Także aktywność i uznanie rektora i jego dokonań w środowisku rektorskim jest pewnego rodzaju potwierdzeniem jego pozycji lidera. To dlatego przesłaliśmy w FRP od kształcenia zarządców uczelni, do rozwijania kompetencji liderów uczelni, którzy nie tylko

potrafią zarządzać zasobami, ale także są autorytetami i w swoim środowisku, i na zewnątrz uczelni.

Uważam, że to dobrze, że w szkolnictwie wyższym pojawiła się inicjatywa Prezydenta PCG Williama Mosakowskiego, także w naszym kraju, oferowania usług konsultingowych dla uczelni. To stworzyło nową jakość. Wzmogło zainteresowanie procesami zarządzania w polskich uczelniach i przyczyniło się do rozwoju działań na rzecz ich cyfryzacji.

Wystąpiłem na pierwszej konferencji LUMEN, gdy FRP nie była jeszcze partnerem tego wydarzenia, jako gość specjalny, który przedstawił rozróżnienie, poprzez precyzyjne zdefiniowanie, między zarządzaniem, governance i polityką publiczną. Od drugiej konferencji Fundacja jest partnerem PCG w organizacji tego wydarzenia. Osobiście odpowiadam za pierwszy dzień obrad, a szczególnie za pierwszy panel, poświęcony jakiejś aktualnej sprawie, związanej z prawodawstwem, umiędzynarodowieniem, konsolidacjami, finansowaniem, a zatem zagadnieniom z poziomu systemowego, a nie instytucjonalnego, i z perspektywą strategiczną. Uczestniczą w nim wybitni przedstawiciele środowiska, rektorzy, szefowie KRASP, ministrowie. Za sukces PCG uważam pozyskanie Times Higher Education do naszej inicjatywy. To jest ważny partner zagraniczny w organizacji konferencji LUMEN.

Strefa bezpieczeństwa

Prof. Łukasz Sułkowski, prezes PCG Academia

W tradycyjnej kulturze akademickiej jeszcze 10-15 lat temu mieliśmy kłopot z używaniem terminu zarządzanie strategiczne, odnosząc go jedynie do korporacji gospodarczych – i jest to słuszne skrajanie. Jednak poprzez adaptację rozwiązań, które wywodzą się z biznesu i zarządzania publicznego, dokonujemy zmian w przywódz-

twie i organizacji uczelni, dokonuje się profesjonalizacja zarządzania, która idzie od poziomu top managementu akademickiego w dół struktur uczelnianych. Obszar strategii to nie wszystko. Musi być przejście do sfery operacyjnej, ciągłość obu tych wyróżnionych wyraźnie, ale ostatecznie łączących się poziomów zarządzania i działania uczelni.

Problematyka zarządzania strategicznego i liderów przeszła do świata akademii z kultury korporacyjnej. W tradycyjnej kulturze akademickiej akcentowane było zarządzanie kolektywne, podkreślano rolę senatów i różnych rad. *Primus inter pares* dobrze określa ten model lidera. Na świecie obserwujemy wędrówkę zorientowaną na odpowiedzialność, na małe zespoły i to znajduje odzwierciedlenie w wielu organizacjach biznesowych. Powolny odwrót od kolektywu dokonuje się również w nauce. Skala jest mierzona w dekadach, ale na przykład w wielu uczelniach azjatyckich, młodych, budowanych od podstaw bądź gruntownie reformowanych, od razu wprowadza się właśnie taki model zarządzania, odpowiedzialność jednoosobową i organizowanie małych zespołów operacyjnych. Polskie szkolnictwo wyższe musi nieco przyspieszyć. Powinno działać efektywnie, ale nie może zatracić poczucia partycypacji. To bardzo trudne, to wędrówka między Scyllą a Charybdą. Zwróciliśmy się w stronę zarządzania profesjonalnego i scentralizowanego w ustawie z 2018 roku, choć jej ostateczna wersja daleka jest od jednoznacznego rozwiązania tego rodzaju. Każda polityka publiczna wymaga monitorowania i korekt. Jeśli pewne założenia i rozwiązania prawne zostały przyjęte, to w trakcie implementacji i po wdrożeniu do praktyki powinny być analizowane i korygowane. Tymczasem popadliśmy w dryf i płyniemy w sposób niekontrolowany. Znany przykładem jest lista czasopism, do której dołożono periodyki nieindeksowane w bazach międzynarodowych; elementem korekty powinno być usuwanie czasopism drapieżnych, a to się nie dzieje.

LUMEN wziął się z potrzeby profesjonalizacji zarządzania, które zaczyna się na poziomie zarządzania strategicznego, ale schodzi na niższe poziomy, zarządzania ludźmi, talentami, procesami informatyzacji, marketingu i brandingu uczelni. Czasami wydaje nam się, że te zmiany zachodzą w naszej akademii zbyt gwałtownie, ale świat idzie jeszcze szybciej i jest w tym bardziej konsekwentny. Podobnie jest z AI – wydaje nam się, że to idzie szybko, a faktycznie pozostajemy poniżej średniej europejskiej, a z kolei Europa jest daleko w tyle za Ameryką i Chinami. Drugi element to spojrzenie z perspektywy uczelni, które są organizacjami etosowymi, ale podobnie jak wszystkie systemy organizacyjne składają się ze struktur organizacyjnych, strategii, personelu. Stosując filtr zarządzania, chodzi nam o ciągłą poprawę, którą chcielibyśmy widzieć w instytucji, na wszystkich poziomach. W przypadku uczelni to nie jest łatwa sprawa, gdyż ciężka tradycja kultury akademicka. Mam ambiwalentne odczucia co do tego zjawiska, w mojej książce zapytałem, czy to koniec utopii, bo z jednej strony żal uniwersytetu humboldtowskiego, zasad etosowych, które sprawiały, że w sferze edukacji i nauki nie była potrzebna kontrola, nie trzeba było niczego sprawdzać, że biurokratyzujemy się, przekształcamy w systemy: u góry cele strategiczne, procesy, algorytmy, że zarządzamy, monitorujemy, stosujemy kontroling. Powstaje uniwersytet przedsiębiorczy, który musi konkurować z tymi, którzy biegną szybciej. Kto się nie dostosuje, przegrywa. Uniwersytet staje wobec instytucji, które oferują tańsze i szybciej uzyskiwane pakiety określonych kompetencji – to jest rodzaj *bypassów* wiedzy. W pozaakademickim kształceniu można zdobyć te pakiety kompetencji, szybciej i taniej. Ale to nie jest wiedza w sensie klasycznym. Kolejne takie wyzwanie to AI, która zastępuje wiele czynności intelektualnych, które przez dekady były uważane za zastrzeżone dla uniwersytetu. Bez profesjonalizacji zarządzania uniwersytet przegra konkurencję. To jest przesłanka do przejścia do uniwersytetu cyfrowego.

Profesjonalizacja zarządzania realizuje się w długim dystansie. Wizja strategiczna – to do czego chcemy dojść – to horyzont mniej

więcej dziesięciu lat. Do ogólnej wizji możemy dobudować cele strategiczne na krótsze dystanse, bowiem otoczenie jest turbulentne, rzeczywistość jest zbyt złożona i nieprzewidywalna, aby budować konkretne cele na dłuższe okresy, takie cele mogą się zbyt szybko zdezaktualizować. Model jednoosobowy (i małych zespołów) w biznesie jest uwikłany w system *check and balance*. Gdy wyjmemy jedno lub kilka rozwiązań z tego systemu, żeby go zaimplementować do akademii, np. jednoosobową odpowiedzialność rektora, ale bez równowagi sił, to nie zbudujemy dobrego i skutecznego systemu. Minister może odwołać rektora, gdy już wszystko się zawaliło? Nie o to chodzi. Rektor musi być rozliczany i musi być ktoś, kto to robi. Miały to być rady



uczelni. Ale już na etapie procedowania ustawy ten system rozmontowano, rady nie mają funkcji nadzorczych, jak pierwotnie projektowano, a co najwyżej doradcze. Także mechanizmy wyboru do tych rad są wadliwe, nieodporne na zawłaszczenie. W polskiej uczelni publicznej nikt nie rozlicza rektora, nie ma mechanizmu kontroli.

Wadą dotychczasowego etosowego systemu akademickiego była coraz bardziej widoczna petryfikacja, rozrost przywilejów wraz z senioratem, rola nie zawsze dobrze pojętych autorytetów. A może powinniśmy również uczyć się od młodszych, którym bliższe są choćby narzędzia i metody cyfrowe?

Konferencje LUMEN przez dziesięć lat budowały świadomość wagi zarządzania strategicznego i jego przełożenia na obszary funkcjonalne. Świadomości tego, że aby zrealizować strategię, trzeba doskonalić w uczelni systemy IT – nie jeden system dziekanatowy, ale objąć cyfryzacją cały obszar działania uniwersytetu. LUMEN wydarzył się w bardzo dobrym momencie, gdy do uczelni napłynęły bardzo duże fundusze europejskie. Pojawiła się przestrzeń – w związku ze świadomością, że zagraniczne uczelnie nam uciekają – i dzięki możliwości wydatkowania środków na profesjonalizację zarządzania akademickiego. Musimy uczyć się, jak nie traktować zarządzania jako biurokracji, ale jako czynienie pracy ludzi bardziej efektywną i przez to satysfakcjonującą. Bo dobre zarządzanie daje korzyści nie tylko organizacji/instytucji, ale także jej pracownikom – to można chyba uznać za punkt wspólny z tradycją akademicką. Przez dziesięć lat podczas LUMENU spotykają się w przyjaznej atmosferze ludzie, którzy zajmują się zarządzaniem strategicznym, rozmawiają ze sobą, ale też z ekspertami. Nasz konkurs pokazywał i nagradzał dobre praktyki, a przez to miał znaczenie motywujące. Pierwszy dzień obrad przeznaczony jest dla decydentów, rektorów, kadry zarządzającej – to oni tam wiodą prym. Jest jak klub biznesowy, w którym liderzy zarządzania mają swoją strefę bezpieczeństwa, która pozwala na szczerą rozmowę.

Nazwa LUMEN to właściwie akronim od *Leaders of University Management*, ale jednocześnie bardzo pasowała nam metafora światła. Istnieje rola oświeceniowa tych spotkań. Mam słabość do swojego akademickiego backgroundu. Uważam, że zarządzanie niesie ze sobą misję, choć musi być traktowane w sposób krytyczny. Również na zarządzanie należy patrzeć jak na proces, który może instrumentalizować człowieka w zespole, bo stawia cele ekonomiczne czy funkcjonalne na czele. Cieszę się, że w świecie uniwersytetu zarządzanie wciąż ma charakter misyjny. Jednak nie ma już ucieczki od profesjonalizacji przywództwa, kultury organizacyjnej, wizji strategicznej. Świat akademicki, który jest mi tak bliski, musi się modernizować, bo bierze udział w światowym wyścigu, którego uczestnicy nie startują na równych warunkach.

Notował Piotr Kieraciński

Rozmowa z dr. hab. inż. Januszem Uriaszem, prof. Politechniki Morskiej w Szczecinie, przewodniczącym Polskiej Komisji Akredytacyjnej

PKA powinna być podmiotem prawnym

Z trudem obroniliśmy swoje członkostwo w ENQA i EQAR z powodu zarzutu o brak niezależności. Gdybyśmy zostali usunięci z tych instytucji, byłoby to klęską całego systemu szkolnictwa wyższego w Polsce.

Czy można ocenić jakość kształcenia tylko na podstawie dokumentów?

Właściwa ocena jakości kształcenia jest możliwa tylko podczas wizyty na miejscu. To jedyne rozwiązanie i tak postępujemy w przypadku ocen programowych. Natomiast rzeczywistość opiniujemy wnioski o zgodę na uruchomienie nowych kierunków na podstawie przedstawionej dokumentacji. Robimy to na wniosek i na potrzeby ministra. To minister przekazuje nam dokumentację, którą sam otrzymał z uczelni. Jeżeli wniosek jest rzetelny, a dokumentacja oddaje rzeczywistość i jest pełna, to miarodajna opinia jest możliwa. W przypadku wątpliwości komisja może udać się do wnioskodawcy w celu ich rozstrzygnięcia. Będziemy korzystali z tego rozwiązania. Obecnie OPI uruchamia generator wniosków, który będzie służył do ich składania za pomocą gotowego formularza. Mam nadzieję, że narzędzie to ujednotoczy format, zakres i jakość składanej dokumentacji.

Chcę podkreślić, że opinii komisji na temat wniosków o uruchomienie kierunku kształcenia nie należy utożsamiać z akredytacją. Zmieniamy w tym zakresie podejście. Takich opinii nie będziemy wprowadzali do baz EQAR, czyli do europejskiego systemu akredytacji (European Quality Assurance Register). W bazie znajdują się wyłącznie kierunki ocenione podczas oceny programowej lub kompleksowej.

Jaka jest rola dokumentów w akredytacji?

Pokazują, czego możemy się spodziewać podczas wizyty na uczelni i dlatego są ważne. Są elementem postępowania, jednak same nie wystarczają do pełnej oceny jakości kształcenia. Ważne są też praktyka, zasady, kultura pracy, kultura jakości wypracowane na uczelni przez lata. Potrzebujemy dowodów z rzeczywistości i potwierdzenia ich praktycznego funkcjonowania. Dla przykładu, jeżeli na uczelni technicznej funkcjonuje wewnętrzny system zapewnienia jakości i zamierza ona uruchomić kierunek lekarski, to powstaje pytanie, czy system stworzony na potrzeby kierunków technicznych jest adekwatny do zupełnie nowych zadań, w których uczelnia nie ma dotychczas żadnych doświadczeń. Zatem sam opis i dokumentacja systemu, a nawet wcześniejsze oceny komisji nie są wystarczające.

Musimy ocenić na miejscu nowe możliwości uczelni. Kultura jakości jest tu chyba kluczowym terminem. Tworzą ją kompetencje nauczycieli i kadry, ale także studentów, którzy mają być kształceni – od nich też zależy, jak proces kształcenia będzie przebiegał i jakie da rezultaty.

Czy na polskich uczelniach jest z nią dobrze?

Mamy spore postępy i dobre przykłady w wielu miejscach. Uczelnie, które stawiają na rzeczywistą jakość w dobrym rozumieniu, wygrają w konkurencji o studenta. Te, które budują barwne fasady, muszą się liczyć z tym, że one kiedyś runą i odsłonią brutalną prawdę o niskiej jakości studiów. To się nie opłaca. Muszę jednak powiedzieć, że gdy PKA wprowadziła kryterium oceny funkcjonowania wewnętrznych systemów zapewniania jakości kształcenia zgodnie ze standardami ESG, uczelnie zaczęły je wdrażać. Świadomość projakościowa rośnie.

Jakie są doświadczenia z pracy zdalnej PKA?

Byłem jednym z tych, którzy oponowali przeciwko tej formie oceny kształcenia. W czasie epidemii nie było wyjścia. Uczelnie odrobiły tę lekcję, nie pozostawiono studentów w domach samym sobie, a komisja wdrożyła oceny zdalne. To jednak nie było najlepsze rozwiązanie, a jedynie forma odpowiedzi na nagłą potrzebę. Oceny prowadzone przez komisję w ten sposób były dobre na czas nadzwyczajny, który na szczęście mamy już za sobą. Nie znaczy to, że nie pojawiły się ciekawe pozytywne rozwiązania, na przykład systemy zdalnej komunikacji, obieg dokumentów, łatwość organizacji spotkań itd. Część rozwiązań będzie utrzymanych np. do przygotowania wizytacji uczelni, które można omówić on-line, pewnych prac organizacyjnych, niektórych elementów oceny dostosowanych do specyfiki uczelni itd. Jednak oceny zdalne nie będą realizowane.

Kogo i jak ocenia PKA?

Oceniamy cyklicznie wszystkie kierunki studiów pierwszego i drugiego stopnia, studiów jednolitych oraz wyrażamy opinie dotyczące wniosków o zgodę na uruchomienie studiów i w innych sprawach kierowanych przez ministra. Skala

zadań jest bardzo duża i muszę przyznać, że obecnie przekracza możliwości komisji. Na przykład na ocenę oczekuje wiele uczelni, które samoistnie uruchomiły kształcenie. W konsekwencji kierunki takie nie są akredytowane, zatem nie są uwidocznione w Europejskim Obszarze Szkolnictwa Wyższego. Kierunki, które nie zostały akredytowane, nie znajdują się w bazie EQAR. To mniej znana strona akredytacji PKA. Komisja posiada uprawnienie do umieszczenia kierunków studiów w tym wykazie. Oznacza to, że kierunek prowadzony jest w zgodzie ze standardem ESG, a wszystkie agencje akredytujące zrzeszone w ENQA będą go uznawały. W kraju mamy bardzo wiele kierunków kształcenia, które kiedyś w końcu ocenimy. Moją intencją jest doprowadzenie do zmiany postrzegania komisji przez otoczenie, studentów czy też kandydatów na studia - nie jako podmiotu prowadzącego ocenę, a jako instytucji zaufania, gwaranta jakości. Przy okazji medialnego zainteresowania kierunkami lekarskimi informacja o istnieniu i roli PKA dotarła do szerokiej grupy odbiorców. Chciałbym, aby komisja, potwierdzając jakość kształcenia, dawała także rozpoznawalność kierunkowi/uczelni. Chciałbym, aby miała prawo do odmowy wydania akredytacji. Praktyka pokazuje, że wydanie oceny negatywnej nie zawsze skutecznie terminuje kierunek. To zmiana filozofii myślenia o akredytacji.

Wizytacja PKA budzi obawy na uczelniach.

Zapewne wizytacja niesie pewne emocje, obawy, bo w końcu instytucja zewnętrzna dokonuje oceny uczelni. Ocena jest obligatoryjna, nie można się od niej uchylić, a jej utrudnianie skutkuje oceną negatywną. Pamiętajmy też, że uczelnia nie ponosi kosztów finansowych jej przeprowadzenia. Sama wizytacja to tylko część procesu oceny. Ocena rozpoczyna się od przygotowania szczegółowego raportu samooceny przez uczelnię. Dzięki niemu uczelnia powinna wiedzieć, jakie ma mocne i słabsze strony oraz czego może się spodziewać podczas wizytacji zespołu oceniającego. Zatem bardzo dużo daje uczelni nie tylko sama wizyta zespołu, a właśnie przygotowanie raportu samooceny. Zarówno raport, jak i sama wizyta to dla uczelni doskonała okazja do przyjrzenia się własnej kadrze, infrastrukturze, programowi kształcenia i innym aspektom funkcjonowania. Przejście przez poszczególne kryteria oceny programowej, których jest dziesięć, daje uczelni dużą wiedzę o sobie. Jeszcze przed wizytacją uczelnia może podjąć działania naprawcze i wyprzedzające dotyczące wrażliwych obszarów, które sama zdiagnozowała. Oczywiście komisja ma świadomość takich działań czy też przygotowań na przyjazd zespołu wizytującego. Nie ma w tym nic zdrożnego, o ile podjęte działania są trwałe, a nie jednorazowe i fasadowe.

Zwiększenie liczby członków PKA do stu przez min. Przemysława Czarnka wywołało lekką burzę, teraz minister Dariusz Wiczorek mówi, że to wciąż za mało.

Samo powiększanie liczby członków komisji to oczywiście więcej rąk do pracy, co teoretycznie jest dobre i potrzebne przy rosnącej liczbie kierunków. Mamy ich już w Polsce niemal dziesięć tysięcy. Kierunki zanikają, nowe powstają – sytuacja jest dynamiczna. W efekcie trudno ocenić wszystkie. Obowiązek dokonania oceny spoczywa na komisji, uczelnie nie mają obowiązku jej uzyskania, co stanowi pewien kłopot, obserwujemy bowiem grupy uczelni, które nie są zainteresowane akredytacją lub wręcz jej unikają. Zatem, jeżeli komisja ma wypełnić skutecznie swą misję, musi skupić się na przygotowaniu nowych narzędzi oceny. Jednym z nich, jestem o tym przekonany, będzie ocena kompleksowa. W zamyśle obejmie ją całą uczelnię, dążąc do potwierdzenia jej zdolności do samoistnej kontroli jakości kształcenia. Przygotowujemy się do niej, oczekując na publikację podstawy prawnej przez ministerstwo.



Fot. Konrad Wielgoszewski

Dr hab. inż. **Janusz Uriasz** (ur. w 1971 r.), prof. Politechniki Morskiej w Szczecinie, jest nawigatorem, zajmuje się zagadnieniami bezpieczeństwa nawigacji obejmującymi technologie kosmiczne i kompetencje do ich obsługi. Jest członkiem Komitetu Geodezji PAN i przewodniczącym Polskiego Forum Nawigacyjnego. W latach 2020–24 był prorektorem ds. innowacji i rozwoju. Od roku 2012 jest członkiem Polskiej Komisji Akredytacyjnej, przeprowadził ocenę jakości kształcenia kilkuset kierunków, a także wielu uczelni w kraju i za granicą, w tym w Bułgarii, Estonii, Grecji, na Litwie, Łotwie, w Rumunii i na Ukrainie. W latach 2016–2023 był przewodniczącym Zespołu Nauk Inżyniersko-Technicznych. Z początkiem roku 2024, w VII kadencji PKA (2024–2027), objął stanowisko przewodniczącego PKA.

Po zniknięciu oceny instytucjonalnej powstała luka w systemie akredytacji uczelni.

Zanim zostałem przewodniczącym PKA, prowadziłem oceny jakości kształcenia w wielu krajach. Obserwuję stosowane tam rozwiązania i muszę powiedzieć, że właściwie wszędzie prowadzona jest ocena instytucjonalna. W szczególności podejścia są różne. Agencje zagraniczne nie rozważają rezygnacji z tych ocen, raczej odchodzi się od oceny programowej. Podobnie jak kulturę jakości buduje się przez wiele lat, tak oceny wymagają wieloletniego doskonalenia. Nie chodzi o samą procedurę oceny, ale o uczestników procesu, którzy muszą stać się ekspertami, a do tego niezbędne jest doskonalenie. Dlatego szkoda, że odstąpiliśmy w Polsce od oceny instytucjonalnej. Przez te osiem lat, które dzielą nas od rezygnacji z ocen instytucjonalnych, w jakimś sensie zmarnowanych, mogliśmy być w o wiele lepszej sytuacji.

Ile potrzebujemy czasu na wdrożenie oceny kompleksowej?

Myślę, że co najmniej rok od wydania rozporządzenia określającego jej warunki. To nie powinien być tylko pomysł komisji. Ocena powinna zostać skonsultowana ze środowiskiem, uczelniami, konferencjami rektorów, studentami, doktorantami. Na pewno najpierw przeprowadzimy pilotaż na wybranych uczelniach. Skorzystamy z wzorców zagranicznych. Podejście będzie profesjonalne. Oczywiście nie odstąpimy od oceny programowej, która jest dobrym i potrzebnym narzędziem. Wymaga jednak korekt. Dokonamy formalnego podziału oceny programowej na ocenę ex ante oraz ex post. Te oceny będą kończyły się akredytacją. Natomiast nasze opinie na temat wniosków o uruchomienie nowych kierunków zostaną ograniczone do wymagań rozporządzenia w sprawie studiów. Będziemy opiniować tylko spełnianie

wymagań dotyczących wniosków o pozwolenie na utworzenie studiów. Opinia ta będzie podstawą dla ministra do wydania zgody na uruchomienie kierunku. Opinia ta nie będzie tożsama z akredytacją i nie zostanie zaraportowana do EQAR. Opiniowane kierunki studiów nie będą widoczne w Europejskim Obszarze Szkolnictwa Wyższego. Jeżeli uczelnia będzie chciała od początku mieć kierunek widoczny w EQAR, wówczas przeprowadzimy ocenę ex ante na jej wniosek lub z własnej inicjatywy. Zawsze po zakończonych cyklach kształcenia przeprowadzimy ocenę ex post. Chciałbym też, tam gdzie to możliwe, zmniejszyć obciążenie biurokratyczne uczelni. Czekają nas też oceny programów międzynarodowych, zwłaszcza prowadzonych przez uniwersytety europejskie – obecnie nad tym pracujemy. Niebawem dojdą mikropoświadczenia. Zależy mi bardziej na rozwoju narzędzi oceny niż na zwiększaniu liczby członków PKA. Mamy jeszcze w perspektywie ocenę studiów podyplomowych, które obecnie są poza wszelką kontrolą, a często dają wrażliwe społeczeństwu uprawnienia zawodowe. Studia podyplomowe były już oceniane przez PKA podczas oceny instytucjonalnej. Nie jest to zatem pole dziewicze i zupełnie nieznanie komisji. Rozpocznaliśmy oceny instytucjonalne od jednostek z pewną tradycją i renomą, co gwarantowało, że także studia podyplomowe są prowadzone na odpowiednim poziomie. W mniejszych uczelniach, regionalnych czy wręcz peryferyjnych, ocen instytucjonalnych nie zdążyliśmy przeprowadzić, więc nie wiemy, jakiej jakości są oferowane przez nie studia podyplomowe. Rynek, który miał regulować kwestie oferty studiów podyplomowych, pokazał inne oblicze, czyli to, że można pójść drogą na skróty. To jest związek uczelni, która oferuje towar poszukiwany na rynku, i odbiorcy, który potrzebuje szybko i tanim kosztem zdobyć określone uprawnienia. Znamy problem ze studiami MBA, ale większy problem dotyczy uprawnień nauczycielskich, a zatem wykształcenia młodego pokolenia. Nie stać nas na zaniedbania. Są też podyplomówki z psychologii, psychoterapii. Nie powinno to być puszczane na żywioł, bo mamy do czynienia ze zdrowiem psychicznym ludzi. To sprawy bardzo ważne dla społeczeństwa. Ktoś musi oceniać jakość tych studiów czy też regulować uprawnienia do ich prowadzenia. Jeżeli ustawodawca postanowi, że ma się tym zająć Polska Komisja Akredytacyjna, wyjdziemy temu wyzwaniu naprzeciw. Komisja jest instytucją formalnie niezależną i musi się podejmować określonych zadań świadomie i odpowiedzialnie. Potrzebne są tu dwie rzeczy: regulacja, bo nie każdy może prowadzić kształcenie podyplomowe, i ocena jakości, bowiem te studia dają określone uprawnienia zawodowe, a często prowadzone są na kierunkach newralgicznych społecznie. Niedawno podpisaliśmy porozumienie z komisją rumuńską, która ocenia zarówno studia podyplomowe, jak i doktoranckie. U nas w tym ostatnim przypadku funkcjonuje inne rozwiązanie. Zobaczmy, jak się sprawdzi. Nie mam z tym kłopotu.

Dawniej PKA przyznawała wyróżnienia dla najlepszych kierunków, ostatnio są to cztery różne wyróżnienia.

Kiedyś dawaliśmy oceny wielostopniowe: negatywną, warunkową, pełną i wyróżniającą. W tym ostatnim przypadku przyznawaliśmy wyróżnienie i dłuższy okres ważności akredytacji. W 2018 roku przeszliśmy na ocenę dwustopniową: pozytywną i negatywną. Obecnie stosujemy dziesięć kryteriów i każde musi być spełnione, aby kierunek otrzymał ocenę pozytywną. Niespełnienie choćby jednego kryterium oznacza ocenę negatywną. W kontekście tego spłaszczenia oceny zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie warto jednak pokazać mocnych stron ocenionego pozytywnie kierunku. Przyznajemy zatem cztery rodzaje certyfikatów jakości za stosowanie dobrych praktyk w pewnych obszarach: Doskonały kierunek – za wybitną jakość kształcenia na kierunku; Zawsze dla studenta – za szczególne wsparcie rozwoju studentów; Otwarty na świat – za znakomitą współpracę

międzynarodową oraz Partner dla rozwoju – za szczególnie wysoki poziom współpracy z otoczeniem społeczno-gospodarczym. Chciałbym przyznawać tych certyfikatów jak najwięcej. Wręczamy je raz w roku, a statystycznie zapewne ich liczba jest zbliżona do liczby ocen negatywnych. Certyfikaty są przyznawane wyłącznie z inicjatywy PKA. Zostały dobrze przyjęte przez uczelnie. Chciałbym, aby w przyszłości także uczelnie mogły wychodzić z inicjatywą ubiegania się o certyfikat, czyli podczas oceny mogły wskazać swoje szczególnie mocne strony, dające podstawy do wyróżnienia w określonym obszarze. Dodam, że nasze rozwiązanie jest unikalne w Europie.

Jak pan zareagował na aresztowanie pod zarzutami korupcyjnymi swojego kolegi, dyrektora w PKA?

Do dziś tego nie rozumiem...

Jak, dlaczego i co się za tym kryje?

Dokładnie wszystkie te aspekty są zaskoczeniem. Dyrektor tylko organizuje działalność komisji. Jest bardzo blisko wszystkiego, ale właściwie nie ma wpływu na jej decyzje i opinie. Zna wszystkie sprawy, jest na bieżąco z tokiem postępowania, ale to wszystko. Być może dostęp do informacji można jakoś wykorzystać. Dodam, że przedmiotem dochodzenia jest okres wcześniejszy, gdy ów dyrektor był sekretarzem zespołu, jednak nie wiemy, czego dokładnie dotyczą zarzuty. Współpracujemy ze służbami w tej sprawie, dostarczając im odpowiednie dokumenty. Pracownicy byli tą sprawą nie tylko zaskoczeni, ale wręcz zszokowani. Trudno było w to uwierzyć.

Czy za tym zdarzeniem poszły jakieś działania zabezpieczające PKA na przyszłość?

Dokonałiśmy korekty w pracy sekretarzy zespołów, m.in. po to, żeby poprzesuwać pracowników na inne stanowiska, wprowadzić nowe osoby, aby ograniczyć ewentualne kontakty środowiska z członkami i pracownikami Biura PKA. Mamy Zespół ds. Etyki, któremu przekazałem dossier spraw, które są przedmiotem zainteresowania śledczych, żeby w naszym gronie sprawdzić, czy zachodzą jakieś nieetyczne zjawiska. Dyrektora i inne osoby, którym postawiono zarzuty, usunąłem z komisji. Zawiesiłem też wszystkich członków i ekspertów zgłoszonych lub afiliowanych przez jednostki, którym prokuratora postawiła zarzuty do czasu rozstrzygnięcia tych spraw. Powiadomiliśmy o wszystkim zarząd ENQA. Ta cała sytuacja nie jest dla nas łatwa. Atmosfera nie sprzyja pozyskiwaniu nowych pracowników czy ekspertów do komisji. Będziemy potrzebowali sporo czasu, żeby wyjść z tego kryzysu. Jeżeli dopatrzmy się łamania zasad etyki zawodowej, z pewnością wyciągniemy daleko idące konsekwencje. Nawet jeśli się ich nie doszukamy – jesteśmy w fazie niepewności – będziemy musieli odbudować wizerunek komisji w środowisku.

Pojawiają się zarzuty dotyczące stroniczości lub niekompetencji członków zespołów oceniających.

Mamy kodeks etyki, który nas obowiązuje do postępowania zgodnie z jego zasadami. Mamy oświadczenia członków komisji, w których zobowiązują się do przestrzegania zasad etycznych i zgłaszania konfliktu interesów. Możemy jednak nie wiedzieć, jakie obszary konkurencji występują między uczelniami na rynku, tworząc potencjalne sfery konfliktu interesów. Natychmiast po objęciu stanowiska wprowadziłem zasadę, że uczelnia po uzyskaniu zawiadomienia o wizytacji i składzie zespołu oceniającego może wnieść wniosek o zmianę składu. Oczywiście musi on być merytorycznie uzasadniony. Gdy dostajemy taki wniosek, natychmiast reagujemy, zmieniając skład zespołu. W przyszłości, gdybyśmy trochę zmienili nasz ustroj, możemy w takich sytuacjach korzystać z ekspertów zewnętrznych, w tym zagranicznych.

Jak wygląda działalność PKA od strony finansowej?

Zacznę od sposobu wynagradzania członków komisji i ekspertów. Regulowane jest ono rozporządzeniem ministra. Nie było ono nowelizowane przez wiele lat. Wynagrodzenie kiedyś było ustalane w relacji do wynagrodzenia profesora i wynosiło około tysiąca złotych za dzień pracy. W 2018 roku ta kwota została wpisana na sztywno. Efekt był taki, że w pierwszej połowie 2024 roku wynagrodzenie eksperta było niemalże identyczne z tym z 2012 roku. To była druga kwestia, obok potrzeby oceny kompleksowej, którą z chwilą nominacji na stanowisko przewodniczącego PKA sygnalizowałem ministrowi Wiczorkowi. Od 1 sierpnia mamy nowe rozporządzenie i kwotę zwiększoną o połowę, czyli 1,5 tys. zł za dzień pracy. Generalnie PKA nie ma własnego budżetu. Po prostu planujemy koszty i wnioskujemy do Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego o środki na pokrycie kosztów ocen i innych prac. Mamy plan roczny, a zatem wiemy mniej więcej, ile pieniędzy nam potrzeba. Osobno, ale także przez ministerstwo, finansowane jest Biuro PKA. Bardzo potrzebujemy zwiększenia środków na biuro, bowiem płace nie są konkurencyjne, a pracownicy są ekspertami w swoim fachu i warto ich docenić, aby zapobiec odejściom.

Marzą mi się dwie rzeczy: niezależność finansowa Polskiej Komisji Akredytacyjnej, abyśmy mogli prowadzić własną gospodarkę finansową, oraz uzyskanie przez PKA osobowości prawnej. To nie jest tylko swobodny wymysł przewodniczącego. Taka myśl wynika z pewnych uwarunkowań międzynarodowych. W tej chwili PKA nie może prowadzić żadnych ocen poza granicami kraju. Tymczasem instytucje zagraniczne zwracają się do nas z wnioskami o dokonanie oceny ich działalności. Wynika to z tego, że jesteśmy stowarzyszeni w ENQA, to znaczy że jesteśmy rozpoznawalni międzynarodowo. Polskie uczelnie też występują do zagranicznych instytucji akredytacyjnych. Jedna z uczelni krakowskich wnioskowała do nas o uznanie takiej akredytacji. I to jest możliwe, prawo dopuszcza taką sytuację. Collegium Humanum uzyskało akredytację jednej agencji zagranicznej. Nie chciałbym, aby uczelnie z jakiegoś powodu „uciekały” po akredytacje zagraniczne. Chciałbym, aby PKA była odrębnym niezależnym podmiotem prawnym, z własnym budżetem. To byłoby z korzyścią dla wszystkich. W ENQA i EQAR funkcjonujemy na granicy zarzutu niezależności. Spełnienie tego kryterium uznania nas w Europejskim Obszarze Szkolnictwa Wyższego jest kwestionowane wskutek naszego umocowania prawnego - zależności organizacyjnej i finansowej od ministerstwa. Z trudem obroniliśmy swoje członkostwo w tych organizacjach. Gdybyśmy zostali z nich usunięci, byłaby to klęska całego systemu szkolnictwa wyższego w Polsce. W naszej sytuacji są dwa wrażliwe momenty: kształtowanie składu komisji oraz wybór i możliwość odwołania przewodniczącego przez ministra, a także sposób finansowania PKA. Gdybyśmy byli instytucją działającą na własnych warunkach, jak to jest na przykład na Litwie, w Rumunii czy w wielu innych krajach europejskich, sytuacja byłaby całkiem inna. Być może uczelnie musiałyby płacić za ocenę, akredytację. To mogłoby wiele zmienić w polskim systemie szkolnictwa wyższego.

Czy wszystkie kierunki w Collegium Humanum uzyskały ocenę negatywną?

Po pierwsze, jeszcze nie oceniliśmy wszystkich kierunków tej uczelni, a jedynie te, o które poprosił nas minister. To były: psychologia, zarządzanie, finanse i rachunkowość. W tych przypadkach, które już zakończyliśmy, a oceny się uprawomocniły, były one negatywne. Jest tam wiele jednostek, filii, także zagranicznych – to duży kłopot w ocenie. Uczelnia jest w restrukturyzacji, kontakt z nią jest utrudniony. Uczymy się też na tych trudnych ocenach, usprawniając nasze działania.

A jaki jest rezultat oceny kierunków medycznych, której zażył sobie minister nauki?

Minister nauki wyznaczył do kontroli kierunki, które uzyskały negatywną opinię PKA, ale otrzymały zgodę ministra na prowadzenie kształcenia na kierunku lekarskim. Wyrażnie zaznaczył, że już nigdy nie będzie tak, że opiniując wnioski o otwarcie tak wrażliwego kierunku, poprzestaniemy na ocenie na podstawie samych dokumentów. Udamy się na miejsce. Podobnie w sytuacji gdy uczelnia rozszerza kształcenie na dziedzinę, w których nie ma żadnego doświadczenia. Wydałem już wytyczne do tego rodzaju sytuacji.

Minister pierwszy raz w historii poprosił, żeby przeprowadzić oceny w trakcie pierwszego roku, podczas gdy normalnie, czyli zgodnie ze wszystkimi regułami, oceniamy kierunek lekarski po pierwszym roku, trzecim roku i zakończonym cyklu kształcenia. Ponieważ mieliśmy plan ocen na ten okres, to zlecenie oceny dodatkowych dziesięciu kierunków stanowiło bardzo duże wyzwanie. Doświadczaliśmy także olbrzymiej presji i zainteresowania mediów. Dodatkowo byliśmy w Akademii Tarnowskiej i na Politechnice Bydgoskiej, czyli uczelniach, które otrzymały negatywną opinię i nie uruchomiły kształcenia. W jednym przypadku stwierdziliśmy, że uczelnia odrobiła lekcję, usuwając braki, które jej wcześniej wskazano. W kilku przypadkach wydaliśmy ocenę pozytywną, ale z zastrzeżeniami i sformułowaliśmy zalecenia, np. w przypadku Politechniki Wrocławskiej. W kilku przypadkach wydaliśmy też oceny negatywne. Minister zdrowia nie wyznaczyła tam limitów przyjęć na pierwszy rok studiów, nawet jeśli te uczelnie rozpoczęły kształcenie lekarzy w poprzednim roku. Utrzymaliśmy oceny negatywne w: Akademii Nauk Stosowanych w Nowym Sączu i Akademii Nauk Stosowanych w Nowym Targu, Akademii Nauk Stosowanych im. Księcia Mieszka I w Poznaniu, Uniwersytecie w Siedlcach oraz Społecznej Akademii Nauk w Łodzi. Zastrzeżeń nie mieliśmy tylko do Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej. Z własnej inicjatywy mamy też zidentyfikowaną uczelnię, która od dwóch lat prowadzi kształcenie lekarzy. Dla pewności chcemy ją bliżej monitorować. Wyzaczyłem tę uczelnię ponownie do oceny. Pojedziemy tam wkrótce, bo chcemy się przekonać, czy wszystko jest w porządku. Powiem kolokwialnie, iż nie sprzyjamy prowadzeniu „turystyki” edukacyjnej. Gdy udajemy się do siedziby uczelni, a okazuje się, że część wrażliwych, ważnych zajęć prowadzona jest w odległych o kilkadziesiąt lub kilkaset kilometrów miejscach, to mamy z tym problem. Gdzie znajduje się Elbląg, a gdzie Toruń, gdzie Nowy Sącz, a gdzie Radom czy też Kraków? Dokąd powinniśmy pojechać? I dlaczego podatnik ma za tę „turystykę” płacić? Rozmawialiśmy na początku o roli dokumentów. Nie możemy bazować tylko na dokumentacji. To widać w tego typu przypadkach. Pamiętam, jak Rzeszów, Olsztyn, Opole, Zielona Góra przez wiele lat przygotowywały się do uruchomienia kierunku lekarskiego, a WST w Katowicach (obecnie Akademia Śląska) walczyła w sądach o kierunek lekarski. Budowano kadry, zasoby, a dopiero później występowano z wnioskiem. Mam wrażenie, że dziś te uczelnie, korzystając niejako z okazji, skupiły się na przygotowaniu wniosków, a nie na budowaniu potencjału do uruchomienia tego trudnego kierunku. Są jeszcze trzy uczelnie, które uruchomiły kształcenie lekarzy po uzyskaniu opinii pozytywnej z zaleceniami. Będziemy je oceniali po zakończonym roku kształcenia. Mamy też uczelnię z Olsztyna, która posiada filię w Cieszynie i zgodę na uruchomienie kierunku lekarskiego - ma negatywną ocenę i do tej pory nie uruchomiła kształcenia. Czeka.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Dlaczego uniwersytet już nie imponuje? – to pytanie postawiliśmy w tym miesiącu naszym dyskutantom.

Wielu młodych ludzi rezygnuje z kształcenia po maturze lub poprzestaje na licencjacie. Mimo niskiego progu wymagań rekrutacyjnych nie są wypełniane limity. Powodzenie przyniosła kampania obrzydzenia humanistyki, ale jeszcze mniej jest chętnych do studiowania kierunków ścisłych. Zaczyna brakować specjalistów różnych dziedzin. Część zdolnej, inteligentnej młodzieży pomija ten niezbędny kiedyś etap w biografii, jakim były studia, i przechodzi dalej. Dokąd?

Uniwersytet już nie imponuje, tak jak to było jeszcze w latach 80. i 90. Dlaczego? Gdzie leżą przyczyny tego zjawiska? Jak je oceniać? Jakie będą konsekwencje? Czy można coś zrobić, by to zmienić?

(fig)

Ewa Chmielecka

Utracony prestiż uniwersytetu?

Misje są trzy: edukacyjna, prowadzenie badań naukowych oraz bezpośrednia służebność społeczna. Czy nie jest tak, że nastąpiła w naszych czasach utrata ważności misji pierwszej i drugiej na rzecz misji trzeciej?

Pytania zadane przez „Forum Akademickie” są nieoczywiste i prowokujące – to dobry początek dyskusji. Zdania wskazujące na utratę zdolności uniwersytetów do „imponowania”, niepodjęcie studiów II stopnia, generalnie niższy pęd do ich kończenia, skupiają się na jednej misji uczelni – misji edukacyjnej. A przecież misje są trzy: edukacyjna, prowadzenie badań naukowych oraz bezpośrednia służebność społeczna. Czy i w tych obszarach mamy regres? A jeśli tak, to czy wynika on może ze skonfliktowania tych misji, a przynajmniej z braku równowagi pomiędzy nimi? I czy wspomniane zjawiska negatywne (czy w istocie wyłącznie negatywne? z czyjego punktu widzenia?) dotyczą uczelni en masse, czy też tylko pewnej ich grupy?

Zacznijmy od pytania, czy utrata ważności dotyczy każdego uniwersytetu. Raczej nie. Uczelnie należące do Ivy League czy te z pierwszych miejsc rankingu szanghajskiego zachowały prestiż, nie narzekają na brak kandydatów na studia w dowolnej reprezentowanej w nich dyscyplinie, zaś ich absolwenci cieszą się uznaniem daleko wykraczającym poza ich pozycję na rynku pracy. Jawi się więc natychmiast pytanie, czym różnią się od tych uczelni, które cierpią na wskazane przez redakcję ułomności oraz czy tych ułomności daje się uniknąć. Czy ich natura związana jest z istotą szkoły wyższej, czy też leży gdzie indziej, np. w obszarze konfrontacji celów szkoły wyższej i celów jej otoczenia zewnętrznego? Czy nie jest tak, że nastąpiła w naszych czasach utrata ważności misji pierwszej i drugiej na rzecz misji trzeciej? Kto powinien decydować o ich równowadze? Jak do tej konfrontacji mają się wartości akademickie, w szczególności autonomia instytucjonalna i swoboda badań oraz nauczania – czy nie uległy degradacji?

Proszę mi pozwolić zacząć od anegdoty, która ilustruje problem. Chcę przypomnieć zdarzenie sprzed lat, z czasu tuż po stanie wojennym. Ponure to były lata. Jeśli czytelnicy wiedzą, co

był dwudziesty stopień zasilania, to z łatwością sobie te czasy przywołają w pamięci. Z powodu niedoborów energii wyłączano wówczas często prąd, także na uczelniach, zaś moja uczelnia, nosząca podówczas nazwę Szkoła Główna Planowania i Statystyki, dodatkowo ogrzewała budynki tylko w części – w gmachu głównym ogrzewana była kolejno jedna cwiartka budowli każdego dnia. Był grudzień lub listopad, po południu prowadziłam zajęcia z filozofii. Zapadał zmierzch, światła nie było, ogrzewania też, słuchacze i ja siedzieliśmy zakutani w płaszcze, szaliki i co kto tam miał. Przez nieszczęsne okna zawiewał drobny śnieg. A my, jak gdyby nigdy nic, prowadziliśmy dyskusję o imperatywie kategorycznym Kanta. Do dziś mam przekonanie, że prestiż mojej uczelni rósł z każdą minutą tych zajęć, bowiem wbrew okolicznościom zewnętrznym realizowaliśmy edukacyjną misję szkoły wyższej. Wbrew opresji PRL-owskich władz, wbrew niedostatkom i niewygodom, wbrew głupiej nazwie uczelni rozważaliśmy czysto teoretyczną koncepcję, która mogła się wydawać oderwana od beznadziei politycznej i dokuczliwości życia codziennego. Przeciwwstawialiśmy się otoczeniu społecznemu, a równocześnie – konfrontacyjnie – formowaliśmy je wedle tego, co uznawaliśmy za słuszne, wykrzystując dorobek kultury europejskiej najwyższej rangi. Czy to uniwersalność imperatywu kategorycznego predestynowała go do zastosowania w dowolnej sytuacji, także sytuacji, w której odbywała się nasza dyskusja? Czy fakt, że byliśmy w stanie wznieść się ponad praktyczne niedostatki i rozważać czystą wiedzę, nie nobilitował jakoś nas i naszej uczelni? Czy nie ustawił nas w pozycji uprzywilejowanej w stosunku do jej otoczenia? Nie budował naszej godności? Ba, czy nie wywierał wpływu na to otoczenie, ale nie przez zaspokajanie jego żądań, ale przez ich zmianę; przez nasze poczucie, że my za to otoczenie odpowiadamy i że należy studiować Kanta, aby odróżnić trafnie, co wartością jest, a co nie jest? Bo taka jest powinność wykształco-

nego człowieka. No i na koniec: czy to – między innymi czynnikami – nie budowało wysokiego prestiżu naszej uczelni?

Mądrzejsza od swego otoczenia

Nie potrafię zdecydowanie odpowiedzieć „tak” na wszystkie te pytania, ale sądzę, że eksponują coś ważnego w relacjach uczelni z jej otoczeniem zewnętrznym. Ona musi być niezależna; wprawdzie służebna, ale poprzez wierność swej specyficznej misji. Musi być (mówiąc kolokwialnie) w pewien sposób „mądrzejsza” od swego otoczenia społecznego, „opiekować się” nim, ponosić zań odpowiedzialność, a nie podlegać wprost jego życzeniom. Sądzę, że taką niezależność mają wspomniane powyżej najlepsze uniwersytety. Przypomina mi to tzw. model Massachusetts, mówiący o relacji podmiotów gospodarczych i uczelni na wschodnim wybrzeżu USA, polegający z grubsza na tym, że korporacje nie zamawiały u uniwersytetów konkretnych rozwiązań problemów technologicznych, ale czekały na wyniki niezależnie prowadzonych a finansowanych przez nie badań, bo było to korzystniejsze niż stawianie gotowych problemów do rozwiązania, jak czyniło się to w modelu „Silicon Valley”.

Wróćmy do pytania o misję uniwersytetu. Rzut oka na ich historię kieruje nas w stronę XIX-wiecznego modelu uniwersytetu Humboldta. Była to instytucja o niewątpliwie wysokim prestiżu społecznym, w której, z grubsza biorąc, studiowało ok. 2-3% populacji młodzieży, do którego wstęp był otwarty, ale uwarunkowany możliwościami intelektualnymi kandydatów, których nobilitowało samo uczestnictwo w tej wspólnotce. Było to wówczas w zasadzie jedyne miejsce tworzenia i rozpowszechniania nowej wiedzy, w pełni zarządzane przez wspólnotę uczonych. I choć uniwersytet ten był finansowany przez państwo, to nie musiał się szczególnie dokładnie z funduszy rozliczać. Autonomia tej instytucji i swoboda prowadzonej działalności gwarantowana i regulowana była zestawem wartości, zasadami etosu akademickiego. Była to przysłowiowa „wieża z kości słoniowej” chroniona od wpływów zewnątrz po to, aby nic nie zakłócało namysłu uczonych nad poznaniem świata. Nie wchodząc w szczegóły, kres tego dominującego modelu nastąpił wraz z umasowieniem edukacji wyższej oraz powstaniem innych centrów badań naukowych, zwłaszcza z nauk stosowanych.

Jeśli idzie o badania, to uczelnie stały się jednymi z wielu ośrodków badawczych i musiały zacząć konkurować o wpływy i fundusze, tak państwowe, jak pochodzące od innych podmiotów. Było to konieczne ze względu na rozwój cywilizacyjny, zwłaszcza technologiczny (nota bene umożliwiony wstępnie przez dokonania nauki zamkniętej w swojej wieży). System ewaluacji, z którym borykamy się dziś, to część systemu dzielenia funduszy – jest konieczny, ale dla badawczej misji uniwersytetów często szkodliwy, bowiem skutkuje pogonią za punktami i pozycją w rankingach a nie skupieniem się na istocie działań poznawczych. Osobnym problemem jest uzyskiwanie funduszy na badania wprost służące producentom. O patologiach w tym obszarze napisano tomy, ale nawet rzetelne ich prowadzenie jest obciążone uzależnieniem szkół od życzeń gospodarki. Przypomnę, że w niektórych krajach europejskich obowiązuje zastrzeżenie, że co najmniej 50% budżetu uczelni ma pochodzić od państwa, bowiem to wzmacnia autonomię uczelni i ich niezależność od żądań otoczenia. Nie wspomnę o najbogatszych uniwersytetach amerykańskich, których majątek własny pozwala na znaczącą niezależność badawczą.

Jeśli idzie o umasowienie edukacji wyższej, to potrzeba kadr dla gospodarki o coraz wyższych kwalifikacjach była przyczyną gwałtownego wzrostu liczby studiujących w latach 60. (w Polsce oczywiście później). Otwarcie na dużą liczbę studiujących było zatem odpowiedzią uczelni na zaspokojenie potrzeb zewnętrz-

nych, innych niż podniesienie poziomu wiedzy i specyficznych postaw absolwentów. Sprowadzało to uczelnie do roli dostawcy praktycznych umiejętności, zaś modelem dominującym miały być studia łatwe i przyjemne, co wynikało z braku szacunku dla wysiłku intelektualnego związanego ze zgłębianiem trudnej wiedzy teoretycznej. Obok uczelni powstawały różnorakie ośrodki szkoleniowe rozmaitego rodzaju stanowiące dla uczelni znaczącą konkurencję. Obserwowaliśmy szczególnie dramatyczny rozwój tej sytuacji w Polsce, gdzie gwałtowny wzrost ilościowy studiujących w latach 90. dał skutek w postaci znacznego obniżenia jakości studiów, aż po aferę Collegium Humanum czy inne znane patologie łącznie. A ponieważ studia umasowione w części podlegały opłatom, to towarzyszyła temu komercjalizacja edukacji, w miejsce wysiłku intelektualnego „kupowanie usługi edukacyjnej”. Edukacja stała się towarem.

Dywersyfikacja prestiżu?

Oczywiście nikt nie ma prawa zabraniać komukolwiek dostępu do edukacji, niezależnie od motywów tego zaangażowania. A niewątpliwie pozytywne skutki społeczne umasowienia edukacji wyższej w Polsce czekają jeszcze na swe kompleksowe podsumowanie. Jednakże jej skutkiem jest także to, że uczelnie straciły swą wyróżnioną, dającą prestiż pozycję w społeczeństwie poprzez zmianę rozumienia misji edukacyjnej. Na szczęście, w obliczu rosnącej liczby uczelni, ich misje i charakter zaczęły się wyraźnie dywersyfikować, widać to i w Polsce, i (już wcześniej) w świecie. Część z nich zachowała swój wiedzotwórczy charakter, zaś inne mogą służyć innym celom, jak choćby niwelowaniu zapóźnień cywilizacyjnych lokalnych społeczności czy zaspokajaniu potrzeb pracodawców określonego rodzaju. To działalność niezwykle potrzebna, ale budująca inny rodzaj prestiżu niż w przypadku tradycyjnego uniwersytetu. Czyżby dywersyfikacja misji mogła zaowocować dywersyfikacją prestiżu?

Spróbujmy przyjrzeć się rozważanej tu sprawie z perspektywy budowy Europejskiego Obszaru Szkolnictwa Wyższego (EHEA). Nie sposób pominąć tu roli procesu bolońskiego, tym bardziej że cele i narzędzia tego przedsięwzięcia ulegały ewolucji. Wprawdzie o jego związkach ze sprawą prestiżu uniwersytetów trudno tu przesądzać, ale na kilka aspektów warto zwrócić uwagę.

Proces boloński rozpoczął się z potrzeb i inicjatywy uniwersytetów sformułowanych w deklaracji paryskiej już w 1998 roku. Dla wdrażania jego postulatów konieczne było zaangażowanie – poza reprezentacją środowiska akademickiego – dwu innych aktorów: administracji wszystkich szczebli (od europejskiej do uczelnianej) oraz przedstawicieli otoczenia społecznego uczelni (zwłaszcza przedstawicieli rynku pracy) szczególnie istotnych dla wypełniania przez uniwersytety trzeciej misji.

Dziś po 25 latach działania procesu można w nim wyodrębnić trzy stadia rozwoju charakteryzujące się odmiennymi celami stawianymi przed EOSW oraz relacjami pomiędzy jego głównymi realizatorami. Stadium pierwsze, zwane „narzędziowym”, przypada na lata 1999-2009 i jest czasem wdrażania narzędzi pozwalających na zwiększenie spójności systemów szkolnictwa wyższego w Europie. Jest najmocniej identyfikowane z procesem bolońskim, bowiem wprowadzało do uczelni szereg narzędzi głęboko ingerujących w organizację nauczania (trójstopniowość studiów, ramy kwalifikacji, systemy zapewniania jakości etc.), wymagających zmiany dotychczasowych praktyk w dydaktyce. Powodowało to napięcia pomiędzy środowiskiem akademickim a administracją państwową, a często i uczelnianą. Środowisko akademickie miało poczucie utraty swobód nauczania i autonomii instytucjonalnej oraz porzuce-

nia fundamentalnych wartości akademickich na rzecz sprawności administracyjnej uznawanej za niepotrzebną biurokratyczną dokuczliwość. Pamiętam bardzo trafną a bolesną uwagę wygłoszoną na jednej z konferencji jakościowych, mówiącą, że odtąd nie będziemy się troszczyć o jakość naszego nauczania z przekonania, że to ważna wartość, a zaczniemy zabiegać o wypełnianie wymagań komisji akredytacyjnych. A ich pozytywna ocena pozwoli nam zrezygnować z refleksji dotyczącej sensu naszej nauczycielskiej misji – wypełniając standardy, będziemy „w porządku” i to nam wystarczy. W stadium drugim, które nazywa się „konsolidacyjnym”, a które przypada na lata 2010-2019, mieliśmy do czynienia z oswojeniem i wykorzystaniem

wdrożonych w stadium pierwszym narzędzi. Był to zarazem czas realizacji idei uczenia się przez całe życie (LLL) w szkolnictwie wyższym, a zatem otwarcia uczelni na jeszcze szersze grupy społeczne i przygotowywania programów w postaci łatwo przyswajalnych „kasków” pozwalających budować ścieżki studiów dostosowane do doraźnych potrzeb słuchaczy i życzeń rynku pracy. Ostatnim etapem tego jest wprowadzenie do programów studiów możliwości „mikroświadczeń”. Napięcia pomiędzy najważniejszymi aktorami procesu bolońskiego w realizacji jego celów słabną, trwa nawoływanie do zaspokajania potrzeb otoczenia społecznego, dodatkowo podparte ogłoszeniem ONZ-owskich celów zrównoważonego rozwoju oraz



Był Sławomir Makal

przyjęciem kursu „praktycznego” w nauczaniu (strategia nadrzędnej roli „skills” w kształceniu), a wreszcie włączaniu uczelni w politykę ESG (Environment, Social, Governance). Mamy tu więc znaczącą przewagę trzeciej misji, podporządkowanie misji edukacyjnej potrzebom zewnętrznym i niewiele refleksji nad wiedzotwórczą misją uczelni.

Kiedy proces boloński wszedł w trzecią dekadę i fazę rozwoju, dostrzeżono wymienione wyżej zagrożenia i debata nad strategią procesu odbywała się pod hasłami powrotu do tradycyjnych wartości akademickich w nowych warunkach organizacyjno-instytucjonalnych stworzonych przez dwie poprzednie fazy. Postulowano zdecydowane zwiększenie społecznej odpowiedzialności uczelni jako instytucji zdolnych do zrozumienia wyzwań i zagrożeń współczesnego świata i znajdowania dla nich rozwiązań. Kolejne konferencje ministrów w Erywaniu, Paryżu, Rzymie i Tiranie kończą się stwierdzeniami, że niezbędny jest powrót europejskiego środowiska akademickiego do fundamentalnych wartości akademickich i przywrócenia ich znaczenia w codziennej pracy badawczej i dydaktycznej. Oznaczało to, że ramy instrumentalne procesu bolońskiego powinny zostać ponownie wypełnione działaniami właściwymi dla uniwersytetów, w zgodzie z ich tradycyjną misją, której podstawową wartością jest pomnażanie wiedzy uzasadnionej, wartościowej poznawczo (evidence based knowledge) i jej rozpowszechnianie ku pożytkowi ludzkości. Uczelnie muszą mieć zapewnioną autonomię instytucjonalną oraz swobodę w zakresie badań i kształcenia, które są warunkiem koniecznym wypełniania pierwszej i drugiej misji uniwersytetu. Uczelnie powinny się wystrzegać zbyt dużych wpływów zewnątrz: nie tylko potencjalnych zagrożeń ideologicznych, ale też nadmiernej komercjalizacji i biurokratyzacji działalności, mogących zagrażać koncentracji wspólnoty akademickiej na realizacji wartości fundamentalnych.

Nadmierne podporządkowanie otoczeniu społecznemu

Jeśli odejście od tradycyjnej misji uniwersytetu, utratę przezeń wyjątkowej roli wiedzotwórczej i wyróżnionej roli edukacyjnej uznamy za (przynajmniej częściowe) przyczyny utraty jego prestiżu, to przyznać trzeba, że dostrzeżono tu ciemne strony nadmiernego podporządkowania szkół wyższych otoczeniu społecznemu i podjęto kroki mające je opanować. Komunikat z Tirany z roku 2024 zawiera obszerny aneks – stanowisko procesu bolońskiego dotyczące fundamentalnych wartości akademickich oraz wezwanie środowiska akademickich do auto-refleksji i podjęcia konstruktywnego dialogu co do ponownej implementacji tych wartości w EHEA. Pozwoli to uniwersytetom realizować ich szczególne i wyjątkowe misje. Te wartości to (podaję ich brzmienie w języku angielskim, bowiem dotychczas nie znalazłam satysfakcjonującego przekładu na język polski): academic integrity, institutional autonomy, participation of students and staff in higher education governance, public responsibility „for” and „of” higher education.

Zwróćmy uwagę na jedną rzecz: wymienione wartości mają charakter instrumentalny, uzasadnienie znajdują w tym, że mają służyć realizacji innych celów, a nie są wartościami „samymi w sobie” (ponownie Kant się kłania). Są raczej podstawą do tworzenia procedur działalności uczelni niż składowymi etosu przyjmowanymi na mocy przekonania o ich słuszności. To zrozumiałe, proces boloński jest przedsięwzięciem praktycznym i jego wdrożenie musi być „mierzalne” a wartości autoteliczne mierzalne nie są. Są za to źródłem godności, podziwu i prestiżu, zaś zinstrumentalizowane znikają. Kiedyś nie wahaliśmy się mówić, że uczelnie są miejscem tworzenia i rozpowszechniania nowej prawdziwej wiedzy, bowiem to „prawda” była (nadal

jest?) najwyższą wartością etosu akademickiego. Jej osiągnięciu i szerzeniu miały być podporządkowane wszelkie działania wspólnoty akademickiej. Za przyczyną sporów teoriopoznawczych, które podają nam wiele definicji prawdy, albo i stwierdzają, że wiedza prawdziwa w ogóle nie istnieje, skapitulowaliśmy z radykalizmu epistemologicznego i mówimy skromnie o wiedzy „wartościowej poznawczo” albo „uzasadnionej”, czyli będącej w zgodzie z regułami metody naukowej, albo mającej po prostu praktyczne zastosowanie. Dobre i to, choć ciśnie się na usta refleksja, że wiedza użyteczna praktycznie, to niekoniecznie wiedza prawdziwa lub „uzasadniona”, zaś wiedza prawdziwa może czasem czekać na praktyczne wdrożenia przez lata. Postulaty z Tirany pisane są w tym samym duchu.

Czy zwrot ku tak rozumianym wartościom akademickim podniesie prestiż uczelni? Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Natomiast pewna jestem, że zmiana formuły i zmniejszenie znaczenia pierwszej i drugiej misji uniwersytetu na rzecz misji trzeciej to znak naszych czasów. Nie sądzę, aby dało się zatrzymać ten proces, pozostaje pytanie, jak go „zagospodarować”, nie pomniejszając znaczenia szkół wyższych, które – powtórzmy – nadal powinny być „mądrzejsze” od swego otoczenia i rozpoznawać wyzwania naszych czasów wcześniej, lepiej i głębiej niż potrafi ono samo. Służebność społeczna uniwersytetu nie ma tu oznaczać uznawania dyktatu i spełniania życzeń wprost sformułowanych przez otoczenie, ponoszenia odpowiedzialności „przed” nim, w szczególności rozliczania się z przekazanych publicznych i innych funduszy. Wprost przeciwnie, w duchu odpowiedzialności „za” to otoczenie uczelnie powinny kierować się – w sposób autonomiczny i wolny – wartościami leżącymi u podstaw etosu akademickiego. Zaś zadaniem państwa jest stworzenie stosownych warunków do takiego ich działania.

Nie nawołuję tu do ponownego zamknięcia uniwersytetów w wieży z kości słoniowej, odcięcia ich od potrzeb społecznych. Nie da się tego uczynić, a co więcej – nie należy. Powrót do uniwersytetu Humboldta uważam za bezprzedmiotowe (i szkolidne) marzycielstwo w obliczu wyzwań współczesnej cywilizacji i potrzeb edukacyjnych społeczeństwa. Interującym przyczynkiem do tej tęsknoty jest idea Uniwersytetów Europejskich.

Jednakże całkowicie zrezygnować z tej izolacji także nie można, zaś sensownym wyjściem wydaje się dywersyfikacja szkół wyższych, ich misji i obszarów działania, a w konsekwencji dywersyfikacja tego, za co obdarzane są uznaniem. Zatem nie utrata prestiżu, ale jego zróżnicowanie. I, oczywiście, w każdym obszarze działalności powinny obowiązywać stosowne do jego charakteru zabezpieczenia jakości kształcenia i badań.

Drugim potencjalnym remedium, środkiem podnoszenia obniżonego prestiżu uczelni polskich, jest włączenie się naszego środowiska akademickiego w permanentną debatę nad misją uniwersytetu (z jej wartościami akademickimi na czele). Debatą taką toczy się na świecie i w Europie, i dotyczy m.in. równowagi pomiędzy wewnętrznymi celami uczelni a potrzebami jej otoczenia. Uniwersytety odpowiadają za permanentną diagnozę stanu świata, powinny ułatwiać jego zrozumienie i odpowiadać za dobrostan społeczny swego otoczenia. Służą swą mądrością do rozwiązywania jego problemów i konfliktów a do znajdowania najlepszych rozwiązań potrzebują rzetelności w poszukiwaniu prawdy oraz wspólnoty akademickiej rządzącej się zasadami autonomii i swobód w nauczaniu. Znaczenie tych terminów nie jest nam dane raz na zawsze, trzeba stale dbać o ich aktualne i żywe znaczenie, bo to buduje, między innymi, prestiż uniwersytetu.

Słowem, może nie „prestiż utracony” a „prestiż na nowo rozumiany”?

Dr hab. Ewa Chmielecka, emerytowana profesor SGH

Profesor czy menedżer?

Kiedy wewnętrzne, acz niezbędne, zaangażowanie i samokontrola wynikłe z dojrzałości i poważnego podejścia do swego zadania jako badacza zostały zastąpione numeryczną, zewnętrzną kontrolą, etos Profesora zaczął przemieniać się w sprawność Menedżera, prowadząc niekiedy do sytuacji dosyć komicznych, takich jak „organizowanie” publikacji artykułów w punktowanych czasopismach naukowych kolegom czy koleżankom.

Egzaminy u Niego były legendą wśród studentów pierwszego roku. „Dziadek”, bo tak nazywano Go w rozmowach studentów, słynął z nieszablonowych zachowań na egzaminach. Zresztą też Jego wykłady przynosiły spory pokaz możliwości retorycznych: głos wznosił się aż w okolice kontratenoru albo opadał do poziomu basu. Ekspresję wzmagala silna gestykulacja. Wszystko to powodowało, że wcale nie wydawało się, kiedy wykladał, że do najwyższych starszych panów nie należy. Wiedzano powszechnie, że lubił żart i spokojnie przepuszczał studenta, który potrafił sprawnie zareagować na pytanie: „A z kim właściwie żenił się Jan Zamoyski podczas uroczystości, dla uczczenia których Jan Kochanowski napisał swoją *Odprawę posłów greckich*?”. Odpowiedź „ze swoją żoną” była wybawieniem studenta z kłopotów z pamięcią.

Albo inny profesor, legendy o którym krążyły wśród studentów późniejszych lat: że wie absolutnie wszystko, że w domu urządził prywatne seminaria i wtajemniczeni opowiadają potem o tak wielkiej liczbie książek, że jego mieszkanie przypomina labirynt, bo książki zalegają dosłownie wszędzie. I że on je wszystkie przeczytał, a potrafi czytać całymi stronami naraz.

Albo inny jeszcze profesor, który na egzamin zapraszał do swej chaty w Górcach, gdzie akurat przebywał, że trzeba mu było pomóc w pracach (a była to chata bez elektryczności i oczywiście bez kanalizacji) a egzamin zdawało się u niego, dopóki się go nie zdało. Że nikt nikogo nie popędzał i że sam student wybierał moment w trakcie swoich studiów, kiedy już ma poczucie, że wie na tyle, by egzamin zdać.

Albo owe seminaria doktorskie w pięknych, starych profesorских mieszkaniach. Albo owe seminaria magisterskie, które profesor decyduje odbyć w wtajemniczonymi w „Zalipiankach” albo u siebie w domu. Wciąż pamiętam, jak podczas jednego z takich seminariów, odbywających się w salonie, profesor nagle wstał i wrócił z dwoma marynarkami, które właśnie dostał w paczce z Londynu, i namawiał mnie, aby je wziął, bo „panie kolego, w czytelnikach strasznie wypychają się rękawy swetra”.

Stary uniwersytet. Stary system oryginałów – mistrzów i ich uczniów w stopniowo malejącej hierarchii: od adiunktów, którzy mieli przywilej zastępowania Mistrza na niektórych wykładach, prowadzili z nami zajęcia, ale także towarzyszyli studentom swoich grup naciągających się godzinami egzaminach; potem doktoranci, magistranci a potem my – studenci.

Wychodząc naprzeciw argumentacji naszego pięknego czasu: nie jest tak, że bycie Profesorem to był wyłącznie przywilej męski, przynajmniej w latach 80. XX wieku. Pewna słynna profesor od Romantyzmu z Warszawy, pewna słynna Profesor od literatury staropolskiej z Katowic, moja mentorka z Instytutu Badań Literackich, recenzentka mojej habilitacji czy później poznana Pani Profesor od literatury oświeceniowej: to były Mistrzynie, wokół których gromadził się zespół uczniów i uczennic, uczniów tych uczniów i tak dalej. Taki był uniwersytet, w którym zaczynałem akademicką drogę.

Wymiana dominujących postaci

Zapewne to typ uniwersytetu, który swymi korzeniami (mimo komunistycznego lodowca, a może dzięki niemu) sięgał jeszcze do modelu uniwersytetu typu humboldtowskiego. W następujący sposób opisał szerszy kulturowy kontekst tego uniwersytetu Alasdair MacIntyre, opisując XIX-wieczne postaci, które amerykański filozof określa „moralnymi reprezentantami swojej własnej kultury a to dzięki temu, że idee oraz teorie moralne i metafizyczne znajdują dzięki tym postaciom możliwość zaistnienia w świecie społecznym” (Alasdair MacIntyre, *Dziedzictwo cnoty. Studium z teorii moralności*, przeł. Adam Chmielewski, Warszawa PWN 1996, s. 69). Postaci te, charakterystyczne dla kultury XIX wieku (sprzed przełomu modernistycznego) MacIntyre nazywa następująco: są to postaci „Dyrektora Szkoły Publicznej, Podróżnika i Inżyniera. Kulturę Niemiec z okresu wilhelmińskiego definiują analogiczne postaci Oficera Pruskiego, Profesora i Socjaldemokraty” (Tamże, s. 68 – 69). Oczywiście MacIntyre świadom jest umowności swoich wskazań, jak również swego rodzaju przygodności swoich typów (w końcu Europa to także Francja, Cesarstwo Austriackie czy Rosja, gdzie niekoniecznie owe postaci zajmują uprzywilejowane pozycje). I dlatego, przedstawiając w swej wypowiedzi zastrzeżenia, dowodzi, iż „Dyrektor Szkoły Publicznej w Anglii i Profesor w Niemczech – by poprzestać tylko na tych dwóch przykładach – to było coś więcej niż tylko role społeczne: stanowiły one moralny fundament całych zbiorów postaw i czynów. Postacie te mogły wypełnić swoje funkcje właśnie dlatego, że stanowiły ucieleśnienie pewnych teorii i twierdzeń natury moralnej i metafizycznej” (Tamże, s. 71-72).

Celem wywodu w *Dziedzictwie cnoty* jest wykazanie łącznie czy zmian, które nastąpiły w wyniku zastąpienia paradyg-

matu poprzedniego „naszymi”, jak dowodzi MacIntyre, „emotywistycznymi czasami”. Czasy te mają inne postaci dominujące na tym etapie kultury. Te współczesne kluczowe postaci według niego to Bogaty Esteta, Menedżer i Terapeuta. „Menedżer – spieszy z wyjaśnieniem filozof – reprezentuje zatarcie różnicy między manipulacyjnymi i niemanipulacyjnymi stosunkami społecznymi. Terapeuta reprezentuje zatarcie tej samej różnicy w sferze życia osobistego. Menedżer uznaje cele za dane, są one poza zasięgiem jego zainteresowania; koncentruje się na technice i skuteczności przekształcania surowca w produkt końcowy, niewykwalifikowanej siły roboczej w wykwalifikowaną, inwestycji w zysk. Terapeuta również traktuje cele jako dane, jako usytuowane poza jego zasięgiem; i on skupia swoją uwagę na technice i skutecznym przekształcaniu symptomów neurotycznych w działanie ukierunkowane, jednostek nieprzystosowanych w jednostki dobrze przystosowane”.

MacIntyre nie pisze o edukacji, ale jego opis funkcjonowania postaci, o których wspomina, odpowiada zmianom, które nastąpiły w naszych czasach. Technika, skuteczność, zysk, pragmatyka postępowania – czy to na poziomie społecznym, czy wewnętrznym – to system pojęć, którymi możemy charakteryzować zmiany, jakie zaszły w tej dziedzinie. Jeśli zatem przyjmujemy zaproponowane przez autora pracy *Bóg – filozofia – uniwersytety* rozróżnienie, być może łatwiej będzie nam zrozumieć, co się wydarzyło pomiędzy opisaną przeze mnie w pierwszych akapitach rzeczywistością uniwersytetu z początku lat 80. XX wieku (okres mojego studiowania) a dzisiejszym owego uniwersytetu funkcjonowaniem.

Wzrastać w swoim człowieczeństwie

Warto być może tak samo popatrzeć w kontekście nas interesującym na miejsce wiedzy czy nauki w systemie poprzednim (niechże będzie wilhelmiańskim) a modernistycznym (a może już raczej należałoby powiedzieć postmodernistycznym). Pomiedzy nawet, niech będzie, instytucjonalnym podejściem do niej Profesora a pragmatyzmem czy utilitaryzmem (eksperckość) Menedżera czy (sprowadzającego to samo do poziomu indywidualnie – osobowego) Terapeuty – jest znacząca różnica. Uniwersytet Profesora jest instytucją badawczą, istniejącą w ramach ustalonej struktury, sam Profesor staje się ucieleśnieniem, wyobrażeniem ideału wiedzy stałej, pewnej, wielkiej acz możliwej do osiągnięcia. Charakterystycznie też ma on wobec owej Wiedzy posługę nieomalże kapłańską; jako wtajemniczony, jest owej wiedzy głosicielem i nosicielem. Przy czym jest to wiedza, która może mieć praktyczne, pragmatyczne zastosowanie, za nie jednak Profesor nie odpowiada: to ten, który czerpie wiedzę od Autorytetu Profesorskiego, sam decyduje, co (jeśli cokolwiek) z nią uczyni. Profesor przekazuje wiedzę wedle maksymy: uczysz się nie po to, by coś z wiedzą uczynić (prag-

matyzm), uczysz się, by wiedząc więcej, wzrastać w swoim człowieczeństwie.

Taki był, jak sądzę, model mojego uniwersytetu, taka wizja wiedzy budowała w moich oczach pozycję Profesorów (swego rodzaju nimb ich otaczający), ale tak samo, myślę, ich sposób funkcjonowania nie tylko na Uniwersytecie: ich sposób bycia, wyrażania się, ich podejście do swej funkcji jako Profesorów.

Kiedy Profesora zastąpili Menedżer czy Terapeuta, doskonale widać, co się wydarzyło: pragmatyzm, zastosowanie, użyteczność stały się przeznaczeniem czy celem zdobywania wiedzy. Kiedy pozostajemy na terenie Uniwersytetu, widzimy, że Profesora zastąpił Pracownik Naukowy. W ramach korporacyjnej struktury działania Menedżera, wewnętrzny i oczywisty etos Profesora (etos, który jest niczym innym jak uświadomioną powinnością) zastąpiły przeróżne mechanizmy kontroli korporacyjnej (od sylabusów po oceny studentów), zaś naturalny wszak dla Profesora i istotowo mu właściwy model zdobywania czy pogłębiania, poszerzania wiedzy a także dzielenia się nią w ramach Instytucji, jaką jest Uniwersytet, zastąpiło ciulanie punktów i pieczołowite wypełnianie przeróżnych tabelk. I tak



Rys. Sławomir Makal

wszystkich Pracowników Naukowych (od Profesora, który już nie jest Mistrzem, do asystenta, który też już czeladnikiem nie jest) ocenia się oceną roczną czy parametryczną, jak korporacja, która bierze permanentnie udział w rankingach.

Pragmatyzm menedżerskiej kontroli

Niemiałym dla mnie zagadnieniem do rozstrzygnięcia jest analizowanie przyczyn tej zmiany. Zwykle – pewnie słusznie – szuka się ich w zjawiskach wobec Uniwersytetu zewnętrznych (poziomu edukacji szkolnej, zbiurokratyzowanie procesu nauczania, konieczność wszechogarniającej kontroli wszystkich uczestników procesu edukacji, biurokratyzacja reguł działania itd., itp.) Myślę, że wszystkie te przyczyny (a jest ich zapewne dużo więcej niż wymienione tutaj) są prawdziwe i wymienianie ich zasadne, niemniej jednak zapewne w wyniku stanu, kiedy wiedza (rozumiana jako informacja) stała się osiągalna natychmiastowo, uniwersytet (a na pewno nauki humanistyczne) musiał się przekształcać w kierunku instytucji wspierającej tą wiedzą zarządzanie.

Innymi słowy: kiedy podaję swoim studentom podstawowe informacje o dajmy na to Wacławie Potockim, to nieuchronnie nachodzą mnie wątpliwości, czy moja aktywność ma sens, gdyż wystarczyłoby, gdybym wskazał im pewne miejsca, gdzie taka informacja się znajduje. I wobec tego moje zadanie zmienia się w zadanie kogoś, kto zajmuje się, po pierwsze, zainteresowaniem studentów dawnym pisarzem, nie tylko z tej racji, iż potem muszą zdać egzamin, ale też dlatego, iż z jakiegoś powodu jestem przekonany, że to, co tworzył, miało (i ma nadal być może) znaczenie, a po drugie pomagam im zrozumieć, o czym i w jakim celu ów dawny pisarz mówił. Tego internetowa „wiedza” czy też informacja im nie zapewni.

Dawny Profesor w większości wypadków wypełniał oba zadania, a poza tym był zasadniczym źródłem informacji w sprawie, o której się wypowiadał.

Zasadnicza jednak przyczyna zepsucia uniwersytetu, czyli sytuacji, kiedy Profesora zastąpili Menedżer i Terapeuta, leży gdzie indziej. Pragmatyzm menedżerskiej kontroli czy zarządzania wspólnotą badawczą za pomocą procedur – to jest zasadniczy powód upadku uniwersytetu. Mówiąc kolokwialnie: jako Pracownicy Naukowi od dłuższego już czasu przyglądaliśmy się (biernie niestety) temu procesowi w szkolnictwie podstawowym i średnim, przez jakiś czas łudząc się, że zmiany te nie mają wstępu na uniwersytet. Stało się jednak inaczej: dzisiaj zarządzanie kontrolą i procedurami stało się faktem. Środowisko naukowe bezdyskusyjnie właściwie przyjęło tę nową metodę działania, która – w moim przekonaniu – prowadzi do katastrofalnych konsekwencji. Wspomnę tylko o dwóch: jedna niewidoczna jest gołym okiem, druga jak najbardziej.

Ta niewidoczna to korporacyjny przymus zastępujący wolne decyzje wynikające z etosu Profesora. Uświadomiona powinność badacza a przede wszystkim naturalny i właściwy mu impuls do działalności naukowej – to były jedyne i główne przesłanki do prowadzenia badań. Ciężar ich spoczywał na podmiocie, który dlatego był badaczem, że spełniał się w tychże działaniach jako jednostka. Śmiem twierdzić, iż była to działalność *con amore*: połączenie pasji z wykonywanym zawodem. Wynikały też z takiego podejścia do samorealizacji jednostki zadania związane z dydaktyką, określić je można mianem „dzienienia się” swoimi fascynacjami, poszukiwania potencjalnych następców czy kontynuatorów.

Kiedy w tę delikatną materię wkroczyły ze swoją ingerencją kontrola, sprawozdawczość, konkurencyjność mierzona punktami – innymi słowy: kiedy wewnętrzne, acz niezbędne, zaangażowanie i samokontrola wynikłe z dojrzałości i poważnego podejścia do swego zadania jako badacza zostały zastąpione

numeryczną, zewnętrzną kontrolą – etos Profesora zaczął przemieniać się w sprawność Menedżera, prowadząc niekiedy do sytuacji dosyć komicznych, takich jak „organizowanie” publikacji artykułów w punktowanych czasopismach naukowych kolegom czy koleżankom, tym, którzy pod koniec okresu sprawozdawczego orientują się, że nie uciulali wystarczającej liczby punktów.

To już zaczyna być owa widzialna, nie wewnętrzna, ale dziejąca się w przestrzeni środowiskowej, konsekwencja owej przemiany. Aby ją uanościć, odwołam się do pewnego przykładu, kiedy to do mnie jako organizatora konferencji naukowej zgłosiła się koleżanka z innej uczelni z wielką prośbą, bym się zgodził, żeby przedstawiła swój referat w języku angielskim. Czemu? Bo przyda się to jej, kiedy będzie przedstawiać swoje sprawozdanie z dokonań naukowych. Absurdalność tej prośby, od której udało mi się koleżankę odwieść w końcu, wynikała wszak z konieczności sprostania wymaganiom, które nie wynikały z jej wewnętrznej potrzeby, tylko z oczekiwań numerycznego kontrolera.

Powrót do postaci Profesora?

Warto też zauważyć na koniec, że w ostatniej dekadzie (a może należałoby sięgnąć odrobinę wcześniej) pojawiła się w naszej rzeczywistości akademickiej niezwykle ciekawa postać: jest nim Menedżer Nauki. Postać ta stanowi znaczące połączenie dawnego Profesora z Menedżerem. (Całkiem podobnie, na marginesie mówiąc, w dziedzinie kultury w ostatnim okresie pojawiła się analogiczna postać Menedżera Kultury).

Kim jest Menedżer Nauki? To ktoś więcej niż Pracownik Naukowy, to ktoś, kto ma zdolność i umiejętność organizowania i zdobywania grantów naukowych, którymi zazwyczaj kieruje. Menedżer Nauki ma nieco szerszy zakres kompetencji niż Profesor. Przede wszystkim różni się od niego tym, że potrafi zdobyć grant i następnie nim pokierować. Znajomość z nim jest ważnym elementem kariery uniwersyteckiej innych Pracowników Naukowych: za uczestniczenie w grantach otrzymują punkty, które się liczą w numerycznej corocznej (lub co kilka lat się odbywającej) kontroli. Zarazem też talenty menedżerskie Menedżera Nauki pozwalają Pracownikom Naukowym uczestniczącym w jego grantach poprawić domowy budżet. Talenty te wpływają na rozpoznawalność Menedżera Nauki w środowisku naukowym, a zarazem uczestniczenie Pracownika Nauki w ważnych czy prestiżowych grantach buduje jego pozycję w środowisku Pracowników Nauki.

Nie wiem czy w naszych czasach, którymi rządzi coraz mocniej strategia podejrzeń, w ogóle da się wyobrazić sobie powrót do postaci Profesora. Jesteśmy już gdzie indziej. Chyba nawet Menedżer czy Terapeuta to postaci, których czas przeminął. Zastanawiam się zatem, czy w czasach Instagramera albo Celebryty jesteśmy w stanie w ogóle takie podejście rozważać. Jedyną nadzieją są... badacze, osoby, które znajdują niekłamana przyjemność w działalności naukowej. Wciąż są, wciąż się pojawiają. Nie odpycha ich przemiana uniwersytetu w placówkę dydaktyczną ani badacza w kolekcjonera punktów. Wszelkich tego typu zjawisk zapewne doświadczają jako utrudnień czy ograniczeń. Ale póki jest w nich pasja, która każe badać, zgłębiać i dzielić się swoją wiedzą i odkryciami z innymi, nie ma potrzeby się lękać. Pamiętajmy, że w dziejach uniwersytetów były i takie okresy (jak na przykład na początku renesansu), kiedy to, co ważne dla kultury (a humanistyki na pewno), działo się poza uniwersytetami. Bo przyrodzona człowiekowi pasja do poszerzania poznania nigdy nie zagięnie i żadne, najbardziej nawet dokuczliwe utrudnienie jej nie zgasi.

Prof. dr hab. Krzysztof Koehler, literaturoznawca, Wydział Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

Aleksandra Ziemińska-Buczyńska

Autorytet w świecie nadmiaru

Zapytajmy, jak żyć z tym nadmiarem? Co wybrać, żeby uniwersytet spełnił oczekiwania zarówno te zewnętrzne, jak i te wewnętrzne, i do tego jeszcze imponował? Myślę, że potrzebujemy przede wszystkim na chwilę się zatrzymać i zastanowić, co jest naszym priorytetem jako uczelni.

Zgodnie z definicją słownika języka polskiego imponować, znaczy wzbudzać podziw i szacunek. Kiedy wzbudza się podziw i szacunek? Kiedy jest się na tyle kompetentnym i merytorycznym wartościowym, że wpływa się na umysły i relacje, powodując zmianę na lepsze. Czy uniwersytet wzbudza podziw i szacunek w młodym pokoleniu? Nie bardzo. Dlaczego? Być może dlatego, że nie spełnia oczekiwań?

Współczesny świat daje coraz więcej możliwości. I to nie tak, że kiedyś nie było różnych dróg do wyboru. Różnica między kiedyś a teraz polega nie tylko na możliwości, ale przede wszystkim na odwadze w wyborze. Nie tylko mamy możliwości, ale coraz więcej osób z nich korzysta, bo mają odwagę do zmian. I to regularnych, co jakiś czas, a nie raz na całe życie. Tę odwagę młodszego pokolenia wypracowały im starsze roczniki, które stworzyły tak szeroki wachlarz możliwości i pokazały, że zmiana jest dobra i potrzebna. Problem leży chyba w tym, że zmiany, które zaszły w naszym kraju w ciągu ostatnich dwudziestu lat, są ogromnym skokiem – ustroju, życia, światopoglądu i również potrzeb. Media społecznościowe pokazują dostatanie i bezstresowe życie, w którym co chwilę coś się dzieje, nie ma miejsca na nudę, ale też nie ma miejsca na zgłębienie tematów czy relacji. Jeśli możemy tak wiele, tak szybko i łatwo, to po co się ograniczać jedną ścieżką rozwoju? Przy takich możliwościach współczesnego świata oczekiwania studenta są ogromne. Zdobywanie wiedzy powinno być szybkie, przyjemne, bezbolesne i w dodatku w kilku różnych tematach naraz. W dodatku powtarza się wszędzie, że może(my) wszystko. Jak mamy zaimponować komuś, kto może wszystko?

Sprawa pierwsza – możliwości

Kiedy ja startowałam na studia, mówiono mi, że ten krok jest niezbędny, żebym zdobyła dobre wykształcenie, które gwarantuje stabilną i dobrze płatną pracę. Jedną na całe zawodowe życie. Teraz w większości zawodów nie jest to konieczne. Co więcej, w wielu branżach wręcz wymaga się doświadczenia w wielu miejscach pracy, ponieważ w taki sposób widzi się wiele spraw z różnych punktów widzenia, co jest niezwykle ważne np. w zakresie wdrażania i powszechnego wykorzy-

stania nowych technologii. Hasło kształcenia przez całe życie zyskuje zupełnie inny wymiar w czasach, gdy oferta studiów policealnych, zawodowych, podyplomowych czy szkoleń jest tak szeroka i różnorodna, że każdy, kto tylko chce i ma taką potrzebę, może z niej skorzystać w każdej chwili. Warto też dodać, że tempo zmian na rynku pracy, na którym co chwila pojawiają się (i często równie szybko znikają) nowe zawody, nie sprzyja długotrwałemu studiowaniu, a jeśli już to raczej w trybie mocno praktycznym np. na studiach dualnych lub w innej formie współpracy z branżą.

Sprawa druga – sposoby kształcenia

Zabrzmieć pewnie jak prawdziwy „naukowy geriatryk”, ale „za moich czasów” studiowanie i uczenie się wymagało podręczników, które można było dostać czasem tylko w czytelniku. Na szczęście zaczęły pojawiać się punkty ksero, więc nie trzeba było przepisywać całych fragmentów książek ręcznie. Żeby wiedzieć, jaki materiał obowiązuje do kolokwium, trzeba było iść pod katedrę, w której realizowało się zajęcia, żeby przepisać te informacje z gabloty przed drzwiami. Dziś wszystkie informacje dostępne są na jedno kliknięcie w Internecie, a w ostateczności można zrobić zdjęcie. Nadal mam w głowie takie spojrzenie na studiowanie. Ale im dłużej mam kontakt z młodszym pokoleniem, tym bardziej dociera do mnie, że taki sposób studiowania to już przeszłość. Szkoda i nie szkoda. Po prostu czasy się zmieniły, w dodatku szybko i drastycznie. Forma i tempo przekazu informacji, dopasowanie ich do tematu i odbiorcy, sposoby szukania i weryfikacji danych czy różne możliwości wykorzystania takich wiadomości często w interdyscyplinarnych projektach to zagadnienia, nad którymi współcześni dydaktycy muszą pracować, jeśli chcą efektywnie kształcić młode pokolenie. Dobrym przykładem formy uczenia nierozzerwalnie związanej z uczelniami, której użycie w klasycznym wydaniu jest nie do przejścia dla statystycznego studenta, jest wykład. W tematach, w których zasypuje się studenta monologiem składającym się z informacji z jednej książki, którą ów delikwent z powodzeniem mógłby sam przeczytać, wystarczy wprowadzić element dyskusji nad potencjałem zastosowania praktycznego tych

dlaczego uniwersytet już nie imponuje?

Był Sławomir Makal



wiadomości w rozwiązaniu określonego problemu. Wprowadzenie elementów debaty czy dyskusji przekształca klasyczny wykład w formę podobną do konwersatorium, zdecydowanie bardziej angażującą studentów i nauczycieli. Z drugiej strony niektóre zagadnienia wymagają logicznego monologu, chociażby pewne zagadnienia z matematyki, które trzeba rozpiąć i wyjaśnić. Można jednak przemyśleć konstrukcję zajęć tak, aby mocniej angażowały studenta. Warto się też zastanowić, jak przekazywane wiadomości włączyć w większą całość, również z innymi przedmiotami i jak tę treść pomóc „oswoić”, żeby nie powiedzieć – uatrakcyjnić – słuchaczowi.

Wyzwania dydaktyczne to bardzo ważny temat, nad którym należałoby się zastanowić w kontekście spełniania oczekiwań. Nie tylko samych studentów, których treść i forma podania mogą przyciągnąć lub zniechęcić. Zazwyczaj myślimy o spełnianiu oczekiwań jako o odpowiedzi na swoistego rodzaju koncert życzeń i oczekiwania „klienta”, który płaci i wymaga. W tej kwestii raczej nie chodzi o satysfakcję klienta-studenta, którego nauczono, a o wzajemną satysfakcję z współpracy, nie tylko w tak ostatnio podkreślanej relacji partnerskiej, ale również w relacji mistrz-uczeń, która pomimo zmiany światopoglądowej nadal ma szanse istnieć w przestrzeni akademii w zupełnie nowym wymiarze. Mistrz już nie jest wszechwiedzącym guru, tylko otwartym na dyskusję doświadczonym nauczycielem, który potrafi przyjąć od ucznia wiedzę, którą ten mu przekazuje w zakresach nieznanymi dla mistrza (a jest ich całkiem sporo). Wskazuje on jednocześnie wspólną drogę do rozwiązania problemu badawczego dzięki swojemu doświadczeniu, którego uczniowi brakuje. Nie wspominając już potrzeby myślenia o zmianie tej relacji w perspektywie kilku kolejnych lat, kiedy satysfakcjonujący układ mistrz-uczeń może przerozdzić się w partnerstwo w temacie badawczym czy współpracy biznes-akademia.

Sprawa trzecia – tempo adaptacji do zmian

Nie od dziś wiadomo, że konieczne jest dostosowywanie się do zmian. Przy szybkiej zmianie tempo adaptacji musi zachodzić równie sprawnie. Jednak uniwersytety w wielu wymiarach nie zmieniają się szybko, bo zmiana uniwersytetu to przed wszystkim zmiana w ludziach o bardzo specyficznym podejściu do pracy – w ich odbiorze rzeczywistości i chęci adaptowania się do nowych warunków życia, również zawodowego. W wielu wymiarach natomiast uniwersytety chcą zmieniać się za szybko i bez przemyślenia długofalowej strategii, która pozwalałaby realizować konkretne, dalekosiężne cele. Ta druga droga widoczna jest w szczególności w aktywnościach, które nie były na uczelniach tak widoczne na dużą skalę jeszcze 15-20 lat temu, np. komunikacja nauki do społeczeństwa jako element trzeciej misji uczelni czy wdrażanie innowacji naukowych do biznesu. Strategie działania uczelni są przygotowywane jak w przedsiębiorstwach, na trzy do pięciu lat. Brakuje tu dalekosiężnych celów w elastycznej pod wieloma względami strategii, tak ważnej w dzisiejszym stale zmieniającym się świecie. Co więcej, w moim odczuciu uczelnie przez zmiany w otoczeniu i konieczność podążania za nimi zgubiły się w ustalaniu celów nadrzędnych. Kiedyś sprawa była jasna, uczelnia miała – jak sama nazwa wskazuje – uczyć i prowadzić badania, których głównym zadaniem było wyjaśnianie świata i jego działania. Na takiej uczelni student miał kontakt z ludźmi posiadającymi dużą wiedzę i skupionymi na swojej pracy w danym temacie. Jeśli dodamy do tego jeszcze brak Internetu, to przepis na zaімponowanie młodemu człowiekowi murowany. Bardzo dużą wagę przywiązywano do rozwoju nauk podstawowych, których efekty w danym momencie nie musiały być aplikowalne. Nawet badania aplikacyjne były realizowane z dużą swobodą

i ciekawością naukową. Dzisiejsza rzeczywistość wymaga od uczelni nie tylko dobrej jakości dydaktyki, spełniającej „oczekiwania klienta”, ale również realizacji badań naukowych wpisujących się w światowe trendy, aplikacyjnych i najlepiej od razu możliwych do wykorzystania w skali przemysłowej. Do tego uczelnia musi mieć dobre relacje z otoczeniem społeczno-gospodarczym, które obejmuje ogromną liczbę interesariuszy: miasto, samorząd, szkoły, przedszkola, centra nauki, prywatnych inwestorów, firmy o różnych wielkościach i profilach. Uczelnia powinna być wszędzie widoczna i w każdym aspekcie najlepsza, powinna spełniać wszystkie oczekiwania. No właśnie, miotając się w mnogości tych oczekiwań, nietrudno zgubić to, co jest celem nadrzędnym funkcjonowania uczelni, nie mówiąc już o imponowaniu komukolwiek.

Zapytajmy więc, jak żyć z tym nadmiarem? Co wybrać, żeby uniwersytet spełnił oczekiwania zarówno te zewnętrzne, jak i te wewnętrzne, i do tego jeszcze imponował? Myślę, że potrzebujemy przede wszystkim na chwilę się zatrzymać i zastanowić, co jest naszym priorytetem jako uczelni. Mając na uwadze taki główny cel, spróbować dodać do niego pozostałe „obowiązki” uniwersytetu, jako swoistego rodzaju cele wspierające główną misję. Powinniśmy też pozwolić pracownikom uczelni wybrać ścieżkę, na której czują się dobrze i będą pracować efektywnie. Wydawałoby się to oczywiste, ale reforma szkolnictwa wyższego, która zakładała możliwość wyboru ścieżki kariery, nie dała narzędzi, żeby takie wybory umożliwić. Rozliczenie pracy naukowców w duchu powszechnej punktozomy powoduje przeszerogowania w grupach pracowników naukowych i dydaktycznych z zupełnie innych powodów niż wybranie satysfakcjonującej nas ścieżki rozwoju. Może czas również to zmienić? Skupiony na uczeniu dydaktyki czy zafascynowany swoimi badaniami naukowiec to najlepsza reklama uczelni, nie tylko dla studenta, ale również dla innych grup interesariuszy, z którymi uczelnie współpracują. Takie kompetencje imponują.

Wróćmy do imponowania

I tu wracam do uniwersytetu – uniwersytet powinien imponować, ale nie tytułem czy stopniem naukowym i przydługą, acz nudną opowieścią, jak to było w czasach Skłodowskiej-Curie czy „mojej naukowej młodości”. Nie musi też imponować ilością. Powinien imponować jakością, merytoryką i poziomem współpracy, komunikacji wewnętrznej i zewnętrznej oraz stałością w utrzymaniu standardów naukowych, etycznych i czyisto ludzkich.

Uniwersytet, który imponuje, to taki, który działa z jasno wytyczonym celem według racjonalnej strategii w swoim otoczeniu społeczno-gospodarczym. Strategii nie na pięć czy dziesięć, ale na sto lat. Strategii elastycznie dostosowującej się do zmian, dzięki czemu cel zostanie osiągnięty nawet wtedy, kiedy nasza rzeczywistość będzie się zmieniać równie szybko, a może i szybciej niż teraz. To uniwersytet elastyczny, mądrze zarządzający zmianą i otwarty na współpracę. To partner, który funkcjonuje w swoim otoczeniu na równych prawach z innymi jego członkami, nie jako dodatek, zastępstwo czy nieznaną realioów rzeczywistości ubogi krewny biznesu, ale jako kompetentny i wartościowy gracz.

Uniwersytet to ludzie, którzy pracują na jego jakość i merytorykę. Jeśli jasno zdefiniujemy cel i mamy narzędzia do jego osiągnięcia, jest duża szansa, że znajdziemy w tej trudnej, szybkiej, nowej rzeczywistości drogę do odbudowania autorytetu uniwersytetu, a co za tym idzie, zaufania do nauki. A zmianę zawsze zaczynamy z głową i od siebie.

*Prof. dr hab. Aleksandra Ziemińska-Buczyńska, mikrobiolog,
Wydział Inżynierii Środowiska i Energetyki Politechniki Śląskiej w Gliwicach*

Kryzys uniwersytetu?

Czy jest szansa na przywrócenie uczelniom należytej rangi?

Podstawową rolą uczelni nie jest uczenie (do) zawodu. Studia dawały przede wszystkim szansę na poszukiwanie wiedzy, poszerzenie zainteresowań, zawiązanie relacji społecznych. Wszystko to przekładało się potem na lepszy start w życie zawodowe. Obecnie ów element „uzawodowienia” szkolnictwa wyższego staje się swoistym (pseudo)dogmatem.

Każdego roku na początku października w aulach uniwersyteckich w Polsce rozbrzmiewa *Gaudeamus igitur*. Społeczność akademicka *Raduje się więc*, zwłaszcza z faktu wstąpienia w szeregi studentów nowych pokoleń młodzieży. Inicjacja akademicka jest niezwykle ważnym i podniosłym wydarzeniem zarówno dla studentów pierwszego roku, jak i dla społeczności uniwersyteckiej. Nauka i kształcenie nie są bowiem celem samym w sobie. Mają znaczenie i sens jedynie wtedy, gdy służą człowiekowi, jego wszechstronnemu rozwojowi i nabywaniu nowych kompetencji. Uniwersytet spełnia swoją rolę gdy jego sale wykładowe są wypełnione studentami, chcącymi poznać świat i wzbogacać swoje życie przez obcowanie z nauką, wykładowcami i swoimi rówieśnikami. Jakkolwiek od kilkunastu lat widać wyraźnie, że kształcenie na studiach boryka się z kilkoma wyzwaniem. Powody zjawiska są zróżnicowane, dość poważne i głębokie. Część z nich ma charakter obiektywny. Jednak nie brakuje takowych, które nie mieszczą się w kategoriach przewidywalnych. Zasadne jest więc pytanie, czy uniwersytet wciąż imponuje? Jakie powody wpływają na spadek atrakcyjności uniwersytetu?

Transformacja ustrojowa w Polsce po 1989 r. przyniosła również zmianę w systemie edukacji wyższej. Powstało wiele uczelni niepublicznych, nastąpił wzrost liczby studentów, kształcenie przeszło na poziom masowy. Miało to swoje uzasadnienie w kryteriach demograficznych. Na tzw. rynek edukacyjny wchodziło pokolenie urodzone w latach bumu demograficznego lat 70. XX wieku. Było ono zdeterminowane do podniesienia swego statusu społecznego oraz pozycji ekonomicznej. Studia miały walor prestiżu, traktowane były jako wartość sama w sobie, kształtując charakter i przyszłość podejmujących je. Stosunkowo wysoki poziom studiów i zaangażowanie uczących się były przez lata stabilne, mimo dużej liczebności studiujących. Program studiów był przejrzysty, oparty na tradycyjnych zasadach, podstawach programowych i kadrowych. Uczelnie funkcjonowały, co do zasady, w jasnych ramach profilowych (tzw. typach uczelni, np. uniwersytety, akademie, politechniki, szkoły zawodowe, szkoły niepubliczne). Studenci chętnie angażowali się w działania wspierające kształcenie, m.in. przez aktywność w organizacjach studenckich, udział w konferencjach i wydarzeniach naukowych. To na uniwersytetach można było „na żywo” zobaczyć i posłuchać liderów politycz-

nych, ekonomicznych i społecznych zmieniających oblicze Polski po 1989 r. Wybierany kierunek studiów był generalnie wypadkową zainteresowań i przyszłych planów zawodowych. Nie stroniono od kształcenia na klasycznych kierunkach, które dawały wiedzę ogólną i specjalistyczną, niezbędną do rozumienia świata i radzenia sobie w skomplikowanej rzeczywistości. Kierunek studiów nie stanowił przeszkody do podjęcia aktywności zawodowej w wybranym obszarze. Nierzadko filozof stał się specjalistą w zakresie rozbudowanych analiz systemowych, stając się np. pracownikiem służb specjalnych, psycholog doskonale sprawdzał się w biznesie a socjolog znajdował swoje miejsce w administracji lub organizacjach pozarządowych. Zdobyta wiedza pozwalała na zróżnicowane formy zaangażowania, spełnienia osobistego i zawodowego.

Ingerencja w autonomię i specyfikę uniwersytetu

W nowym tysiącleciu (po 2000 roku) sytuacja w szkolnictwie wyższym ulega stopniowej ale też dynamicznej zmianie. W wyniku tzw. procesu bolońskiego, zapoczątkowanego w 1999 r., dochodziło do kolejnych reform, których część przyniosła negatywne skutki w jakości kształcenia. Jak się wydaje (częściowo) słuszne założenia ujednolicenia systemu edukacji w Europie, porównywania systemów kształcenia i zwiększenia mobilności studentów doprowadziły w zasadzie do poważnej, nieuprawnionej ingerencji w autonomię i specyfikę uniwersytetu. Zaburzyły przy tym dość znacznie najważniejszą zasadę kształcenia w relacji Mistrz-Uczeń. Nałożyło się na to dodatkowo, także w Polsce, nadmierne biurokratyzowanie systemu szkolnictwa wyższego opartego w głównej mierze na ilościowych wskaźnikach. Jakość kształcenia polega teraz na speł-

Rok	Liczba uczelni	Liczba studentów (w tys.)
2000	310	1585
2005	445	1954
2010	467	1900
2023	354	1245

Na podstawie danych GUS.



nieniu bądź niespełnieniu tych wskaźników. Ich weryfikacja odbywa się w znacznym stopniu przez sprawdzanie dokumentacji (np. tzw. sylabusy, efekty kształcenia, ewaluacja, hospitacja itp.). Przez lata rosła liczba uczelni, przy jednoczesnym spadku liczby studiujących. Część szkół wyższych, głównie niepublicznych, nie spełnia nawet podstawowych wymagań stawianych takiej instytucji. Mimo to nadal kształci i promuje absolwentów. Szkolnictwo wyższe nie może być traktowane w takich przypadkach jako przedsięwzięcie biznesowe. Odbija się to na jakości kształcenia i wartości dyplomu studiów. Problemy z tym związane, także te szeroko rezonujące w mediach i opinii publicznej, wpływają na wiarygodność całego systemu szkolnictwa wyższego. Konieczne jest więc dokonanie faktycznej oceny nierzetelnych uczelni i zaprzestania ich działalności. Dodatkowo polityka państwa w obszarze szkolnictwa wyższego budzi często wątpliwości i przyczynia się do nawarstwiania się problemów. Kluczowe znaczenie, zwłaszcza w pierwszej dekadzie XXI w., miał w Polsce negatywny przekaz ze strony rządzących związany z kierunkami humanistycznymi i społecznymi. Miały one być rzekomo zupełnie nieprzydatne dla gospodarki i rynku pracy. W ten sposób dość skutecznie wyeliminowano w dużej mierze takie kierunki, jak m.in. filozofia, socjologia, politologia i historia. Wszystkie stanowią podstawę kształcenia uniwersyteckiego, wpływają na system społeczny i dziedzictwo narodowe. Dla rządzących są jednak swoistą przeszkodą, gdyż dają młodzieży studiującej szansę na szerokie perspektywy, wiedzę i horyzonty, które stanowią możliwość krytycznej oceny poczyniań „elity politycznej”. Nie dziwią więc z tej perspektywy uskuteczniane przed kilkoma laty, udane próby zniechęcenia do studiowania tych kierunków. Poza tym brak absolwentów takich kierunków zmniejsza rządzącym ryzyko kompetentnej, społecznej kontroli podejmowanych działań. Bulwersuje jednak w tym świetle fakt, że z kilku uczelni na stałe zniknęła np. filozofia jako samodzielny kierunek studiów.

Biorąc pod uwagę kilka nakreślonych problemów, można podjąć ogólne uwagi dotyczące przyczyn spadku atrakcyjności uniwersytetu i wyższego wykształcenia wśród młodzieży. Są one wynikiem kilkunastoletnich obserwacji całego systemu szkolnictwa wyższego, różnych środowisk i ośrodków akademickich i przemian w społeczeństwie polskim. Uwagi te mają charakter generalny i subiektywny, są jednym z możliwych scenariuszy analizy przedmiotowego zagadnienia.

Cztery uwagi

Po pierwsze, współczesna młodzież kończąca szkołę średnią ma znacznie inną perspektywę, świat wartości lub odniesienia dla własnego sukcesu osobistego i zawodowego. Z powodu postępującego wzrostu gospodarczego, zmiany stylu wychowania, życia i wszechobecnego bodźcowania cyfrowego, np. w ramach mediów społecznościowych, znacznie mocniej niż u ich rodziców akcentowany jest sukces finansowy, jednak bez nadmiernego wysiłku. Może on zostać osiągnięty, w opinii części młodzieży, przez aktywność opartą na przyjemnych formach spędzania czasu, charakterystycznych dla współczesności. Przykładem tego może być zapatrzenie się młodych na kariery influencerskie i inne sieciowe formy zarobkowania. Nie wymaga to specjalnego przygotowania, z pewnością nie na studiach, które nierzadko są postrzegane jako strata czasu.

Po drugie, zmieniło się społeczne postrzeganie prestiżu opartego na wyższym wykształceniu. (Potwierdzają to m.in. badania CBOS z ostatnich dziesięciu lat. Na ich podstawie można wskazać, że mniej niż jedna czwarta studentów kieruje się argumentami ambicjonalnymi i poznawczymi. Wchodzi w to również motywacje związane z poszerzeniem horyzontów). Przy masowej edukacji, dostępie do uczelni niemal dla

każdego, bez specjalnych wymagań przy dużej ilości miejsc panuje przekonanie, że studia są konieczne jedynie ze względu na dyplom wymagany przez pracodawców. Jego wartość nie jest wynikiem zdobytej wiedzy, ale spełnienia obowiązku lub formalnego wymogu. Skoro w zasadzie więc wykształcenie jest powszechne, to nie budzi już większego zaciekawienia i nie różnicuje społecznie. Nawet jeśli młody absolwent szkoły po kilku latach od jej ukończenia zechce uzupełnić wykształcenie wyższe, to w powszechnej opinii może zrobić to bez trudu, zapisując się po prostu na studia na jednej z wielu uczelni.

Po trzecie, uczelnie są swoistym zakładnikiem polityki edukacyjnej, a w zasadzie jej przypadkowości i zmienności. Przykładem tego jest tzw. Ustawa 2.0, reforma szkolnictwa wyższego przeprowadzona przez ówczesnego ministra nauki Jarosława Gowina. Niektóre założenia tej reformy są zupełnie nieczytelne i czynią system szkolnictwa wyższego niezwykle zagmatwanym. Nie sprzyja to spokojnej pracy akademickiej. Przykładami tego są m.in. faktyczne oddzielenie nauki od kształcenia, z nadmiernym przywiązaniem wagi do osiągnięcia ilościowych wskaźników przez nauczycieli akademickich, swoistej „punktozy”, czyli pogoni za publikowaniem za wszelką cenę w wysoko punktowanych czasopismach. Wysoka pozycja w dość niejasno określonych kryteriach ewaluacji nauki ma decydować o przyszłości uczelni. Nierzadko niestety odbija się to negatywnie na dydaktyce, czasie poświęcanym na kontakt ze studentami. Na uczelniach panuje przekonanie o nadmiernej trosce o przyjętego już studenta, jego prawach i konieczności zaopiekowania się nim w każdej sytuacji. Student jest przez to czasami traktowany jak „klient na wagę złota”. Stwarza to okazję do wykorzystywania tej pozycji, także w relacjach związanych z kształceniem (np. przez spadek wymagań i płytkie zaangażowanie).

Po czwarte, w powiązaniu z poprzednim wnioskiem studia zaczęto traktować jako kluczowy element przygotowania zawodowego. Kształcenie na potrzebny rynku stało się swoistym słowem-kluczem. Bazując jednak na idei uniwersytetu, nawet mając świadomość zmian cywilizacyjnych wpływających na jego funkcjonowanie, trzeba podkreślić, że podstawową rolą uczelni nie jest uczenie (do) zawodu. Studia dawały przede wszystkim szansę na poszukiwanie wiedzy, poszerzenie zainteresowań, zawiązanie relacji społecznych. Wszystko to przekładało się potem na lepszy start w życie zawodowe. Obecnie ów element „uzawodowienia” szkolnictwa wyższego staje się swoistym (pseudo)dogmatem. Nie każdy absolwent szkoły średniej musi bądź powinien ukończyć uczelnię. To zawsze powinien być indywidualny wybór. Społeczeństwo potrzebuje specjalistów i fachowców w konkretnych dziedzinach. Można być dobrym człowiekiem, obywatelem, wykonując konkretny zawód, kończąc edukację na szkole średniej, rozwijając swoje pasje i umiejętności. Przyczyniać się w ten sposób do rozwoju społecznego i gospodarki narodowej.

Czy zatem jest szansa na przywrócenie uniwersytetowi należytej rangi? Jak tego dokonać? Wydaje się, że odpowiedzi są znane od starożytności i w części mogą wydawać się oczywiste. Kluczowy jest powrót do przyjaznej przestrzeni, swoistej agory naukowej, kształcącej i przygotowującej młode pokolenie do podejmowania współczesnych i przyszłych wyzwań. Chodzi o potwierdzenie autonomii i specyficznego statusu uniwersytetu, gdy wolność i wymiana myśli, twórczy nieład idei przyczyniały się do rozwoju pokoleń. Ponadto niezbędne jest ugruntowanie relacji Mistrz-Uczeń. To w tej relacji wykuwały się największe idee. My, akademicy, uwierzmy, że to wciąż możliwe!

Dr hab. Wojciech Gizicki, prof. KUL, prodziekan Wydziału Nauk Społecznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II

Grzegorz Ostasz

Spadkowi zainteresowania można zaradzić

Szukając skutecznego lekarstwa na spadek zainteresowania studiami, uczelnie muszą postawić na profesjonalne zespoły promocji i komunikacji, ale także wyspecjalizowane komórki, których zadaniem będzie analiza wyników rekrutacji, studenckiego drop outu, ekonomicznych losów absolwentów. Ważne jest, aby uczelnie umiały identyfikować zdolnych, ale nieusatysfakcjonowanych studentów i diagnozować przyczyny tego stanu. Należy weryfikować, co jest rezultatem niedopasowania studenta do wymogów uczelni, a co wypadkową lekceważenia oczekiwań młodzieży i pracodawców.

W ostatnich latach wyraźnie widać stały spadek zainteresowania studiami. To tendencja ogólnoeuropejska, a nawet globalna. Dane sprzed kilku lat mają już tylko historyczną wartość i szybko się zmieniają. Jak wynika z raportu Eurostatu w 2021 r. wyższe uczelnie ukończyło 40 proc. Polaków w wieku 25-34 lat. Z kolei średnia dla Unii Europejskiej wyniosła wówczas 41,2%. Dla porównania w Niemczech dyplomy akademickie zdobyło 35,7% młodych ludzi, we Włoszech niewiele ponad 28%, we Francji ponad 50%. Rekordzistami były Luksemburg (62,6%), Irlandia (61,7%) oraz Cypr (58,3%). Najmniej absolwentów miała Rumunia – 23,3%.

Oczywiście malejące zainteresowanie studiami ma charakter względny. Kiedy prawie dwie dekady temu osiągnęliśmy wyrównany rekord i na polskich uczelniach studiowało ponad 1,9 mln osób (teraz jest ich o 700 tys. mniej), do grona żaków należeli uzupełniający wykształcenie przedstawiciele różnych zawodów. Obecnie w Polsce jest około 8 milionów osób z wyższym wykształceniem (w II RP, przy podobnej liczbie mieszkańców, 330 tys. osób szczyliło się dyplomami, a w 1988 r., u schyłku PRL, 1,8 miliona). Tymczasem, biorąc pod uwagę wymogi programowe oraz jakość kształcenia, na dyplom zasługuje co najwyżej 10 procent każdej generacji.

Dlaczego uniwersytet przestał imponować?

Przyczyn jest kilka. Na pierwszym miejscu są zmiany demograficzne, które w Polsce niestety będą się pogłębiać. Co zrozumiale, nadal mamy grupę obleganych kierunków studiów, z kilkoma lub więcej kandydatami na każde miejsce – to przede wszystkim medycyna i informatyka. Ale nie można się oszukiwać i trwać w ułudzie. Pojawiła się bowiem inna ważna przesłanka. Nastolatkom przestają dostrzegać sens studiowania (przede wszystkim pożądanego efektu finansowego), a to problem nie tylko uczelni, lecz całego systemu szkolnictwa wyższego. W bieżącym roku ledwie co drugi maturzysta rozważał pójście na studia, podczas gdy w 2018 r. studiowanie planowało aż 95% kończących szkoły średnie. Tempo zmian jest

dynamiczne i wymaga szybkich działań naprawczych. Dzisiejsza młodzież zrywa ze wzorem swoich rodziców i świadomie rezygnuje z kilkuletniej przygody na uniwersytecie. Cóż, jeszcze kilkanaście lat temu zarobki absolwentów uczelni rosły szybciej niż wynagrodzenia osób bez dyplomu. Ale to już przeszłość. Teraz ciekawe i atrakcyjne pod względem finansowym oferty pracy nie mają warunku ukończenia uniwersytetu, politechniki czy innej szkoły wyższej. Dla pokolenia Z i zbliżającego się do dojrzałości pokolenia Alpha kuszącymi karierami (zajęciami?) są influencer, youtuber, trendsetter, vloger. „Zawody przyszłości” nie odwołują się do konkretnych kierunków studiów, nie wymagają studiowania (choć pojawiły się takie profile w szkołach średnich), jednak skutecznie wabią zarobkami; nawet przewyższającymi w ciągu roku wynagrodzenia, jakie rodzice dzisiejszych maturzystów mogą otrzymać przez całą karierę zawodową.

Negatywny wpływ na autorytet uniwersytetów mają medialne doniesienia o patologiach w szkolnictwie wyższym, uczelniach wydających dyplomy ukończenia studiów bez udziału w zajęciach i egzaminach, o toczących się latami postępowaniach dotyczących plagiatów w badaniach i publikacjach, kontrowersjach związanych ze ścieżką awansu naukowego. Także polityczne ambicje części kadry akademickiej skutkują spadkiem zaufania społecznego do tej szacownej, ale dziś już mniej szanowanej grupy zawodowej.

Nadto niepokoi, że młodzi ludzie utracili poczucie dumy ze statusu studenta. Mało kto jeszcze się szczyli studencką czapką. Również bluzy czy T-shirty z logo uczelni chętniej zakładają nauczyciele akademicy niż generacja żaków. Przyczyna jest prozaiczna: studia straciły prestiż i z niegdyś elitarnego towaru stały się zbyt powszechne i łatwo dostępne. Zresztą analogicznie jest z maturą; panuje dziwne przekonanie, że to szkoły powinny się wstydzić, kiedy uczeń oblewa egzamin dojrzałości.

Również niemała grupa studentów jest krytyczna wobec własnego środowiska. Traci zaufanie do swoich reprezentacji, zauważa, że władze samorządów bardziej troszczą się o swoje

kariery niż o problemy społeczności zaków. Nic dziwnego, że przekłada się to na niskie frekwencje podczas wyborów studenckich samorządów. Co znamienne, w skali kraju martwimy się, kiedy frekwencja w wyborach parlamentarnych czy prezydenckich spada poniżej 50%. Tymczasem na uniwersytetach i politechnikach przyszła elita w jeszcze mniejszym stopniu angażuje się w proces wyłaniania studenckich samorządów.

Co może zaskakujące, w jakimś wymiarze na zainteresowanie studiowaniem negatywnie wpłynęły także decyzje polityczne, administracyjne. Na przykład z 2010 r. kiedy zniesiono obowiązek służby wojskowej, przed którym uczelnie dawały ochronę.

Według jednego z raportów tegoroczni maturzyści mają sporo pomysłów na przyszłość i to niezwiązanych ze studiowaniem (potocznie przydatnym tylko prawnikom i lekarzom). Jak wspomniano, zdolnych nastolatków bardziej motywuje ciekawa, a co jeszcze ważniejsze, dobrze płatna praca. Doskonale się orientują, że wykwalifikowany fachowiec zarabia więcej niż najlepszy absolwent renomowanego uniwersytetu. Pokolenie Z posiada też niezłą wiedzę z zakresu finansów osobistych. Nic dziwnego, że młodzi ludzie rozważają uruchomienie własnej działalności, emigrację zarobkową, a niekiedy kierują się chęcią odkrywania świata i podróżowania. Refleksję, ale też niepokój uczelnianych decydentów, muszą budzić i inne dane. Otóż 75% pokolenia Z ma świadomość nieustannego doskonalenia i kształcenia, ale uważa, że jest wiele lepszych sposobów na zdobywanie wiedzy niż studia.

Problem z malejącą atrakcyjnością uniwersytetów wynika z faktu, że „podaż nie zaspokaja popytu”. Ale przecież to nie maturzysta jest od wytworzenia produktu, czyli zapewnienia podaży (w naszym przypadku pożądanej usługi kształcenia), ale to młody człowiek kształtuje popyt. Jeżeli coś nie cieszy się zainteresowaniem (studia), to nie jest to wina potencjonalnego klienta, lecz bez wyjątku instytucji, która oferuje usługę. Naturalnie można wpływać na popyt (rozbudzać zainteresowanie studiami), ale trzeba mieć atuty, a tych większości uczelni brakuje. Zbyt powszechnie oferowany model studiowania opiera się na zabetonowanej akademickiej tradycji. A przecież, jeśli coś się nie zmienia – nie unowocześnia, usprawnia, modernizuje – przegrywa. Tymczasem zmiany w dynamicznie ewoluującym otoczeniu rynkowym, w świecie cyfrowym, są coraz większe. Z kolei próba lekceważenia, niedocenywania tych zmian na uczelniach, to nic innego jak oszukiwanie rzeczywistości.

Również liczby ubiegających się na studia oraz kandydatów na jedno miejsce nie stanowią kryteriów popytu i podaży. Bezrefleksyjnie analizowane nie są wiarygodne i przekłamują dane, bo wielu kandydatów stara się o przyjęcie nawet na kilka kierunków na tej samej lub na różnych uczelniach. Inna sprawa, że kandydaci często nie kierują się racjonalnymi argumentami. Wybierają studia, które zapewnią im perspektywę zawodową, ale opierają się na pogłoskach, reklamie, a nie biorą pod uwagę własnych kompetencji.

Zamieszanie w procesie rekrutacji – dla szkół wyższych oraz kandydatów – wynika z nadmiernej liczby proponowanych, nieatrakcyjnych rynkowo, zbyt specjalistycznych kierunków (w których gubią się nawet pracownicy uczelni). Warto skorzystać z doświadczenia innych i prześledzić tryb oraz formę rekrutacji na topowe uczelnie: MIT, Harvard, Cambridge, Oksford, Stanford, Sapienzę, Sorbonę, Politechnikę Federalną w Zurychu.

Dyplom nie gwarantuje sukcesu

Aby odpowiedzieć na tytułowe pytanie, wypada ustalić, po co studiujemy oraz jak postrzegamy uniwersytety i jak definiujemy studiowanie. A w tej fundamentalnej kwestii mamy spore różnicowanie i skrajne oczekiwania. Uniwersytety

(i inne szkoły wyższe) uczyły i uczą dochodzenia do prawdy, rozwijają rozum jako zdolność myślenia, ale też rozum praktyczny, który później absolwenci poddają sprawdzeniu, pracując zawodowo. Aby ów rozum wszechstronnie ukształtować, potrzeba – w najlepszym i najważniejszym okresie życia, czyli w młodości – kilku lat studiów oraz zgłębiania przedmiotów teoretycznych i zawodowych. Uniwersytety urabiają zainteresowania, wzbogacają dusze, formują osobowości, uczą radości życia, jednoczą. I tak się dzieje, pod warunkiem że się o to umiejętnie staramy (a nie ulegniemy pokusie jałowego googlowania).

Choć programy nauczania szeregu polskich uczelni koncentrują się na kluczowych kompetencjach, na wykorzystaniu zaawansowanych umiejętności cyfrowych, to biegłość studentów wielu kierunków (w tym robotyki, informatyki czy mechatroniki) wciąż ma wymiar teoretyczny, a absolwenci nie czują się w pełni przygotowani do pracy. Powodów jest kilka. Po pierwsze, kadra akademicka nie widzi sensu dodatkowego angażowania się, wychodzenia przed szereg, modyfikowania przestarzałych programów nauczania. Po drugie budżety publicznych i niepublicznych szkół wyższych z reguły uniemożliwiają dostęp do najnowszych technologii. Inwestycje w laboratoria były, są i będą kosztowne i najczęściej nie podążają za najnowszymi trendami i rozwiązaniami, a do tego szybko się starzeją. Po trzecie na wielu uczelniach brak stałej, planowej współpracy z biznesem. Po czwarte, nawet najwyższej jakości wiedza praktyczna serwowana na uczelni dezaktualizuje się po kilku latach kariery zawodowej. Nic dziwnego, że część młodych inżynierów i absolwentów innych kierunków niedługo po odebraniu dyplomu przekonuje się, że ich studia nie są przydatne w pracy. Stąd opinia, że dyplom nie gwarantuje sukcesu na rynku pracy, a tym bardziej awansu czy podwyżki.

Współczesna tendencja do zdobywania wiedzy praktycznej kłóci się z ideą tradycyjnego uniwersytetu. Ale to właśnie studenci, pewnie słusznie, domagają się większej liczby zajęć z praktykami. Z jednego z raportów wynika, że to opinia ponad 80% studentów z kilku topowych polskich uczelni technicznych. Ponadto dwie trzecie bardziej sobie ceni zajęcia z fachowcami z branży niż z nauczycielami akademickimi. A zatem studencką młodzież coraz mniej pociąga wykładana teoria, nawet wsparta świetnymi publikacjami i najwyższymi umiejętnościami dydaktycznymi.

Tylko czy to wciąż będą uniwersytety, czy specjalistyczne kursy zawodowe? Przecież bez żmudnego studiowania w ciągu mniej niż dwóch lat można zdobyć certyfikat zawodowego pilota komunikacyjnego. A uposażenie w tej grupie zawodowej jest bardzo kuszące i to od początku kariery za sterami samolotu. Bariery, na szczęście dla uczelni kształcących pilotów, jest wyłącznie koszt kursu (około 200 tys. zł).

Aktualna generacja studentów ma określone wymagania odnośnie do nowoczesnych metod kształcenia. Zajęcia przede wszystkim muszą być ciekawe i angażujące. Ale młodzież również wie, że takie wymogi lepiej spełniają specjalistyczne kursy i szkolenia. Zresztą nowoczesnie zarządzane firmy same wychodzą z odpowiednią inicjatywą i zapewniają pracownikom praktyczną edukację, często na poziomie, jakiego nie umożliwi żaden uniwersytet.

Czy uczelnie w ogóle mogą obiecywać absolwentom atrakcyjne zatrudnienie? Biorąc pod uwagę, jak nasze otoczenie dynamicznie ewoluuje, trudno prognozować, jakie specjalności będą oczekiwane za kilka lat. Dlatego aplikowanie na poszukiwany w danym momencie kierunek może po trzech czy pięciu latach studiów przynieść rozczarowanie, brak zawodowego spełnienia. Ekspertki przekonują, że wkraczający na rynek pracy

młodzi ludzie kilka razy zmieniają zawód. Tymczasem skostniały system akademicki wymaga zatwierdzania planów studiów na rok przed rekrutacją, a więc jeszcze wydłuża proces „produkcji” absolwenta. Kolejny uczelniany mankament to brak możliwości modyfikowania i unowocześniania na bieżąco planów studiów.

Zatem, jeśli ktoś rozpoczął studia na bazie planu, który właśnie się zdezaktualizował, to ma pecha i nadal będzie musiał przyswajając przestarzałą wiedzę.

Na liście najpopularniejszych kierunków studiów w Polsce znajdują się zarządzanie, informatyka, administracja, logistyka,

dla czego uniwersytet już nie imponuje?



Foto: Sławomir Makal

ekonomia. Jednak zainteresowanie kandydatów nie zawsze idzie w parze z oczekiwaniami rynku pracy. Z drugiej strony mamy deficyt nauczycieli. Ale jak przyciągnąć do studiów pedagogicznych, skoro pensje w tej profesji są nieatrakcyjne dla młodych osób, a sami nauczyciele, rozczarowani wynagrodzeniami, odchodzą z zawodu.

Obecnie poszukiwani są też pracownicy służb mundurowych. Według Komendy Głównej Policji liczba wakatów w tej instytucji wynosi ok. 15 tys. Jednak czy do służby w policji potrzeba studiów wyższych, do tego na uczelni cywilnej, a nie resortowej?

Wciąż wartościujemy studia przez pryzmat spodziewanych zarobków. Nagłówek jednego z portali głosi: „Medycyna, informatyka i rachunkowość – absolwenci m.in. tych kierunków otrzymują najwyższe wynagrodzenie zaraz po studiach. Niektórzy mogą liczyć nawet na 16 tys. zł brutto”. Autor jednak nie wyjaśnił, czy w przypadku informatyki i rachunkowości wystarczą studia inżynierskie (bądź licencjackie), czy trzeba mieć dyplom magisterski. Nie uwzględnia też, że studia trwają co najmniej trzy lata, a w tym czasie wiele czynników może ulec zmianie. Zatem tego rodzaju newsy mącą w głowach maturzystom i ich rodzicom. To tak, jakby reklamować: „Zostań policjantem, komendant główny otrzymuje fajne uposażenie”. Albo: „Wybierz studia na kierunkach artystycznych. Kiedy zyskasz sławę, będziesz miał świat u stóp”. W rezultacie nie zainteresowania, nie predyspozycje, tylko pożądane dochody kształtują decyzje o wyborze kierunku studiów.

Czy można uniknąć sytuacji, kiedy ponosimy koszty edukacji, a umiejętności absolwentów są niezgodne z potrzebami rynku pracy? Chyba nie, bo nie sposób idealnie dopasować wykształcenia absolwentów do lokalnego rynku pracy i przewidzieć, czy zrekrutowani kandydaci znajdą pracę po studiach. Część zmian jest zaskakująca, jak w przypadku boomu na programistów, a potem gwałtownego spadku koniunktury pod wpływem sztucznej inteligencji. Podobnie jest z niedoborem specjalistów od cyberbezpieczeństwa oraz analizy danych (big data). Kto zaręczy, że za kilka lat absolwenci takich studiów też znajdą zatrudnienie? I z jakim uposażeniem? A może i te zawody zdominuje AI?

O konieczności poszerzania wolności

Nie ulega wątpliwości, że w pewnym stopniu malejące zainteresowanie studiami jest pochodną wszechogarniającej środowisko akademickie biurokracji, korporacjonizmu. Przemęczony, zestresowany natłokiem zadań i obowiązków, a niezręcznie również wypalony zawodowo nauczyciel akademicki nie ma czasu i ochoty na rolę mistrza, naukowego przewodnika dla studenta. Nie znajduje motywacji na poświęcanie dodatkowego czasu nawet wybitnym jednostkom. A przecież nowoczesna, przyciągająca uczelnia musi uwzględniać to, że student jest podmiotem, a nie przedmiotem kształcenia, a nauczyciel akademicki mentorem rozwijającym samodzielność studiowania, pobudzającym pasję i ciekawość, promotorem modelu lifelong learning.

Wypada przytoczyć cięte określenie – Homo bureaucratitis – użyte ponad pół wieku temu przez kanadyjskiego biologa Farleya Mowata. Mowat sprzeciwiał się biurokratycznym blaźństwom w swoim kraju i wyjaśnił, że Homo bureaucratitis to „zwyrodniały produkt naszych czasów, który opatuliwszy się w kokon konwencji, po kretyńsku ożeniony z głupstwem, pogrążony w obskurantycznych obsesjach i babrzący się w błahostkach mimo wszystko uważa się za jedynego Prawego Posiadacza Prawdy Objawionej i co za tym idzie: za jedynego samowładnego arbitra”.

O konieczności poszerzenia wolności i ograniczenia biurokracji na uczelniach od lat wspominają kolejni szefowie resortu. Niestety nie widać rezultatów. Niedługo pożytywne zmiany deklarował Jarosław Gowin, a wtórował mu prof. Andrzej Bielaś, prezes PAU, który o uczelnianej biurokracji mówił: „Mamy do czynienia z koszmarną hydrą i to z taką, do której sami się dokładamy”.

Wbrew intencjom nie zahamowano zalewu uczelni przez nakazy, zakazy, rozporządzenia, regulaminy i wytyczne. A przecież obietnice, choćby ministra Gowina, były bardzo konkretne. „Te tony papieru, to będzie oszczędność nie tylko dla lasów, ale przede wszystkim dla być może najcenniejszego kapitału, jakim dysponuje Polska: tym kapitałem są umysły polskich uczonych. Trzeba ich odciążyć od zadań biurokratycznych, po to by mogli skoncentrować się na tym, co jest ich misją, czyli na kształceniu następnych pokoleń, formacji polskich przyszłych elit i uprawianiu nauki”. W 2016 r. minister zapowiadał, że „eksperci PKA mają być nie kontrolerami, tylko mentorami, którzy pomagają uczelniom podnosić poziom edukacji na jak najwyższy szczyt, aż do szczybla doskonałości”, a „radikalnemu odchudzeniu ulegną Krajowe Ramy Kwalifikacji, coś, co było do tej pory przekleństwem”.

W rzeczywistości polskie szkolnictwo wyższe jeszcze mocniej ugrzęzło w odmętach biurokracji. W niezliczonych uczelnianych zarządzeniach gubią się nawet prawnicy. Kadra akademicka zamiast pracować naukowo, doskonalić warsztat dydaktyczny, szlifować nowe studenckie talenty zderza się z mobbingiem proceduralnym. Skupia się na wypełnianiu tabel i sprawozdań, zmagają się z abstrakcyjną dla studentów listą faldelfijską czy indeksami cytowań, niezyciowymi, absurdalnymi zadaniami, wymogami i obowiązkami, rzekomo poprawiającymi jakość nauki i dydaktyki. W tym wszystkim ginie akademicka wolność, autonomia, różnorodność, kreatywność, inicjatywa i entuzjazm do nauki. Nie porwie młodych ludzi uniwersytet nieoparty na spełnionych, usatysfakcjonowanych pracownikach.

Ale czy tak musi być?

Kilka lat temu znajomy naukowiec otrzymał propozycję cyklu wykładów w jednym z topowych uniwersytetów w Europie Zachodniej. Szybko zawiązał w „kadrach” i odczłapał do wypełnienia obowiązkowej dokumentacji. Jakże było jego zaskoczenie, kiedy nowy szef arbitralnie stwierdził, że profesor i jego czas są zbyt cenne dla uniwersytetu, dlatego w pracy papierkowej otrzyma wsparcie uczelnianej administracji.

W Polsce machina akademickiej biurokracji dotyka również studentów: obowiązkowe papierowe podania, dziesiątki bezrefleksyjnych, sprzecznych i oderwanych od rzeczywistości wymogów, różne niezrozumiałe ograniczenia i formalne przeszkody. Zamiast z pasją studiować wybrane kierunki, dostają ofertę szkoleń: „rozumienie języka prawnego jako języka regulaminów i decyzji wydawanych na uczelni w sprawach indywidualnych”. Do tego wciąż pojawiające się kolejki do dziekanatów i uczelnianych biur, problemy ze zmianą grup zajęciowych, chaos w rozkładach zajęć, które rozpoczynają się nawet o siódmej rano, archaiczna forma wykładów (w nieuwzględniających percepcji słuchaczy dwugodzinnych blokach, a na studiach niestacjonarnych nawet dłuższych), fikcyjne zapisy o liczbie godzin „pracy własnej” studenta, nieakceptowalna kultura organizacyjna (na szczęście coraz rzadsza wśród kadry akademickiej) skutkują zniechęceniem do studiowania.

A wystarczy na bieżąco unowocześniać i upraszczać system obsługi toku studiów, wdrażać nowatorskie i wartościowe programy studiów, stosować efektywne rozwiązania

projaknościowe (wybieralność przedmiotów, elastyczny układ i blokowanie zajęć w semestrach, możliwość udziału w zajęciach na innych kierunkach i wydziałach, budowanie przez studenta własnej ścieżki programowej, odchudzenie przeladowanych programów), zamiast skupiać się na drugoplanowych środkach z zakresu nadzoru i kontroli administracyjnej. Priorytetem powinien stać się innowacyjny model dydaktyczny, czyli praktyczne zajęcia laboratoryjne i projektowe, które rozwijają wiedzę merytoryczną oraz umiejętność krytycznego myślenia, przygotowują do pracy zespołowej w grupach interdyscyplinarnych.

Prof. Arkadiusz Mężyk, niedawny rektor Politechniki Śląskiej i przewodniczący KRASP, podkreślił, że nowoczesne, atrakcyjne uczelnie muszą odejść od sztywnych, represyjnie rozliczanych programów studiów na rzecz jak największej elastyczności. Muszą zerwać z przestarzałą formułą prowadzenia zajęć i nie czekać na ogórne wytyczne, tylko inicjować konieczne zmiany. Student powinien mieć możliwość uzupełniania wybranego kierunku studiów o przedmioty zgodne z zainteresowaniami. To nic nowego, bo środowisko dobrze zna zachodni model z przedmiotami wybieralnymi, zresztą z powodzeniem stosowany na polskich renomowanych uczelniach niepublicznych. Jednak dla świętego spokoju większość szkół wyższych wciąż tkwi w archaicznych schematach.

Część uczelnianych ofert sprzyja drop outowi

Równoległe ze spadkiem zainteresowania studiowaniem pogłębia się zjawisko porzucania uczelni. Nie może dziwić, że Narodowe Centrum Badań i Rozwoju rozpoczęło we wrześniu br. nabór wniosków na konkurs „Efektywne zarządzanie uczelnią w celu minimalizowania zjawiska drop outu”. Celem jest wsparcie uczelni w niwelowaniu ryzyka przedwczesnego kończenia studiów. Ciekawe, ile państwowych szkół wyższych podejmie wyzwanie i zgłosi propozycje rozwiązań hamujących drop out?

A jakie są powody rezygnacji ze studiów? Te prozaiczne wynikają z faktu, że na uczelnie trafiają kandydaci nie w pełni świadomi, czego oczekują, niekiedy bez predyspozycji do studiowania danego kierunku oraz tacy, którzy nie powinni zostać studentami. Z kolei w grupie tych zdolnych pewna część w różnym czasie zniechęca się do studiowania z powodów merytorycznych, leżących po stronie uczelni (przestarzały program studiów, nieodpowiedni wykładowcy, zły rozkład zajęć, słaba infrastruktura obiektów dydaktycznych, akademików, brak wsparcia dla osób łączących studia z pracą itp.). Niekiedy życie zawodowe studentów rozmija się z wybranym kierunkiem studiów. A takim powodom można z powodzeniem przeciwdziałać. Niestety część uczelnianych ofert sprzyja drop outowi. To przede wszystkim kierunki tworzone na siłę, które od tradycyjnych różnią się wyłącznie „marketingową nazwą”. Pół biedy, jeśli studenci zniechęceni „nadmuchaną” ofertą spróbują sił na innym kierunku czy uczelni. Gorzej, jeśli trwale uprzedzą się do edukacji akademickiej.

Współczesne uczelnie stoją przed koniecznością kompleksowych, radykalnych zmian. Nie liftingu, pudrowania, ale reform planowych, przemysłanych, opartych na kompleksowej analizie zjawiska. Przede wszystkim muszą dotyczyć kierunków studiów, a jeszcze bardziej form kształcenia. Przegra każda uczelnia, która nie będzie nadążać, która ugrzęźnie w jałowych dyskusjach o jakości kształcenia. Stracą również te, które nie skorzystają z możliwości oferowanych przez sztuczną inteligencję i nie wdroszą studentów do efektywnego funkcjonowania w zmieniającym się świecie cyfrowym. Jest pewne, że pożądanymi modyfikacji dokonają rektorzy – liderzy, kreatywni, wytrwali, odważni w decyzjach, przekonani i rozumiejący sens ulepszeń. Miejmy nadzieję, że pomocne będą dekla-

racje ministerstwa o zwiększeniu autonomii i apolityczności uczelni.

Szukając skutecznego lekarstwa na spadek zainteresowania studiami, uczelnie muszą postawić na profesjonalne zespoły promocji i komunikacji, ale także wyspecjalizowane komórki, których zadaniem będzie analiza wyników rekrutacji, studentckiego drop outu, ekonomicznych losów absolwentów. Ważne jest, aby uczelnie umiały identyfikować zdolnych, ale nieusatysfakcjonowanych studentów i diagnozować przyczyny tego stanu. Należy weryfikować, co jest rezultatem niedopasowania studenta do wymogów uczelni, a co wypadkową lekceważenia oczekiwań młodzieży i pracodawców. Zespoły marketingowe nowoczesnych uniwersytetów muszą przewidywać zainteresowania kolejnych generacji oraz przyciągać maturzystów z predyspozycjami do studiowania danego kierunku.

Pozostaje jeszcze ustalić, ilu potrzebujemy absolwentów szkół wyższych, bo przecież mieliśmy ewidentną nadprodukcję. Ponadto, czy malejąca atrakcyjność uniwersytetów, a co za tym idzie topniejąca liczba kandydatów na studia niesie pozytyw? Zdecydowanie tak, bo jawi się szansa na odzyskanie przez studiowanie należnej, elitarnej rangi, a dydaktyka w mniejszych grupach zawsze podnosi jakość. Wraz z redukcją liczby studentów pojawi się szansa na odbudowanie tak ważnej, klasycznej dla uniwersytetów relacji uczeń-mistrz oraz wspólne, efektywne rozwiązywanie naukowych problemów, kształcenie interdyscyplinarne, szlifowanie indywidualnych uzdolnień i pożądaných umiejętności społecznych oraz pracy w zespole.

Pewna dobrze przygotowana merytorycznie rzesza maturzystów zawsze była i będzie zainteresowana studiowaniem, a nie przyspieszonym wejściem w dorosłość. Nie można też lekceważyć atrakcyjności różnych aspektów studiowania, powszechnie traktowanego jako wyjątkowy okres życia. Ta atrakcyjność wymaga zrozumienia roli profesjonalnych centrów kultury studenckiej, fabryk kreatywności dla kół naukowych, nowoczesnych zespołów biblioteczno-informacyjnych, obiektów sportowych, miejsc coworkingu, akademików o wysokim standardzie itp. Oczywiście niebagatelne znaczenie ma również dobrze prowadzona, „fleksybilna” wymiana międzynarodowa.

Uniwersytet nowoczesny, otwarty na nowe wyzwania i trendy na pewno zostanie doceniony przez klientów – studentów. Tak się już dzieje w przypadku studiów podyplomowych, kursów i szkoleń oferowanych przez większość uczelni. Kształcenie podyplomowe zyskało status elitarności i jest powodem do dumy, a jednocześnie potwierdza, że świadomość klientów uniwersytetów wzrasta dopiero po zdobyciu dyplomu licencjata, inżyniera czy magistra. Przyciąga kandydatów ambitnych, zmotywowanych dążeniem do perfekcji w swoich dziedzinach, rozwijaniem intelektualnych aspiracji, networkingiem. Uczestnicy podyplomówek również budują prawdziwą tożsamość akademicką i społeczną, co niegdyś było standardem na studiach inżynierskich i magisterskich. Studia MBA, EMBA i DBA stały się trendem światowym, pozwalają na dopasowanie do szybko zmieniających się wymagań rynkowych i przemian gospodarczych. Okazały się pożądanymi ścieżkami edukacji dla menedżerów i liderów, a DBA alternatywą dla tradycyjnych doktoratów w zarządzaniu. Choć w Polsce DBA jest wciąż niszowe, budzi zainteresowanie menedżerów oraz osób szukających zaawansowanej wiedzy akademickiej i biznesowej. Nic dziwnego, że uczelnie intensywnie rozwijają kompetencje do prowadzenia takich studiów podyplomowych, a niektóre sięgają po międzynarodowe akredytacje.

Prof. dr hab. Grzegorz Ostasz, historyk, kierownik Katedry Nauk Humanistycznych i Społecznych Politechniki Rzeszowskiej

Globalizacja a komunikacja w nauce

Dzięki sieciom internetowym naukowiec dociera do coraz nowych reprezentantów doktryny, do której sam należy – w ten sposób coraz bardziej przekonuje się o jej słuszności i zamyka na alternatywne koncepcje i pomysły. Grozi to degradacją nauki, która powinna bazować na zasadzie komplementaryzmu dynamicznego, tzn. na założeniu, że badacze uświadamiają alternatywne sposoby opisu tego samego zjawiska oraz dążą do wyjaśnienia mechanizmu, który leży u ich podstaw.

Mimo że nauka stanowi odrębny sektor w systemie kultury, wiele zasad i reguł interakcji społecznych ma charakter uniwersalny i obowiązuje w nauce, podobnie jak w polityce lub marketingu. Zwrócił na to uwagę w pierwszej połowie XX wieku niemiecki filozof Max Scheler, który pisał o nasilającym się partykularyzmie w naukach: społeczności naukowe mają skłonność do rozdrabniania się na poszczególne nurty, formacje, szkoły, prowadzone przez badaczy o najwyższym autorytecie, czyli zgodnie ze współczesną terminologią, liderów lub przywódców opinii. Scheler twierdził, że nie tylko w polityce, lecz także w nauce masy są uzależnione od przywódców, którzy narzucają innym swoje koncepcje i światopoglądy. Im mniej teoria jest precyzyjna, mniej racjonalna, mniej weryfikowalna, tym więcej – według Schelera – ma szans na zdobycie rzeszy zwolenników.

Scheler twierdził, że w nauce nie obowiązują żadne normy uniwersalne, dla każdej społeczności naukowej są one inne. Idea ta została rozwinięta przez Thomasa Kuhna, autora koncepcji rewolucji naukowych, który pisał o paradygmatach nauki jako zespołach przekonań i heurystyk badawczych odmiennych dla każdej społeczności naukowców dominującej w tej lub innej epoce. Podobną tezę stawia Paul Feyerabend, autor słynnego twierdzenia: „anything goes” („wszystko ujdzie”).

Dążenie do integracji i konformizm zespołowy bezpośrednio przekładają się na wartościowanie efektów działalności badaczy. Liczy się nie tylko, a w naukach metafizycznych nie tyle to, w jakim stopniu wyniki badawcze zawierają nowe infor-



macje o obiektach, istotnie poszerzają wiedzę o nich i przyczyniają się do zastosowań aplikacyjnych, ile to, w jakim stopniu publikacje nawiązują do teorii panującej w określonym czasie oraz w obrębie określonej formacji naukowej. Tak np. we współczesnych naukach społecznych i humanistycznych jest to kilka dominujących nurtów, wokół których grupują się poszczególni badacze: kulturalizm, pragmatyzm, kognitywizm, funkcjonalizm i in. Wobec tego publikacja w zakresie nauk społecznych i humanistycznych ma szansę na uznanie jedynie pod warunkiem, że nawiązuje do jednego z tych nurtów. Komunikacja zaś pomiędzy poszczególnymi formacjami praktycznie nie istnieje.

Globalizacja w nauce oznacza wyższy poziom kooperacji instytucji i osób w wymiarze międzynarodowym i niesie wiele korzyści, takich jak wymiana informacji na szeroką skalę, integracja badaczy, m.in. w ramach międzynarodowych zespołów o największym potencjale naukowym. Innymi słowy, globalizacja przyczynia się do lepszej jakości badań. W krajach OECD liczba publikacji przygotowanych we współautorstwie międzynarodowym w latach 2000-2020 wzrosła o ponad 80%.

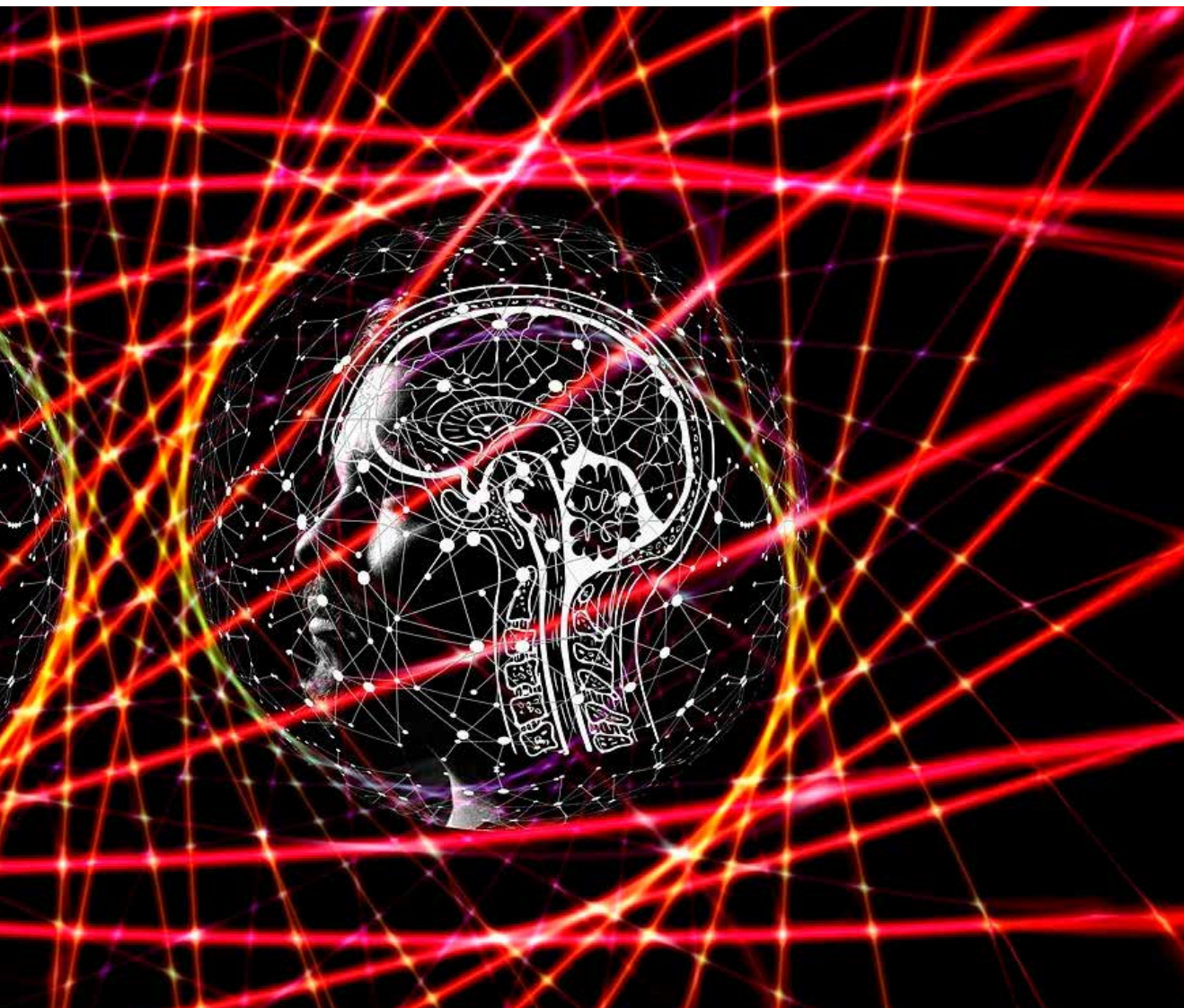
Międzynarodowy transfer wiedzy przede wszystkim jest dziś możliwy dzięki zastosowaniu narzędzi internetowych, rola internetu pod tym względem jest nie do przecenienia. Narzędzia internetowe istotnie przyspieszają i ułatwiają wszystkie etapy procesu badawczego, w tym te, które są związane z informacją: z jednej strony poszukiwanie informacji, z drugiej – jej

udostępnienie. Do tego służą wyspecjalizowane bazy naukowe, takie jak Scopus, Web of Science, EBSCO, ProQuest, CEJSH, Wiley, Science Direct i in., a także sieci społecznościowe dla naukowców, np. Academia.edu lub ResearchGate. Podobnie jak inne media społecznościowe, umożliwiają one bezpośrednią komunikację internetową w globalnym środowisku badaczy: downloading, uploading, tworzenie grup dyskusyjnych, organizowanie forów, polecanie i opiniowanie publikacji itd.

Badacz jest zależny od algorytmu właściciela strony

Komunikacja internetowa otwiera ogromne możliwości transferu wiedzy na skalę globalną, jednak badania wykazują, że możliwości te nie w pełni są wykorzystywane przez użytkowników. Każdy wynalazek nie tylko stymuluje nowe motywy, cele i formy ludzkich działań, lecz także oddziałuje zgodnie z oczekiwaniami społeczeństwa, a więc zostaje zintegrowany ze starym zespołem funkcji kulturowych, nie przewycięża starych nawyków jego użytkowników, w każdym razie nie dzieje się to natychmiast: młode wino wlane do starych bukłaków przecieka. Podobnie jest z internetem, który ułatwia komunikację wewnątrz poszczególnych grup, ale niekoniecznie komunikację pomiędzy grupami.

Choć globalizacja wiąże się z tym, że nowe technologie cyfrowe pozwalają na zniesienie wielu barier w zakresie dostępu do informacji, to jednak nie zawsze się bierze pod uwagę rolę mediatora, jakim jest właściciel wyszukiwarki internetowej. Z uwagi na ogrom



Zdjęcie: pizabay

informacji dokonuje on jej selekcji, choćby ze względu na konieczność wyświetlania okien i kart w określonej kolejności. Priorytetowym kryterium jest korzyść dla właściciela wyszukiwarki, dlatego pierwszeństwo mają informacje o charakterze komercyjnym. Tak np. jeśli w wyszukiwarce Google.pl napiszemy polecenie „Philosophy”, jako druga w kolejności pojawia się witryna produkującej kosmetyki amerykańskiej firmy o takiej właśnie nazwie. Z podobnym problemem borykają się naukowcy korzystający z internetowych baz publikacji naukowych. Zgodnie z poleceniem użytkownika na monitorze komputera wyświetla się większa lub mniejsza liczba publikacji, zwykle są to tysiące artykułów w czasopiśmie i monografiach zbiorowych. Jako przykład – odpowiedź bazy Wiley na polecenie „visual communication” (z 5 października 2024). Program wyświetla prawie 400 tys. tytułów, których nie jest w stanie przestudiować ani poszczególny badacz, ani nawet zespół badaczy, są oni skazani na selekcję tytułów, której najczęściej dokonuje się w sposób analogowy: w pierwszej kolejności otwiera się pliki z pierwszych stron. Tym samym badacz jest zależny od algorytmu właściciela strony, który ułożył tytuły w takiej lub innej kolejności.

Kolejnym problemem jest komunikacja niszowa. Giovanni Sartori pisze o współczesnej demokracji zachodniej, że cechuje ją pluralizm spolaryzowany, tzn. podział społeczeństwa na odseparowane od siebie wrogie obozy. W społeczeństwie tradycyjnym rozkład opinii w istotnych kwestiach przypominał krzywą Gaussa: występowało dużo niezdecydowanych i umiarkowanych poglądów, a mniej postaw skrajnych. W społeczeństwie spolaryzowanym rozkład opinii zaczyna przypominać literę „U”: w obrębie poszczególnych formacji społecznych dominują postawy skrajne. W dużym stopniu przyczynia się do tego internet. Zjawisko to zostało opisane m.in. w książce Cassa R. Sunsteina *#Republic: Divided Democracy in the Age of Social Media*. Autor ten pokazuje, że targetowanie informacji, czyli jej selekcja zgodnie z tematyką wiadomości, które określił użytkownik wcześniej wyszukiwał, niesie poważne zagrożenie: dostosowana do oczekiwań porcja informacji prowadzi do utrwalenia już wyznawanych poglądów, a także do ich radykalizacji. Tym samym internet wzmacnia mechanizmy „komór pogłosowych” (ang. echo chambers). Marta Juza pisze o rozbiściu zbiorowości internautów na szeregi odseparowanych od siebie nisz, czyli „baniak informacyjnych”, które nie tylko przestają się komunikować ze sobą, ale wręcz mogą nie wiedzieć wzajemnie o swoim istnieniu. Zamiast jednej agory publicznej mamy w tej sytuacji raczej do czynienia z setkami małych „placyków”, mających charakter zamkniętych społeczności obywateli jednomyślnych, nieangażujących się w komunikację z osobami i grupami, które reprezentują inne poglądy.

Wzrost skali zamykania się na inność

Komunikacja w środowisku jednomyślnych (ang. like-minded people) nasila się także w nauce. Dzięki sieciom internetowym naukowiec dociera do coraz nowych reprezentantów doktryny, do której sam należy, w ten sposób coraz bardziej przekonuje się o jej słuszności i zamyka się na alternatywne koncepcje i pomysły. Grozi to degradacją nauki, która powinna bazować na zasadzie komplementaryzmu dynamicznego, tzn. na założeniu, że badacze uświadamiają alternatywne sposoby opisu tego samego zjawiska oraz dążą do wyjaśnienia mechanizmu, który leży u ich podstaw.

Globalizacja oznacza coraz szerszą skalę kontaktów międzynarodowych, międzypersonalnych, ale skala integracji rośnie wewnątrz poszczególnych formacji społecznych, co dotyczy także społeczności naukowców. Powoduje to wzrost skali zamykania się na inność – na globalność w sensie światopoglądowym, na uniwersalizm i relatywizm poznawczy.

Komunikacja niszowa jest szczególnie charakterystyczna dla nauk społecznych i humanistycznych: zamknięte w rozbieżnych

paradygmatach formacje naukowe są skłonne dogmatyzować kulturowane przez siebie poglądy. Polski językoznawca Marcin Preyner ujął to w następujący sposób: „Teksty naukowe stanowią byty kulturowe, a nawet kultowe i ich prawdziwość w ogóle nie istnieje”.

W środowisku publicznym są przekazywane różnorodne informacje, w internecie pod tym względem praktycznie nie istnieje cenzura. Jednak istnieje mechanizm określany w teorii komunikacji jako agenda setting – jest to kształtowanie pewnego systemu poglądów, w którym jedne są dominujące, a drugie marginalne lub niewarte uwagi. Agenda publiczna jest częściowo kreowana przez media, ale częściowo też przez użytkowników internetu. Zauważono regułę: umasowieniu głównie ulegają poglądy najbardziej płytkie i radykalne. Pisze o tym Krzysztof Szymborski na łamach czasopisma „Wiedza i życie” (2023/4): „Internet, dzięki któremu powstały elektroniczne media społecznościowe, sprawił, że niezwykle opowieści zaczęły szerzyć się jak pożar stepu i nabierać coraz większego znaczenia społecznego, kulturowego i politycznego. Okazało się, że fałszywe informacje rozprzestrzeniają się dalej, szybciej, głębiej i szerzej niż prawdziwe. [...] Dlaczego tak się dzieje? Dla wielu ludzi szperających w zalewie informacji najważniejszą motywacją nie jest dotarcie do abstrakcyjnej prawdy, lecz zaspokojenie innych, bliższych sercu potrzeb. Wyjaśnienia prawdziwe bywają często niepełne, odwołują się do przypadku i nie tworzą spójnej całości. Mając wybór, wielu z nas woli usłyszeć opowieść, która ma «sens» – wyjaśniającą, kto jest „sprawcą” danego wydarzenia (kto za tym stoi?) i jaki jest jego cel”. Za przykład może posłużyć teoria metafor konceptualnych, zaproponowana w latach 80. XX wieku przez amerykańskich badaczy George’a Lakoffa i Marka Johnsona. W zasadzie była to pierwsza amerykańska próba teoretycznego ujęcia nominacji językowej, choć w Europie teoria nominacji istnieje od XIX wieku. Amerykanie wymyślili teorię metafor konceptualnych jako operacji w umyśle, na których bazują wyrażenia metaforyczne w języku. Tak np. za wyrażeniem „ceny rosną”, zgodnie z tą teorią, stoi metafora konceptualna CENY TO ROŚLINY, a wyrażenie „smutek rozdziera mi serce” jest oparte na metaforze konceptualnej EMOCJA TO ANTAGONISTA. Teoria ta nie została potwierdzona ani eksperymentalnie, ani poprzez badania kliniczne, ani w żaden inny sposób. Eksplicacje metafor konceptualnych mają charakter zupełnie spekulacyjny, mimo to łatwy sposób, w jaki można wyeksponować całe zespoły projekcji metaforycznych typu EMOCJA TO PŁYN W POJEMNIKU, spowodował, że na świecie powstała cała formacja lingwistów kognitywistów uprawiających tego rodzaju pseudonaukę. Liczba publikacji w tym zakresie, także w Polsce, idzie w tysiące, a głosy nielicznych krytyków są niesłyszalne. Wielu badaczy wycofuje się z dyskusji na ten temat ze względu na zamkniętość środowiska kognitywistów, zachodzi więc to, co w politologii jest określane jako spirala milczenia. Młody naukowiec, zamiast dociekać rzeczywistej natury wyrażen o treści niedosłownej, rutynowo generuje kolejne wykazy metafor pojęciowych, gdyż gwarantuje mu to publikację w czasopiśmie, otrzymanie grantu, zaproszenie na kongres kognitywistyczny, staż w ośrodku zagranicznym itd.

Dziś jest nam obcy podział nauk na siostry bogate i biedne, co występowało jeszcze w XIX wieku, jednak wciąż wiele jest do zrobienia w zakresie kooperacji między poszczególnymi formacjami w nauce, czyli w zakresie globalizacji, rozumianej jako uniwersalizm wiedzy.

Prof. dr hab. Aleksander Kiklewicz pracuje w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Warmińskiego-Mazurskiego w Olsztynie, jest dyrektorem Centrum Badań Europy Wschodniej

Zbigniew Drozdowicz

Akademiccy celebryci, celebranci i halabardnicy

W życiu akademickim role mogą być i są różnie rozpisywane. Jednym z możliwych scenariuszy jest ich rozpisanie na celebrytów, celebrantów i halabardników. Wymagają one jednak takich dopowiedzeń, które będą wyjaśniały specyfikę ich funkcjonowania. Spróbuję tutaj je podać. Powiem jedynie już na wstępie, że mogą one dobrze oddawać tę jego część, która czasami funkcjonuje w związku z nauką, a czasami żyje swoim własnym życiem.

Celebryci

Określenie to ma łaciński rodowód i przez wieki łączyło się z osobami zajmującymi wysokie stanowiska kościelne (z papieskimi włącznie) oraz świeckie (z królewskimi włącznie). Dziś celebrytami nazywa się tych, którzy są stosunkowo szeroko znani głównie za sprawą mediów, które kierują się nie tyle ich faktycznymi osiągnięciami, co zapotrzebowaniem odbiorców na twarze i wydarzenia, które się dobrze „sprzedają”. Akademickie życie nie jest jednak „samotną wyspą”, na którą nie przenikałyby elementy kultury medialnej. Co więcej, nie chciałoby ono nią być, bowiem mogłoby to oznaczać wypadnięcie ze społecznego obiegu, a nawet odcięcie od publicznych środków, które są mu niezbędne do trwania i rozwijania potencjału badawczego i edukacyjnego. Problem zaczyna się w momencie, gdy nie tylko otwiera się ono na te wpływy, ale także przejmuje przynajmniej niektóre zasady funkcjonowania kultury medialnej. Dobrze jest jeszcze, gdy tak kreowany akademicki celebryta może się wykazać nie tylko szerokimi zainteresowaniami, ale także osiągnięciami, które stanowią istotny wkład do nauki lub przynajmniej skłaniają do poważnych dyskusji. O takich celebrytach słyszałem, czytałem, a nawet niektórych spotkałem na swojej akademickiej drodze.

Na miano autentycznego celebryty zasługuje brytyjski uczony Stephen W. Hawking (zm. w 2018 r.). Zanim jednak nim się stał, uzyskał znaczące wyniki w fizyce teoretycznej (sformułował m.in. teorię wszechświata bez granic) oraz wykazał się dużym talentem w ich upowszechnianiu (opublikował m.in. kilka książek na ich temat, w tym Krótką historię czasu oraz Wszechświat w skorupce orzecha). Brał także udział w telewizyjnych widowiskach oraz w serialu animowanym Family Guy. Postępująca choroba neurodegeneracyjna sprawiła, że poruszał się na wózku inwalidzkim i w porozumiewaniu się z innymi coraz bardziej był uzależniony od syntezatora mowy. W ostatnich latach życia porozumiewał się za pomocą czujnika podczerwieni zamocowanego na oprawce okularów. Jego walka

o pozostawanie w publicznym obiegu dla niejednego z obserwatorów mogła mieć nawet większe znaczenie niż to, co osiągnął w fizyce teoretycznej.

Innego typu celebrytą jest, a przynajmniej jeszcze do niedawna był, słoweński filozof i kulturoznawca Slavoj Žižek. Szeroki rozgłos i miejsce na liście stu największych światowych „filozofów-celebrytów” (umieścił go na niej w 2012 r. magazyn „Foreign Policy”) zyskał nie tyle nawet swoimi licznymi publikacjami (jest autorem ponad 50 książek), co publicznymi wystąpieniami, w których z pozycji lewicowych krytykował zachodnią demokrację, i takimi deklaracjami jak ta, w której stwierdził, że „jedynie termin «komunizm» sygnalizuje krok ludzkości ku lepszej przyszłości”. W swoich publicznych wystąpieniach nie stronił od tzw. mocnych określeń. Wprawdzie nie pojawiły się one w jego wystąpieniu, które kilkanaście lat temu miało miejsce na moim ówczesnym wydziale, jednak mogłem się naocznie przekonać, jak potrafił przyciągnąć tłumy zainteresowanych jeśli nawet nie poglądami, to przynajmniej swoją osobą.

W tamtym czasie szerokie zainteresowanie wzbudzali również przedstawiciele tzw. postmodernizmu. Jednym z nich jest francuski filozof Jacques Derrida (zm. w 2004 r.). Na jego wykład wygłoszony w 1988 r. na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach „pielgrzymowali” ciekawscy z różnych ośrodków akademickich. Nie dołączyłem do tych „pielgrzymów”. Miałem jednak okazję wysłuchania jego wykładu otwarcia w 2002 r. na XXIXe Congrès International de l'ASPLF, zorganizowanym przez Uniwersytet w Nicei. Jeśli ktoś oczekiwał wykroczenia poza akademickie standardy, to zapewne był mocno rozczarowany. Powiedziałbym nawet, że był to klasyczny wykład uniwersytecki. W kularach Derrida również nie zachowywał się jak światowy celebryta. Wręcz przeciwnie, wyglądał nawet na osobę nieco przytłoczoną światową sławą. Stanowi on tylko jeden z przykładów potwierdzających tezę, że można być światowym celebrytą, ale jednocześnie nie być wielkim celebrantem swojej wielkości.

Celebranci

W przeszłości wielkim celebrytą i celebrantem był król Francji Ludwik XIV, nazywany Królem Słońce. Doprowadził on swoje dworskie celebrowanie do takiego poziomu, że trudno było innym monarchom go w tym prześcignąć (mimo to próbowali). Trzeba jednak dodać, że miał on również znaczące osiągnięcia w zarzą-

dzaniu krajem. Na uczelniach z mocy prawa rola głównego celebranta przypada rektorowi. Jak to wygląda w praktyce, mogli się przekonać m.in. ci, którzy brali udział w inauguracji roku akademickiego lub przynajmniej obserwowali te uroczystości w internecie. Szczególnie uroczysty charakter ma jej rozpoczęcie i zakończenie. Przy dźwiękach uniwersyteckiego hymnu na salę wchodzi



Foto: Sławomir Makal

senat i władze rektorskie. W tym gronie wyróżnia się główny rektor nie tylko swoim strojem, ale także insygniami swojej władzy, rektorskim łańcuchem i berłem. Dalsza część scenariusza jest wprawdzie nieco zróżnicowana w różnych uczelniach, jednak na co bardziej znaczących rok akademicki nie może się rozpocząć bez rektorskiego życzenia: „Quod bonum, felix, faustum, fortunatumque sit!” i trzykrotnego stuknięcia berłem. Mocno zróżnicowane są scenariusze ceremonii związanych z jubileuszami uczelni. W 2019 r. uroczystości obchodzono setną rocznicę założenia Uniwersytetu Poznańskiego. Obchody te zostały rozpisane na wiele dni, a ich kulminacją był przemarsz przez miasto z poznańskiej katedry do uniwersyteckiej auli władz rektorskich i członków senatów wszystkich uczelni, które się później wylouły z tego uniwersytetu. Brałem w nim bezpośredni udział (jako członek senatu) i muszę przyznać, że było nie tylko wzniosłe, ale także sympatycznie.

Problem z rektorskim celebrowaniem zaczyna się w momencie, gdy zostaje ono przedłużone na codzienne funkcjonowanie. W swoim akademickim życiu wprawdzie nie spotkałem wielu takich rektorskich celebrantów, jednak o tym, którego poznałem, mogę z pełnym przekonaniem powiedzieć, że był dla mnie sporym zawodowym utrapieniem, zwłaszcza wtedy, gdy pełniłem funkcję prodziekana i przypadło mi w udziale ubieganie się o zgodę na rozpoczęcie inwestycji budowlanej na moim kampusie. Było ono jednak niczym wobec trosk, jakie mieli studenci z dziekanem ds. studenckich, który po prostu z każdym przychodzącym do niego lubił sobie pogadać. Efekt był taki, że pod jego drzwiami zwykle stała długa kolejka interesantów, którzy mieli do załatwienia jakąś sprawę. Jego przeciwieństwem był prodziekan ds. studenckich, który przyjmował studentów jedynie w ściśle określonych godzinach, a ci, którzy się na nie „nie załapali”, błakali się po dziekanacie, szukając pomocy u głównego dziekana lub u personelu administracyjnego dziekanatu. Mimo wszystko ten pierwszy styl celebrowania władzy dziekańskiej stawiałbym wyżej niż drugi.

W życiu akademickim występują również celebranci, którzy mają jedynie swoje „pięć minut” na wielkie celebrowanie. Należą do nich m.in. osoby świętujące jubileusze lub pożegnania w związku z osiągnięciem wieku emerytalnego. Brałem udział w niejednym takim spotkaniu i w każdym przypadku scenariusz był podobny. Na honorowym miejscu znajdował się jubilat, a na mównicę pojawiali się celebranci prześcigający się w wygłaszaniu pochwał na jego temat. Dobrze jeszcze, jeśli to, co mówili, pozostawało w jakimś związku z jego faktycznymi osiągnięciami. W takich uroczystych chwilach nie chodzi jednak o to, aby powiełać powszechnie znane fakty, ale przede wszystkim o to, aby powiedzieć o jubilate coś takiego, co sprawi przyjemność jemu i jego najbliższemu współpracownikom. W tych „brutalnych” czasach, kiedy tak trudno jest ukryć braki w osiągnięciach badawczych, można jeszcze je „sztukować” osiągnięciami dydaktycznymi i organizacyjnymi, a gdy i tych brakuje, to cechami charakteru, które sprawiły, że miło było współpracować z jubilatem lub przynajmniej przypomnieć momenty, w których wykazał się nadzwyczajną życzliwością lub uprzejmością. Wymieniam tutaj jedynie kilka przykładów pochwalnych mów celebrantów. Ich inwencja jest jednak znacznie bogatsza. Jak na to reagują bierni uczestnicy celebry? W większości przypadków ze sporą wyrozumiałością, bowiem przecież na takim spotkaniu nie chodzi o sporządzenie jubilatowi rachunku sumienia, którego powinien się wstydzić. Zdarza się jednak, że niektórzy uczestnicy uroczystości (być może zde gustowani wystąpieniami pochlebców) wychodzą przed ich zakończeniem.

Halabardnicy

Typowa halabarda jest dwuręczną bronią składającą się z topora osadzonego na drzewcu o długości od 1,5 m do 1,8

m, zakończonego z drugiej strony hakiem, który służył halabardnikowi do ściągania jeźdźców z konia. Stosowana była od XIII wieku, a szczególną popularnością cieszyła się w wojskach szwajcarskich. Z nich utworzona została w 1505 r. przez papieża Juliusza II gwardia papieska, która miała go strzec przed licznymi wówczas zagrożeniami. Z tym strzeżeniem wprawdzie różnie bywało, jednak gwardia szwajcarska do dzisiaj paraduje z halabardami. Z halabardami rektorskimi paradują natomiast ci, którzy towarzyszą rektorom przy różnych uczelnianych uroczystościach, w tym inauguracji roku akademickiego. Być może nawet zostali przeszkoleni w zakresie udzielania rektorowi pierwszej pomocy. Nie jestem jednak przekonany co do tego, że byłaby to pomoc na „śmierć i życie”. Liczy się jednak przede wszystkim trzymanie w rękę halabardy i dotrwanie w powadze do końca uroczystości. Trochę żartuję. Ale tylko trochę, bowiem niejednokrotnie byłem uczestnikiem uczelnianych uroczystości, w których halabardnicy nie wyróżniali się posturą, a nie raz z ich twarzy można było wyczytać zdumienie i oczekiwanie na koniec mordęgi.

Sprawa jest znacznie poważniejsza, gdy określenie „halabardnicy” zastosuje się znacznie szerzej i odniesie do wszystkich, którzy mają bronić uniwersyteckich wartości i wielkości, ale ich nie bronią albo bronią takich, które mają mało wspólnego z akademickimi wartościami. W czasach PRL-u takimi „halabardnikami” byli na uczelniach obrońcy jedynie słusznej ideologii. Na uczelniach kościelnych są nimi ci, którzy na pierwszym miejscu stawiają religijne sumienie i myślenie. W tzw. wolnej Polsce wiele się na uczelniach zmieniło. Jednak nie zniknęli „halabardnicy” gotowi stanąć w obronie wartości i wielkości, które uznają za jedynie słuszne. Problem w tym, że często nie warto prowadzić o nie batalii. Szczególnie trudno jest to wytłumaczyć w sytuacji, gdy „halabardnik” dopiero co został „wyświęcony” na doktora z upodobaniem celebry swój sukces razem z rodziną. Pamiętam, jak po uzyskaniu przeze mnie doktoratu promotor ostrzegał mnie przed myśleniem, że „już złapałem Pana Boga za nogi”. Natomiast od moich bardziej doświadczonych kolegów słyszałem, że największy kłopot ze świeżo „wyświęconym” doktorem miewa jego współmałżonek, bo musi m.in. cierpliwie znosić jego wymądrzanie się, jakby był specjalistą od wszystkiego.

Odrębną grupę akademickich „halabardników” stanowią osoby, które wprawdzie nie wykazały się znaczącymi wynikami w nauce, ale mają mistrzów i nauczycieli, których podziwiają, i którym zawdzięczają funkcjonowanie na uczelni. Często spotykałem w akademickim życiu takich, którzy potrafili bronić ich wielkości nawet wówczas, gdy sami zainteresowani mogliby mieć coś przeciwko. Nie będę wymieniał nazwisk. Powiem jednak, że jeśli jeszcze dzisiaj ktoś mówi o tzw. poznańskiej szkole metodologicznej, to są to głównie osoby, które jej liderom sporo zawdzięczają, oraz osoby z nimi zaprzyjaźnione lub przynajmniej utrzymujące z nimi towarzyskie kontakty. Mimo wszystko stawiałbym ich wyżej niż tych, którzy na teatralnej scenie nie wygłaszają żadnej mowy, ale za to z dumą trzymają swoje halabardy. W akademickim życiu ta grupa jest zresztą również mocno zróżnicowana. Przykry może być widok tych, którzy obnoszą się ze swoimi profesorskimi tytułami i naukowymi dokonaniem z przeszłości, choć dzisiaj ich aktywność polega głównie na pojawianiu się na okazjonalnych uroczystościach i wygłaszaniu mów pochwalnych pod adresem osób, które niczym specjalnym się w nauce nie zapisali. Na drugim biegunie sytuują się ci, którzy ani tytułu nie posiadają, ani nie są proszeni o wygłoszenie mowy, a swoje miejsce na scenie zawdzięczają głównie temu, że opanowali do perfekcji sztukę przetrwania aż do emerytury. A czasem nawet dłużej.

Rozmowa z prof. Antonim Taraszkiewiczem,
architektem z Politechniki Gdańskiej

Nowy Bauhaus?

Największy problem budzi to, co nie jest łatwo definiowalne, czyli aspekt społeczny, a zwłaszcza możliwość włączania różnych grup społecznych do współdziałania.

W swoich badaniach nawiązuje pan m.in. do idei Nowego Europejskiego Bauhausu. Co jest jej istotą?

Jest to idea Komisji Europejskiej z 2020 roku, która ma w swoim założeniu m.in. szeroko pojętą ochronę środowiska. Ta idea jest wsparta na trzech podstawowych filarach, co – jak myślę – wzorowane jest trochę na triadzie witruwiańskiej. Witruwiusz mówił o użyteczności, trwałości i pięknie, a tutaj mamy rozwój zrównoważony, wspólnotę i piękno. Piękno jest zapożyczone bezpośrednio od Witruwiusza, ale myślę, że pozostałe idee także mają tu swoje odniesienie. Nowy Europejski Bauhaus nawiązuje również do Bauhausu Waltera Gropiusa, bierze pod uwagę rozwiązania projektowe, które koncentrują się na potrzebach człowieka, angażując społeczność do wspólnych działań na rzecz przestrzeni. Mam nadzieję, że idea NEB nie jest utopijna, natomiast na pewno jest konieczna z uwagi na obecne zniszczenie środowiska.

Czy Nowy Europejski Bauhaus jest tylko ogólnym założeniem, czy może wiąże się z nim szczegółowe przepisy, obligatoryjne dla architektów?

Oczywiście ta idea ma pewne uszczegółowienia, ale są one traktowane dosyć „międko”, dlatego że jednym z podstawowych założeń jest wspólnotowość, więc chodzi o to, żeby ten program był bardzo dobrze dostosowany do lokalnych społeczności. To nie jest jakiś schemat uniwersalny dla całego świata, tylko pewien kierunek, który może być wprowadzany różnymi ścieżkami odpowiednimi dla danego regionu, dla danej kultury. Założenia NEB nie są obligatoryjne, każdy kraj czy każda społeczność może je zrealizować w miarę swoich możliwości. Np. wiadomo, że Europa ma założony program neutralności klimatycznej do 2050 roku, co oczywiście nie jest możliwe dla krajów nisko rozwiniętych. NEB ma wspomagać Zielony Ład, który, jak wiemy z przekazów medialnych, nie zawsze się sprawdza: w rolnictwie mamy protesty biorące się z dbałości o dobro nasze tu i teraz, a nie z troski o przyszłe pokolenia – jestem w stanie to zrozumieć. Natomiast jest wiele przejawów aktywności ludzkiej, w których Zielony Ład i program NEB są niezbędne. Na przykład w takich gałęziach przemysłu jak budownictwo można wprowadzić wiele elementów tego programu, jak izolacyjność termiczna, recykling materiałów, biodegradowalność czy energooszczędność. To są dosyć jasno wyznaczone kierunki działań, które wiele krajów już realizuje i my również.

Przeprowadził pan ankietę na temat przyswajania idei NEB przez studentów. Jakie aspekty programu są przez nich rozumiane i doceniane, a które budzą wątpliwości?

Największy problem budzi to, co nie jest łatwo definiowalne, czyli aspekt społeczny, a zwłaszcza możliwość włączania różnych grup społecznych do współdziałania i walka z wykluczeniami społecznymi.

Zastanawiam się, na ile pewne zapisy NEB są realne, skoro w programie jest mowa o partycypacji różnych mniejszości – etnicznych, religijnych czy seksualnych – w projektowaniu. Czy nie należałoby raczej powierzyć projektowania fachowcom, którzy po prostu się na nim znają?

Ten aspekt jest najtrudniejszy i studenci najsłabiej go czują, podobnie zresztą jak architekci i zapewne jak twórcy tego programu. Natomiast sam kierunek jest słuszny. Myślę, że im wyżej rozwinięte, im bardziej wyedukowane społeczeństwo, tym bardziej partycypacja społeczna w tworzeniu architektury może mieć miejsce. Wiele oczywiście zależy od tego, na ile projektant ma bezpośredni kontakt z przyszłymi użytkownikami. Jeśli ten kontakt jest silny, partycypacja może być mocna, gdyż użytkownicy sygnalizują swoje potrzeby. Sytuacja jest trudniejsza, gdy projekt przeznaczony jest dla anonimowego odbiorcy. Oczywiście architekt jako osoba wykształcona, posiadająca odpowiednią wiedzę z różnych dziedzin może się domyślać, czego dana społeczność będzie sobie życzyć. Jeżeli projektant wie, że dany obiekt jest osadzony w konkretnym miejscu, konkretnym otoczeniu, w konkretnej społeczności i jeżeli istnieje tam pewien genius loci, to może próbować samemu wykreować wytyczne dla swych działań projektowych. Może on jednak również próbować bezpośrednio dotrzeć do użytkowników, co wydaje się dobrym wyzwaniem dla projektantów. Studenci jeszcze nie bardzo wiedzą, że można działać także w ten sposób, myślą, że wystarczy dostać zadanie projektowe i rzetelnie je wykonać. Owszem, to jest dużo, ale to jeszcze nie wszystko, można próbować jeszcze innych dróg.

A jak to było w przypadku pana najnowszego projektu – budynku Centrum Ekoinnowacji Politechniki Gdańskiej?

W tym przypadku sytuacja była znakomita, bo raz: miałem bezpośredni kontakt z użytkownikiem, dwa: znałem doskonale środowisko akademickie, bo pracuję na Politechnice Gdańskiej już 41 lat. Ponadto żyję już 67 lat w Gdańsku i dobrze znam to

miasto, jego społeczność, jego historię przedwojenną i powojenną, jego krajobraz i koloryt, więc było mi dużo łatwiej, ale taką właśnie wiedzę projektant powinien zdobywać po to, żeby zrealizować wydawałoby się utopijny cel, jakim jest włączanie społeczności lokalnej do projektowania. Oczywiście prowadziłem też konsultacje społeczne i bezpośrednio, i pośrednio – przy pomocy moich współpracowników, a także przy pomocy pracowników politechniki. Konsultowałem projekt z jego przyszłymi użytkownikami ale również, choć w znacznie mniejszym stopniu, ze społecznością akademicką całej uczelni oraz z mieszkańcami najbliższej okolicy. Jeśli mówimy o konsultacjach, studenci na etapie projektów semestralnych mają trochę większą trudność z ich realizacją. Staramy się jednak jako nauczyciele akademicy, aby projekty, zwłaszcza na wyższych semestrach, osadzać w jakiejś rzeczywistej lokalizacji, gdzie istnieje konkretne otoczenie, które ma swoją historię, społeczność, genius loci, więc gdyby studenci chcieli, mogą sami dokonywać tego rodzaju badań. W to wszystko musi się także wpisywać tak oczywisty aspekt jak dbałość o dostępność dla wszystkich, żeby architektura nie wykluczała nikogo.

Czyli kwestia braku barier architektonicznych.

Tak, to nie tylko dotyczy osób poruszających się na wózkach, ale również osób niedowidzących czy niewidzących, niedosłyszących czy niesłyszących; sporo jest tych elementów, które powinny być przez architektów uwzględniane, co nie zawsze się udaje. Projektowanie architektoniczne jest trudną dziedziną, trzeba znać się praktycznie na wszystkim. Architekt koordynuje wszystkie branże i musi wiedzieć, jak poszczególne elementy połączyć w sprawnie funkcjonujący organizm, co jest trudnym zadaniem. Natomiast i studenci, i architekci bez problemów rozumieją takie postulaty NEB jak energooszczędność, izolacyjność termiczna czy biodegradowalność.

Ale „równość dla wszystkich, dostępność i przystępność cenowa” to już chyba utopia?

To jest wielkie wyzwanie. Najlepiej jakby architektura była piękna, użyteczna, proekologiczna i jeszcze tania. Trudno to wszystko powiązać, aczkolwiek powinno się do tego dążyć. W Polsce mamy udane próby taniego budownictwa mieszkaniowego, szczególnie w nurcie TBS-owskim, ale oczywiście to nie jest aż tak tanie, jak powinno być. Trudna jest walka z materią ekonomiczną, trudno przeskoczyć ceny materiałów budowlanych i dlatego też NEB uderza w różne gałęzie gospodarki, w tym również w produkcję materiałów budowlanych, które mają być zdrowe, proekologiczne, biodegradowalne i jeszcze tanie. Gdy będą tanie, to oczywiście cena mieszkań będzie spadała. Nakłada się tu jeszcze cena siły roboczej – w wysokorozwiniętych krajach wysoka, w niskorozwiniętych niższa – ale z kolei te społeczeństwa są biedniejsze.

Czy budynek Centrum Ekoinnowacji jest przykładem przełożenia idei NEB na działania projektowe?

W kontekście projektu wymienione są trzy postulaty: „1) maksymalne wykorzystanie odnawialnych źródeł energii, 2) zmniejszenie zużycia wody, 3) wyposażenie budynku w inteligentne systemy sterowania”.

Centrum Ekoinnowacji to obiekt, w którym na szeroką skalę będą prowadzone badania np. nad ekologicznymi materiałami budowlanymi czy nowoczesnymi tkaninami biodegradowalnymi. Uznaliśmy wspólnie z użytkownikami, na zasadzie wspomnianej partycypacji, że budynek, w którym mają być prowadzone takie badania, musi spełniać określone kryteria, czyli być energooszczędny, wykorzystywać odnawialne źródła energii itp. Budynek w sposób nieco pokazowy, żeby studenci mogli



Antoni Taraszkiewicz

się z tym zapoznać, czerpie energię ze źródeł odnawialnych: na dachu są panele fotowoltaiczne i turbina wiatrowa, a ogrzewanie w dużym stopniu zapewniają tzw. geotermalne pompy ciepłe.

W jakim stopniu odnawialne źródła energii zapewniają funkcjonowanie?

Jak się zsumuje różne źródła, to myślę, że uzyskamy jakieś 40%, czyli pozostaje 60% energii tradycyjnej. Nie udało się zrobić tego inaczej, odnawialne źródła energii są jeszcze zbyt mało wydajne, zwłaszcza w naszym klimacie. Nie mówię o turbinie wiatrowej, bo ona ma dosyć dobre zasilanie.

Wiatr od morza...

Tak, chciałem, żeby studenci dobrze się zapoznali z tym, jak działają takie urządzenia, nie tylko umieszczone na dachu, ale również te, które przetwarzają i dostarczają energię. W sumie oszczędności są duże, a tym samym spada zużycie paliw kopalnych. Jeśli chodzi o ogrzewanie, to w pozostałej części korzystamy z sieci ciepłej, która tutaj, na kampusie, jest bezemisyjnym źródłem energii, choć oczywiście sama elektrociepłownia emituje zanieczyszczenia.

Czy w ogóle jest realne, aby funkcjonowanie budynków w 100% zapewniały odnawialne źródła energii?

Wszystko zależy od tempa rozwoju. W tym zakresie, jak zresztą w każdym innym, postęp jest oszołamiający. Spójrzmy chociażby, jak zmieniły się telefony. Fotowoltaika jest coraz bardziej wydajna, podobnie jak turbiny wiatrowe. Jest to wielka szansa dla krajów, które mają cieplejsze klimaty, więcej słońca, tam ogrzewanie nie jest konieczne, a czasami – jak w przypadku południowych krajów nadmorskich – dodatkowym atutem może być silny wiatr. Jeśli nie dojdzie do globalnej katastrofy, to ludzkość powinna osiągnąć samowystarczalność energetyczną w najbliższych 50 latach. Trzeba jednak wspomagać ten proces, więc kraje bardziej rozwinięte przekazują swoje technologie krajom uboższym i to nie tylko ze względów humanitarnych, bo także mają w tym swój interes.

Wracając do Centrum Ekoinnowacji: jakie rozwiązania sprzyją zmniejszeniu zużycia wody?

Przede wszystkim, co jest ważne i dosyć łatwe do zrobienia, pozyskujemy deszczówkę, magazynujemy ją w specjalnych zbiornikach jako tzw. wodę szarą, która nie nadaje się do picia, ale znakomicie nadaje się np. do podlewania zieleni i spłukiwania toalet. W tym przypadku nie niszczyliśmy więc wody pitnej. Oczywiście nie wszystkie toalety w budynku są tak zaprojektowane, gdyż deszczu nie ma aż tak dużo, żeby na bieżąco przez 365 dni w roku zapewnić odpowiednią ilość deszczówki. W związku z czym część toalet jest tradycyjna, a część działa w systemie próżniowym – tak jak w samolotach czy na statkach – pod ciśnieniem, z wykorzystaniem tylko minimalnej ilości wody szarej. Jeśli chodzi o gospodarkę wodną, to warto dopowiedzieć, że dach budynku w dużej części jest dachem zielonym, który retencjonuje wodę: nie zrzucamy jej do kanalizacji deszczowej tylko przytrzymujemy, ona sobie spokojnie odparowuje, czyli wraca do atmosfery.

A co kryje się pod hasłem „inteligentne systemy sterowania”?

To są komputerowe systemy zarządzania budynkiem BMS (Building Management System), które sterują między innymi zapotrzebowaniem na energię. Jeśli w budynku jest ciepło, to wyłączają ogrzewanie, jeśli jest chłodno włączają. Zarządzają także wentylacją, sterują dostępnością, czyli otwieraniem i zamykaniem drzwi oraz systemami przeciwpożarowymi. Gdy pojawi się zadymienie czy podwyższona temperatura, windy zjeżdżają na parter i wypuszczają ludzi, otwierają się odpowiednie drzwi ewakuacyjne a zamykają odpowiednie drzwi dymoszczelne.

Czy chciałby pan coś powiedzieć o formie budynku w kontekście miejsca, w którym powstał?

Nasz kampus jest kampusem historycznym, uważam, że jednym z piękniejszych w Polsce. Jest bardzo lubiany nie tylko przez społeczność akademicką, ale i tę zamieszkującą wokół. Do dziś korzystamy z budynków, które powstały w 1904 roku,

a ponieważ zostały dobrze zaprojektowane, więc nic nie straciły ze swojej użyteczności. Stary Kampus jest zbudowany w czystym stylu neorenesansu niderlandzkiego, bez eklektycznych zabrudzeń. Później powstały kolejne budynki, które też są już objęte ochroną konserwatorską. Projektantowi trudno się poruszać w tej przestrzeni bez szacunku dla jej wartości. Budynek Centrum Ekoinnowacji powstał wzdłuż wschodniej pierzei ul. Siedlickiej. Wcześniej, bo w 2015 roku, zrealizowałem tam budynek Centrum Nanotechnologii, który ma bardzo współczesną, minimalistyczną formę odwołującą się do dokońń neomodernizmu, ale poprzez skalę, kolorystykę elewacji oraz charakter użytych materiałów w dosyć czytelny sposób odnosi się do neorenesansu niderlandzkiego. Na elewacjach zastosowałem czerwony kamień, w kolorze niemal identyczny z cegłą klinkierową, z której zbudowany został kampus historyczny. Wykorzystałem też to, co w renesansie i neorenesansie jest cechą niezwykle charakterystyczną, mianowicie wąskie pasy białego piaskowca przecinające pola czerwieni. Jednakże nie zamierzałem tworzyć repliki zabudowy historycznej, tzw. nowych zabytków. Architektura Centrum Nanotechnologii ma mówić o czasach, w których powstała. Po pewnym czasie znów udało mi się wygrać konkurs na następny budynek w tej samej pierzei, czyli właśnie Centrum Ekoinnowacji. Miejsce było już bardziej oddalone od kampusu historycznego, znajdowało się w pobliżu nowej części kampusu, która powstała w latach 60. i ma inną, białą-szarą kolorystykę i inne rozwiązania – jest tam trochę modernizmu i trochę socrealizmu. Uznałem jednak, że nowa wschodnia pierzeja ulicy Siedlickiej musi być spójna, widać więc wyraźnie spójność budynków Eko- i Nano-, a także budynku Nano- ze starym kampusem, a budynku Eko- z budynkami nowego kampusu. W ten właśnie sposób starałem się wpisać architekturę w kontekst miejsca. W przypadku obu budynków starałem się, aby ich architektura była współczesna i żeby realizowała zasady witruwiańskie, a zarazem założenia Nowego Europejskiego Bauhausu. Jest to architektura, którą można odczuwać różnymi zmysłami, która zmienia swój obraz w zależności od pory dnia czy kąta padania promieni słonecznych, zwłaszcza w przypadku zdobiących elewacje minimalistycznych arkad. Dzięki przemyślanej iluminacji o zmierzchu także pojawia się gra światła i cienia. Na arkadach gra wiatr, co zostało specjalnie przemyślane, aby ta architektura działała także na zmysł słuchu.

W edukacji przyszłych architektów dowartościowuje pan także tradycyjne narzędzia pracy, jak makieta i rysunek koncepcyjny. Jaka jest ich wartość we współczesnym projektowaniu architektonicznym?

Tradycyjne narzędzia obecnie idą w odstawkę, co w moim przekonaniu jest bardzo złe. Najlepsi współcześni architekci rysują i budują makiety. Oczywiście posługują się także narzędziami komputerowymi, bo inaczej nie da się dziś pracować. Ale rysunek odręczny w pracy architekta jest bardzo ważny, więc my na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej uczymy studentów rysować. Zresztą już na początku, w czasie wstępnego testu predyspozycji do zawodu, wybieramy osoby,



Pierzeja wschodnia ul. Siedlickiej 1

które mają w tym zakresie określone uzdolnienia. To bardzo ważne, bo rysunek jest tym językiem, którym architekt porozumiewa się z innymi architektami, ale również z inwestorem i wykonawcami. Dlatego od wielu lat na Wydziale Architektury prowadzony jest przedmiot, który nazywa się rysunek architektoniczny.

Jaki jest jego zakres?

Jest to odrębny rysunek architektury, ale również np. zieleni i postaci, aby ukazać skalę człowieka w stosunku do tego, co się tworzy. Mamy także na naszym wydziale pracownie malarstwa, rysunku i rzeźby w Katedrze Sztuk Wizualnych oraz pracownie modelarskie.

Tworzenie makiet jest obowiązkowym elementem edukacji przyszłych architektów?

Tak, to są obowiązkowe zajęcia (w ramach projektów semestralnych), które są oceniane, a gdy ktoś ich nie zaliczy, nie może skończyć studiów. Obecnie mamy mnogość programów komputerowych i różnego rodzaju narzędzi 2D i 3D, które są tak łatwe i tak ponętne, że studenci gubią umiejętność i chęć posługiwania się narzędziami tradycyjnymi. Oczywiście narzędzia komputerowe trzeba znać, ale gdy patrzę na moich kolegów architektów, to wszyscy najpierw rysujemy odręcznie, a dopiero później przechodzimy na narzędzia komputerowe. Komputer ogranicza, szczególnie w relacji zespołowej, a przecież architekci przeważnie pracują zespołowo. Rysując odręcznie, łatwo i szybko można przekazać nawet dużemu zespołowi pewne emocje czy energię. W przypadku komputera jest to znacznie bardziej utrudnione. Rysunek odręczny jest bardzo ważny, zwłaszcza we wczesnych fazach projektowania. Czasami pierwsze szkice można tworzyć innymi narzędziami niż ołówek, np. pędzlem, ważne jest także tworzenie prostych modeli – makiet.

Czy także od studentów oczekuje pan, aby pierwszą koncepcję wyrazili rysunkiem, zanim przejdą do narzędzi komputerowych?

Na swoich zajęciach egzekwuję to. Studenci najpierw rysują odręcznie, dopiero później – ale niestety za szybko – przechodzą na narzędzia cyfrowe i często już nie wracają do rysunku odręcznego, co nie jest dobre. U nas nie ma obowiązku odręcznego rysowania prac dyplomowych, ale spotkałem się z takim



Centrum Ekoinnowacji. Arkady od strony południowej

wymogiem za granicą. Przez parę lat miałem przyjemność prowadzić obrony dyplomów w Strasburgu we Francji. Wszystkie prace dyplomowe w zakresie wizualizacji i perspektyw musiały być przygotowane odręcznie, tylko rzuty, przekroje czy elewacje mogły być rozrysowane przy użyciu komputera. Studenci robili też potężne i wspaniałe makiety. Może i u nas do tego dojdzie. Natomiast przyznam szczerze, że wizualizacje komputerowe są ogromnie efektowne, bardzo szczegółowe, hiperrealistyczne, ładująco przypominające zdjęcie fotograficzne. Oczywiście fachowym okiem można dostrzec pewne elementy, które wskazują, że to nie jest fotografia.

Zapewne takie wizualizacje robią duże wrażenie na klientach biur architektonicznych.

Tak, choć to narzędzie pozwala trochę oszukiwać, ale rysunek odręczny też może oszukiwać. Są tacy architekci, którzy pięknie rysują, a nie potrafią później przełożyć tego na dobry projekt.

Jak pan – przez pryzmat własnych doświadczeń – postrzega zawód architekta?

Jest to piękny zawód. Gdybym miał się jeszcze raz urodzić, a miałbym świadomość taką, jak mam dzisiaj, to na pewno bym ten zawód wybrał. To jest zawód niezmiernie trudny, bardzo wymagający, w jakimś stopniu nawet wypalający, ale dający ogromną satysfakcję związaną także z tym, że architekt jest po części artystą, humanistą i inżynierem. Nie tylko tworzy dzieła, w których może w jakiś sposób wyrazić siebie, ale tworzy dla innych ludzi coś, z czego mogą korzystać, co może ułatwiać im życie, pracę i – co ważne – odpoczynek, a zarazem przysparzać im przyjemności obcowania z pięknem.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

Fotografie architektury: Antoni Taraszkiewicz



Centrum Nanotechnologii

Na skróty

Generalnie skróty należy wyjaśniać. Szereg razy słyszałem już, że „ten skrót jest oczywisty dla specjalistów”, po czym okazywało się, że niekoniecznie tak jest. Być może nie świadczy to dobrze o niektórych czytelnikach publikacji naukowych, ale priorytetem jest jednak zrozumiałość, a nie respektowanie przekonañ autorów. Dlatego wiele czasopism i wydawnictw zakłada wyjaśnianie skrótów, a lista tych, przy których nie trzeba tego robić, jest dość krótka (np. DNA, HIV, ONZ, PKP).

Poprawki dotyczące skrótów w tekście stanowią osobną grupę zmian wprowadzanych przez redaktorów w tekstach naukowych; zwłaszcza w obszerniejszych i/lub wieloautorskich tekstach trudno tu o jasne zasady i konsekwencję, a redaktor musi właśnie tego pilnować. Aby zdefiniować używane w tym tekście pojęcia, należy wskazać, że ‘skrót’ to określenie ogólne obejmujące wszystkie elementy tekstu tego rodzaju, niezależnie od ich typu, a ‘skrótowiec’ lub ‘akronim’ to skrócenie wyrażenia składającego się z dwóch lub więcej słów, niezależnie od sposobu, w jaki zostały skrócone. Sposobów takich jest kilka, w artykule będzie mowa o literowcach (skrótowce literowe składają się z pierwszych liter wyrazów skracanego wyrażenia, z których każda wymawiana jest osobno, jak np. PKP), głoskowcach (również składają się z pierwszych liter skracanego wyrażenia, jednak wymawianych jakby były jednym słowem, np. HIV) i grupowcach (składają się z grupy głosek – najczęściej pierwszych sylab – którymi rozpoczynają się słowa skracanego wyrażenia, i także są wymawiane jak jedno słowo, jak np. Pafawag).

W stosowaniu skrótów kluczowa jest konsekwencja: skrót należy wprowadzić przy pierwszym zastosowaniu danej nazwy lub pojęcia i od tego momentu zawsze go stosować, gdy dana nazwa lub pojęcie pojawiają się po raz kolejny. W niektórych publikacjach stosuje się osobny spis skrótów, ale ma on sens, gdy jest ich tylko kilka i czytelnik może je zapamiętać przed lekturą; w innym wypadku taki spis może być dodatkiem do tekstu, ale zagłębienie do niego za każdym razem przy wielu skrótach jest męczące, gdyż przerywa tok lektury. Stosowanie naprzemiennie skrótów i jego rozwinięcia może sprawiać wrażenie urozmaicenia, ale jest dezorientujące dla czytelnika, o ile nie chodzi o nazwę i skrót powszechnie znane, przynajmniej w danej dziedzinie; wówczas o konieczności zachowania konsekwencji lub nie decyduje albo konwencja edytorska w danym czasopiśmie lub wydawnictwie, albo redaktor (sam lub wspólnie z autorem). Od tej zasady jest jeden ważny wyjątek – w wielu językach (w tym w angielskim) od skrótów (żadnego typu) nie należy zaczynać zdania, chyba że jego rozwinięcie jest bardzo długie albo nie ma możliwości przeformułowania zdania bez uczynienia go sztucznym lub mniej zrozumiałym.

Generalnie skróty należy wyjaśniać. Szereg razy słyszałem już, że „ten skrót jest oczywisty dla specjalistów”, po czym oka-

zywało się, że niekoniecznie tak jest. Być może nie świadczy to dobrze o niektórych czytelnikach publikacji naukowych, ale priorytetem jest jednak zrozumiałość, a nie respektowanie przekonañ autorów. Dlatego wiele czasopism i wydawnictw zakłada wyjaśnianie skrótów, a lista tych, przy których nie trzeba tego robić, jest dość krótka (np. DNA, HIV, ONZ, PKP). Konwencja edytorska może też obejmować konieczność posługiwania się pełnymi wersjami lub skrótami zwrotów często używanych w tekście: po polsku np. m.in., tj. czy ok., a po angielsku e.g. (exempli gratia – na przykład), i.e. (id est – to jest) czy i.a. (inter alia – między innymi).

Hybryda nie będzie poprawna w żadnym języku

Częstym błędem jest posługiwanie się w tekstach w jednym języku skrótami utworzonymi od słów i nazw w innym języku, ale bez wyjaśnienia, co oznaczają. Rzeczywiście jest wiele zwłaszcza skrótowców, które w wielu językach wyglądają tak samo, nawet jeśli są różnie wymawiane, ale są to np. nazwy powszechnie znanych instytucji i organizacji międzynarodowych. I tak Organizacja Narodów Zjednoczonych ma polski skrót ONZ (pisanie w tekście po polsku UN jest błędem), ale już WHO ma pełną polską nazwę (Światowa Organizacja Zdrowia), ale nie skrót; podobnie jest np. z FBI, CIA czy FIFA. W niektórych przypadkach podejmowano próby wprowadzenia polskiego skrótów, ale zakończyły się one niepowodzeniem. Lansowany w niektórych polskojęzycznych publikacjach skrótowiec SZA nie przyjął się i mówimy Stany Zjednoczone, ale skracamy tę nazwę jako USA (wymawiamy jednak ten skrótowiec „u-es-a”, a nie „juesej”). Jeśli jednak dany skrót jest charakterystyczny tylko dla jednego języka, mechaniczne przeniesienie go do innego może być albo przeoczeniem, albo wynikać z założenia, że dany tekst (np. artykuł naukowy) będą czytać i tak osoby z tego samego kraju, z którego pochodzą autorzy. Obie przyczyny mają jednak taki sam skutek – błąd, gdyż tak użyte skróty są w tekście obcym wtrętem.

Przykładem sytuacji pierwszego typu jest zastosowanie w anglojęzycznym artykule skrótów akronimu RPA na oznaczenie Republiki Południowej Afryki. Jeśli już musimy posłużyć się skrótem, to w tym języku będzie on brzmiał SA, gdyż po angielsku w skróconej nazwie tego kraju nie ma słowa „republika”, ojczysta Nelsona Mandeli to po prostu South Africa.

Warto też jednak wziąć pod uwagę, że w różnych językach przyjęte może być stosowanie w przypadku danej nazwy lub innego wyrażenia albo skrótu, albo jego rozwinięcia. Po angielsku mówi się i pisze raczej USA, a akronim ten rozwija tylko w bardzo oficjalnych kontekstach (po polsku często natomiast pada nazwa „Stany Zjednoczone”), natomiast Brytyjczyk czy Amerykanin powie raczej „South Africa” niż „es-ej” (warto też wskazać, że po polsku zarówno Południowa Afryka, jak i Afryka Południowa to nazwy części kontynentu, a nie kraju).

Sytuacje typu drugiego dotyczą najczęściej skrótów nazw organizacji i instytucji czy pojęć znanych tylko w jed-

nym języku lub w jednym kraju. Nawet jeśli zakładamy, że również w języku obcym czytać nas będą głównie rodacy, musimy posługiwać się wzorcową odmianą języka, w którym piszemy, bez żadnych koncesji, inaczej powstaje hybryda, która nie będzie poprawna w żadnym języku. Gdy zatem np. w tekście po angielsku używamy skrótu NFZ – zrozumią go dla prawie każdego dorosłego Polaka – musimy wyjaśnić przy pierwszym jego pojawieniu się, że jest to akronim od nazwy polskiej oraz podać oficjalny angielski odpowiednik pełnej wersji tej nazwy, tj. National Health Fund. Można też wprowadzić wówczas skrót właśnie od tej angielskiej nazwy (tj. NHF) i nim się posługiwać, ale trzeba



wcześniej wskazać, że w Polsce używany jest akronim NFZ, gdyż w tym konkretnym przypadku wersja NHF jest bardzo rzadko spotykana. W tekstach anglojęzycznych pojawiają się skróty nazw instytucji pochodzące np. z języka francuskiego (choćby CERN, czyli *Conseil européen pour la recherche nucléaire*, tj. Europejska Organizacja Badań Jądrowych) lub rosyjskiego (KGB – Комитет государственной безопасности, tj. Komitet Bezpieczeństwa Państwowego), ale są one albo powszechnie znane także poza tym językiem, albo wyjaśniane w tekście. Ta druga nazwa to szczególnie dobry przykład, o ile bowiem nazwy agencji wywiadowczych i kontrwywiadowczych amerykańskich (FBI, CIA) czy radzieckich/rosyjskich (KGB, GRU, FSB) są znane na świecie, o tyle instytucje z innych krajów (np. niemiecki BfV, tj. Urząd Ochrony Konstytucji, czy francuska DGSE, tj. Generalna Dyrekcja Bezpieczeństwa Zewnętrzne), nie są już tak rozpoznawalne i lepiej stosować oryginalny skrót, a pełną nazwę podawać w tłumaczeniu.

Wyjaśniać, co przez co rozumiemy

Warto mieć przy okazji świadomość, że nieprzemysłane stosowanie skrótów z jednego języka w innym języku może też prowadzić do nieporozumień, gdyż te same akronimy mogą mieć w różnych językach różne znaczenie. W latyno- amerykańskich mediach często można napotkać na skrót EU, który nie oznacza jednak anglojęzycznej nazwy Unii Europejskiej (European Union), a USA – po hiszpańsku *Estados Unidos* (używany jest też akronim *EUA – Estados Unidos de America*). Unia Europejska ma zaś w tym języku taki sam skrót, jak po polsku, czyli UE (*Unión Europea*). W niektórych językach redaktorzy świadomie unikali w przeszłości lub unikają do dziś skracania pewnych nazw, aby ten sam skrót nie oznaczał dwóch różnych nazw lub pojęć w tym samym obszarze wiedzy. Dotyczy to np. nazw państw. Do 1961 RPA nosiła nazwę Związku Południowej Afryki. Po polsku nazwa ta była skracana – ZPA – ale po angielsku rzadko, gdyż skrót brzmiał USA (*Union of South Africa*). Po angielsku ZSRR nazywał się *USSR (Union of Soviet Socialist Republics)*, ale stosowano też akronim od skróconej nazwy *Soviet Union* (np. naklejki na samochodach zawierały dwie litery – SU); natomiast po francusku funkcjonowała skrócona nazwa (*Union soviétique*), ale skracano zawsze od nazwy pełnej (*URSS, tj. Union des républiques socialistes soviétiques*), gdyż skrót od wersji skróconej brzmiałby *US* (a sami Amerykanie często piszą *US* zamiast *USA*, zwłaszcza jeśli akronim stanowi część dłuższej nazwy). Po francusku Stany Zjednoczone to *États-Unis*, ale stosowany jest skrót angielski *USA* także dlatego, że akronim od nazwy francuskiej brzmiał *EU* (czyli tak jak Unia Europejska po angielsku). Może się też oczywiście zdarzyć, że identyczność skrótów jest zamierzona, jak w przypadku WTO – akronim ten oznacza zarówno Światową Organizację Handlu (*World Trade Organization*), jak i Światową Organizację Toaletową (*World Toilet Organization*).

Czasem dobrym pomysłem w publikacji po polsku może być podawanie (w tekście głównym lub przypisach) także skrótów angielskiego, jeśli w danej dziedzinie wiele źródeł i tak jest po angielsku i w rezultacie wielu specjalistów, szczególnie młodszych, może być bardziej obeznanych z wersją anglojęzyczną. Widać to np. w książkach i artykułach medycznych, gdzie skrótowi *POChP* (przewlekła obturacyjna choroba płuc) często towarzyszy *COPD* (chronic obstructive pulmonary disease), a nazwie „przewlekła choroba nerek” akronim *CKD* (*chronic kidney disease*; polski skrót *PChN* jest dość rzadko spotykany). General-

nie lepiej zakładać, że czytelnik: 1) może nie znać danego skrótu; 2) może znać sam skrót, ale nie pełną nazwę; 3) może znać tylko anglojęzyczny skrót – i po prostu wyjaśniać, co przez co rozumiemy przy pierwszym zastosowaniu danego pojęcia.

Skróty niezamierzenie zabawne

Nadmiarem kreatywności można zaś określić wprowadzanie skrótów od nazw organizacji czy pojęć, gdy taki skrót już jest; po prostu nie musi on być literowcem. Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej ma po polsku (i w szeregu innych języków) skrót literowy (RWPG), ale po angielsku używana jest nazwa *COMECON* (od *Council for Mutual Economic Assistance*); ponieważ nie jest ona skrótami o jasnej konstrukcji (końcówce *-CON* nie stanowi skrócenia słowa *Assistance*) zapisywana jest często tak, jakby sama była nazwą własną (tj. *Comecon*). W anglojęzycznym piśmiennictwie naukowym i popularnonaukowym można też spotkać literowiec *CMEA*, ale wyraźnie rzadziej. Oficjalne angielskie nazwy niektórych instytucji mogą nie być też wiernym tłumaczeniem tych oryginalnych i tworzenie skrótów od anglojęzycznej nazwy może być niecelowe, np. Główny Urząd Statystyczny (*GUS*) to po angielsku *Statistics Poland*, a akronim *SP* w wielu językach i tak jest wieloznaczny.

Uważać należy natomiast z wprowadzaniem zbyt wielu skrótów własnego pomysłu, można wówczas nieświadomie albo powielić inny znany już skrót (np. od terminu stosowanego w różnych dziedzinach wiedzy), albo stworzyć akronim budzący humorystyczne lub inne niepożądane skojarzenia w poważnym tekście naukowym. Bywają nawet autorzy, którzy potrafią użyć danego skrótu w jednej publikacji w dwóch znaczeniach i nie zauważyć tego. Lepiej np. nie powielać w tekstach anglojęzycznych akronimów terminów statystycznych, gdyż narzędzia statystyczne stosowane są praktycznie w całej nauce. Skróty takie jak *SD* (*standard deviation*, tj. odchylenie standardowe), *CI* (*confidence interval*, tj. przedział ufności), *SEM* (*standard error of the mean*, tj. standardowy błąd średniej) czy *IQR* (*interquartile range*, tj. rozstęp kwartyłowy) można uznać za „zajęte” i nie skracać do takiej postaci innych pojęć w naszym tekście, ewentualnie wymyślić skrót będący nie literowcem, a np. grupowcem. W medycynie dotyczy to też akronimów takich jak *OD* (*optical density*), *MRI* (*magnetic resonance imaging*) czy *CT* (*computed tomography*).

Jeśli chodzi o skróty niezamierzenie zabawne, pamiętam autora, dla którego angielski nie był językiem ojczystym (i znał go najwyraźniej tylko w odmianie naukowej), który opracował kwestionariusz o nazwie skracanej jako *BOOZE* (ang. gorzala). Wspomniane narzędzie badawcze nie służyło do badań nad alkoholizmem czy spożywaniem alkoholu, a autor nie chciał wzbudzać takich skojarzeń – poinformowany o problemie, zmienił nazwę kwestionariusza. Rzecz jasna takich sytuacji nie da się do końca uniknąć, gdyż w jakimś języku dany skrót i tak może znaczyć coś zabawnego, np. norweski koncern naftowo-gazowy nazywa się *DNO* (*Det norske oljeselskap*), co po polsku jest o tyle trafne, że wydobywa on te surowce przede wszystkim spod dna morskiego.

Skróty w tekście naukowym mogą uczynić go zwęższym i sprawić, że komunikacja będzie bardziej wydajna (więcej informacji w mniejszej liczbie znaków), trzeba jednak umieć się nimi posłużyć, aby przekaz pozostał także jednoznaczny (najważniejsza jest w tym kontekście konsekwencja). Jeśli miałyby one dodawać do publikacji kolejny poziom egzegezy zamiast upraszczać rozumienie, oznacza to, że stosowane są niewłaściwie.

Hanna Górska-Warsewicz

Złożona natura marek korporacyjnych

Oznaczenie produktów rozpoznawalnymi znakami znane jest od stuleci. Markę początkowo traktowano jako identyfikację wytwórcy i gwarancję jakości. Obecnie jest ona jednym z najważniejszych zasobów korporacyjnych i narzędziem kształtowania relacji z konsumentami, klientami i innymi interesariuszami.

Wzrastająca liczba dóbr i usług oferowanych na rynku, ich wariantów i modeli, determinuje konieczność właściwego kreowania marek. Amerykańskie Stowarzyszenie Marketingu zdefiniowało markę jako każdą charakterystyczną cechę, taką jak nazwa, termin, symbol lub wzór stosowaną w dwóch celach. Po pierwsze, ważna jest identyfikacja wytwórcy danego dobra lub usługi. Drugim celem uczyniono wyróżnienie konkretnego dobra lub usługi spośród coraz szerszej oferty rynkowej.

Inne definicje marki są bardziej rozbudowane, a marka określana jest przez kombinację składników różnej natury, włączając elementy niematerialne. Jako konsumenci jesteśmy otoczeni logotypami, znakami i symbolami. Stajemy się lojalni wobec marek, kupując kolejne wersje lub modele produktów oznaczonych znanymi logotypami. W tym aspekcie marka stanowi gwarancję jakości. Pozwala uprościć proces podejmowania decyzji zakupowych. Jednocześnie odzwierciedla obietnicę otrzymania określonego zestawu korzyści, właściwości oraz cech użytkowych i symbolicznych. Wyobrażenie o tych korzyściach, właściwościach i cechach staje się naszym motywem zakupu.

Ostatnie trzy dekady przyniosły różnicowanie się marek co do ich rodzajów. Początkowo wskazywano na marki produktów i marki korporacyjne, później dołączono formy pośrednie. W kolejnych latach takie trójelementowe układy w korporacjach międzynarodowych ustąpiły miejsca bardziej zaawansowanemu nazewnictwu dla nowo wprowadzanych produktów.

Jednocześnie funkcjonowanie współczesnych przedsiębiorstw cechuje wzrost niepewności i złożoności uwarunkowań wewnętrznych i zewnętrznych. Sprzyja to wprowadzaniu nowych form współdziałania przedsiębiorstw, form wykraczających poza tradycyjne układy współpracy. Przykładem mogą być organizacje sieciowe funkcjonujące w oparciu o powiązania kapitałowe i partnerskie. Szczególnego znaczenia w tym kontekście nabierają marki korporacyjne obecne w rozbudowanych układach hybrydowych przedsiębiorstw międzynarodowych.

Marka korporacyjna – istota i znaczenie

Opisane powyżej zjawiska spowodowały przesunięcie zainteresowania od marek produktów do marek korporacyjnych, co

obserwowano od połowy lat 90. XX wieku. Zwracano uwagę na korporacyjny branding, rozumiany jako holistyczny proces kreowania marek.

Obecnie marki korporacyjne definiowane są w ujęciu węższym i szerszym. Ujęcie węższe wskazuje na nazwę reprezentującą przedsiębiorstwo, identyfikowaną przez logotyp, slogan i pojawiającą się w komunikacji z otoczeniem. Ujęcie szersze odnosi się do traktowania marki korporacyjnej jako cennego zasobu przedsiębiorstwa uosabiającego strategię i kulturę korporacyjną oraz jego reputację i pozycję rynkową. Oznacza to, że marka korporacyjna nie jest tylko nazwą przedsiębiorstwa używaną oferowanym produktom. Odzwierciedla szereg decyzji i działań podejmowanych w procesie zarządzania.

W tym kontekście warto zacytować badaczy Russella Abratta i Nicolę Kleyn. W artykule *Corporate identity, corporate branding and corporate reputations: Reconciliation and integration*, opublikowanym w 2012 roku w czasopiśmie „European Journal of Marketing”, wskazali oni na konieczność integracji strategicznych wyborów i korporacyjnej ekspresji dla właściwego kształtowania wizerunku marki korporacyjnej. Wybory strategiczne oznaczają misję, wizję, wartości przedsiębiorstwa i realizowane strategie. Natomiast korporacyjna ekspresja jest związana z komunikacją oraz identyfikacją wizualną przedsiębiorstwa. Według autorów, strategiczne wybory i korporacyjna ekspresja stanowią elementy składowe tożsamości organizacyjnej. To pojęcie odzwierciedla istotę funkcjonowania przedsiębiorstwa, jego podstawowe założenia, wyróżniające cechy i wartości. Stuart Roper i Chris Fill w książce *Corporate Reputation. Brand and Communication*, wydanej w 2012 roku, przyjęli, że tożsamość organizacyjna jest konfiguracją trzech elementów: symboliki obecnej w każdym przedsiębiorstwie, planowanych i nieplanowanych komunikatów oraz zachowań kierownictwa i pracowników. Oznacza to, że każde przedsiębiorstwo i każda korporacja międzynarodowa kształtuje swoją tożsamość, zmierzając do odpowiedzi na podstawowe pytania: Kim/czym jesteśmy? Po co istniejemy? W tym kontekście kreowanie marki korporacyjnej sięga do istoty przedsiębiorstwa, a ona sama staje się odbiciem

przyjętych założeń egzystencjalnych. Mówimy wówczas o tożsamości marki korporacyjnej.

Jednocześnie tożsamość organizacyjna uosabiana przez markę korporacyjną generuje sposób postrzegania danego przedsiębiorstwa, określane mianem wizerunku korporacyjnego lub organizacyjnego. Jest on wynikiem przyjętego sposobu prowadzenia komunikacji z otoczeniem. Przedsiębiorstwo i jego działania podlegają również ocenie, wpływając na jego reputację. Te zależności uporządkowali Edmund R. Gray i John M.T. Balmer w artykule *Managing Corporate Image and Corporate Reputation*, opublikowanym w 1998 roku w czasopiśmie „Long Range Planning”. Przyjęli oni następującą sekwencję zależności: tożsamość organizacyjna → komunikacja korporacyjna → wizerunek i reputacja organizacyjna → przewaga konkurencyjna.

Oznacza to, że tożsamość organizacyjna przez komunikację korporacyjną kształtuje wizerunek organizacyjny i wpływa na reputację danego przedsiębiorstwa. W przypadku pozytywnego wizerunku organizacyjnego i satysfakcjonującej, wysokiej reputacji przedsiębiorstwo zyskuje przewagę na rynku. Przez analogię do powyższej sekwencji można przyjąć następującą zależność dla marek korporacyjnych:

tożsamość marki korporacyjnej → komunikacja korporacyjna → wizerunek i reputacja marki korporacyjnej → przewaga konkurencyjna bazująca na znanej i pozytywnie ocenianej marce korporacyjnej.

Kapitał marki korporacyjnej

Równoległe do badań nad kształtowaniem marek korporacyjnych, szukano odpowiedzi na pytanie: dlaczego niektóre marki są wybierane częściej pomimo korzystniejszych ofert konkurencyjnych? Prowadzone rozważania teoretyczne i badania empiryczne pozwoliły na zidentyfikowanie pojęcia kapitału marki (brand equity).

Jedną z pierwszych definicji kapitału marki podał Peter H. Farquar w artykule *Managing Brand Equity* we wrześniowym wydaniu czasopisma „Marketing Research” w 1989 roku. Wskazał on na kapitał marki jako wartość dodaną, którą marka obdarza produkt. W tym rozumieniu produkt oznacza zestaw właściwości funkcjonalnych, natomiast marka przewyższa je, wprowadzając elementy dodatkowe. Oznacza to, że produkt z etykietą znanej marki generuje dodatkowe wpływy finansowe wynikające z wyższej ceny, tzw. ceny premium.

Od początku lat 90. zagadnienie kapitału marki było przedmiotem zainteresowania przedstawicieli branży marketingowej i badaczy akademickich. Dwie główne koncepcje stały się początkiem szerokiego dyskursu. Pierwsza koncepcja zaproponowana przez Davida A. Aakera w książce *Managing Brand Equity. Capitalizing on the Value of a Brand Name* została opublikowana w 1991 roku. Kapitał marki został zdefiniowany jako zestaw aktywów i zobowiązań związanych z marką, które zwiększają lub zmniejszają wartość dostarczaną przez produkt. Ten zestaw obejmuje pięć elementów: lojalność konsumentów



Zdjęcie: pixabay

wobec marki, świadomość jej istnienia, postrzegana jakość, skojarzenia z nią związane oraz inne aktywa, włączając przykładowo posiadane patenty i podpisane umowy.

Druga koncepcja kapitału marki, autorstwa Kevina L. Kellera, odnosiła się bezpośrednio do konsumentów/klientów jako customer-based brand equity. W artykule *Conceptualizing, Measuring, and Managing Customer-Based Brand Equity*, opublikowanym w czasopiśmie „Journal of Marketing”, Keller wyjaśnił zagadnienie kapitału marki z perspektywy konsumentów. Wskazał na ich reakcje wynikające z działań marketingowych podejmowanych przez przedsiębiorstwa. Wysoki kapitał marki oznaczał bardziej przychylne reakcje konsumentów na elementy tzw. marketingu mix, na przykład reklamę. W tym procesie kluczowe okazały się skojarzenia związane z marką i jej wizerunek. Konsument, który zna daną markę i pozytywnie ją ocenia, posiada w pamięci korzystne, silne i unikalne skojarzenia. Wpływają one na satysfakcjonujący wizerunek marki i stanowią podstawę decyzji zakupowych.

Wysoki kapitał charakteryzuje silne marki korporacyjne posiadające unikalne atrybuty. Osiągają one przewagę na rynku przez skupienie większego zainteresowania i generowanie pozytywnych opinii. Podlegają strategii rozszerzania, której rezultatem jest wprowadzanie nowych produktów i ich udoskonalonych wersji w wielu krajach. Niematerialne wartości marek korporacyjnych, będące wynikiem wysokiego kapitału, umożliwiają budowę zaufania, które z kolei przekłada się na zaufanie konsumentów.

liwiają budowę zaufania, które z kolei przekłada się na zaufanie konsumentów.

Kapitał marek korporacyjnych podlegał licznym badaniom. Szukano kolejnych możliwości zdefiniowania tego pojęcia oraz uwarunkowań sprzyjających kształtowaniu marek z wysokim kapitałem. Rozpatrywano przedsiębiorstwa z różnych sektorów gospodarki i wielu regionów geograficznych. Badano kapitał marek dla korporacji międzynarodowych i firm rodzinnych, szpitali i przedsiębiorstw farmaceutycznych, uczelni, sieci sprzedaży detalicznej, międzynarodowych systemów hotelowych i sieci gastronomicznych, banków, linii lotniczych, organizacji pozarządowych, wydawnictw oraz innych podmiotów. Porównywano kapitał marek luksusowych i ekonomicznych, szukając czynników determinujących sukces rynkowy marek, w tym marek korporacyjnych.

Reputacja marki korporacyjnej

Równoległe do prowadzonych badań i rozważań w zakresie kapitału marki analizowano zagadnienie jej reputacji (brand reputation). W 1988 roku Valerie A. Zeithaml w artykule *Consumer perceptions of price, quality, and value: a means-end model and synthesis of evidence*, opublikowanym w czasopiśmie „Journal of Marketing”, wskazała na nazwę marki jako dowód reputacji przedsiębiorstwa. Stanowiła ona jeden z atrybutów produktu wpływających na ocenę postrzeganej jakości i postrzeganej wartości.

W kolejnych definicjach reputacji marki analizowano relację konsument – marka. Wskazywano na nastawienie konsumenta do marki bazujące na aspektach funkcjonalnych i emocjonalnych. Podkreślano, że takie nastawienie wpływa na konsumencką ocenę marki w zakresie wiarygodności, rzetelności i odpowiedzialności. Marka ciesząca się dobrą reputacją wzbudza zaufanie nabywców przez swoją niezawodność i gwarancję otrzymania produktu o znanej, niezmięnionej jakości. Taka marka jest przewidywalna, a konsument nie jest zaskakiwany spadkiem jakości, nieterminowością dostaw, brakiem produktu itp. Posiadanie przez przedsiębiorstwo marki korporacyjnej cieszącej się dobrą reputacją oznacza renomę, która zapewnia stabilność i zmniejsza ryzyko działania. Taka marka jest rozpoznawalna i postrzegana przez pryzmat dobrej lub bardzo dobrej wartości dodanej.

Można tutaj mówić o swoistym sygnale wysyłanym przez renomowane marki korporacyjne. Sygnał ten dotyczy cech charakterystycznych marki i stanowi źródło kształtowania przewagi na rynku. Przykładowy komunikat można sformułować następująco: „Jestem marką korporacyjną spełniającą obietnice. Na mnie się nie zawiedziesz. Nie zawiedziesz się na naszym przedsiębiorstwie i produktach przez nas oferowanych”. Spełnianie obietnicy przez markę wpływa na budowę długotrwałych relacji marka-konsument, bazujących na zaufaniu i emocjonalnym podejściu. Marka staje się wówczas źródłem zadowolenia i satysfakcji, generując jednocześnie przyjemność z jej użytkowania.

Reputacja i kapitał – wzajemne zależności

Badanie zależności między reputacją i kapitałem marek korporacyjnych wymaga uwzględ-



nienia perspektywy wewnętrznej i zewnętrznej. Oznacza to włączenie do analizy tożsamości i wizerunku marek korporacyjnych oraz reputacji organizacyjnej. Ponadto perspektywa wewnętrzna wskazuje na konieczność poznania punktu widzenia menedżerów, natomiast zewnętrzna obejmuje spojrzenie na marki korporacyjne przez pryzmat opinii konsumentów.

Badania przeprowadzone w II połowie 2022 roku w dwóch grupach, menedżerów i konsumentów, pozwoliły zweryfikować wzajemne zależności między reputacją i kapitałem marek korporacyjnych w kontekście ich tożsamości i wizerunku oraz reputacji organizacyjnej. Następującą zależność należy uznać za kluczową z punktu widzenia złożonej natury marek korporacyjnych:

tożsamość marek korporacyjnych → reputacja organizacyjna → reputacja marek korporacyjnych → kapitał marek korporacyjnych → wizerunek marek korporacyjnych.

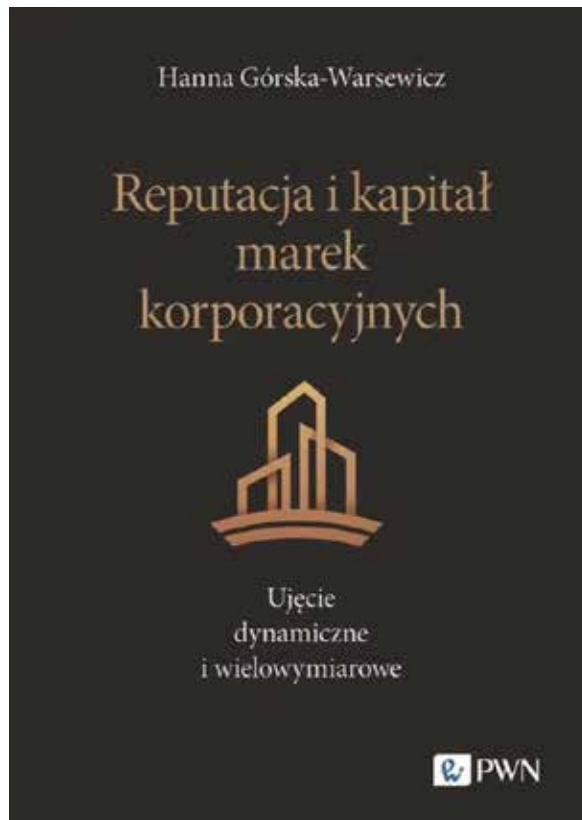
Zależność ta wskazuje na fundamentalne znaczenie tożsamości marek korporacyjnych w kształtowaniu ich reputacji, kapitału i wizerunku. W tym kontekście istotne są działania przedsiębiorstwa w zakresie jednoznacznego sformułowania misji, wizji i wartości, zapewnienia jednolitej identyfikacji wizualnej oraz dbałości o pozytywny odbiór przez konsumentów.

Właściwie zaplanowana tożsamość marek korporacyjnych pozytywnie wpływa na reputację organizacyjną, a ta z kolei na reputację marek korporacyjnych. Oznacza to, że pozytywna ocena przedsiębiorstwa wpływa na reputację jego marek. Z kolei postrzeganie marek korporacyjnych przez pryzmat ich reputacji pozwala określić je jako renomowane, tzn. postępujące w sposób etyczny, składające uczciwe oświadczenia i dotrzymujące złożonych obietnic. Ponadto im wyższa reputacja marek korporacyjnych, tym wyższy ich kapitał. Natomiast końcowym efektem jest pozytywny wizerunek marek korporacyjnych jako silnych, godnych polecenia, autentycznych i posiadających wyjątkowe cechy w porównaniu z markami konkurencyjnymi.

Przedstawiona powyżej zależność wskazująca na kluczową rolę tożsamości marek korporacyjnych w kształtowaniu ich reputacji, kapitału i wizerunku skłania do zadania kolejnych pytań: Co sprzyja tworzeniu odpowiedniej tożsamości marek korporacyjnych? Na co należy zwrócić uwagę w budowie renomowanych marek korporacyjnych z wysokim kapitałem?

Odpowiedź tkwi w dwóch pojęciach: dziedzictwo marek korporacyjnych (corporate brand heritage) i ich przywództwo (corporate brand leadership). Wspominany powyżej David A. Aaker w książce *Brand portfolio strategy: creating relevance, differentiation, energy, leverage, and clarity*, wydanej w 2004 roku, dowiódł, że dziedzictwo jest elementem o fundamentalnym znaczeniu dla marek korporacyjnych, stanowiąc o ich istocie. Należy je umieścić obok innych elementów, takich jak strategię, wartości, osiągnięcia czy zaangażowanie społeczne. Z kolei Mats Urde, Stephen A. Greyser oraz John M.T. Balmer w artykule *Corporate brands with a heritage*, opublikowanym w czasopiśmie „Journal of Brand Management” w 2007 roku, wskazali na dziedzictwo przez pryzmat generowania przewagi konkurencyjnej. Jest ona rezultatem wzbogacenia marki o swoistą głębię, autentyczność i wiarygodność. Uwzględniając przeszłość, pozwala uczynić markę istotną dla teraźniejszości i przeszłości.

We wspomnianych powyżej badaniach zidentyfikowano pozytywny wpływ dziedzictwa marek korporacyjnych na ich tożsamość, reputację i wizerunek oraz reputację organizacyjną. Oznacza to, że postrzeganie marek korporacyjnych jako stabilnych i unikalnych pozytywnie wpływa na ich tożsamość, dobrą reputację i kształtuje korzystny wizerunek. Ponadto uwzględ-



nianie przeszłości w dziedzictwie marek korporacyjnych wskazuje na ich autentyczność i umiejętność reagowania na potrzeby wielu pokoleń nabywców.

Z kolei przywództwo marek korporacyjnych zakłada koncentrację na perspektywie długoterminowej. David A. Aaker oraz Erich Joachimsthaler w książce *Brand Leadership*, wydanej w 2000 roku, odeszli od klasycznego modelu zarządzania marką i przyjęli model przywództwa marki. Wskazali na konieczność przejścia od zarządzania taktycznego do strategicznego oraz od podejścia ograniczonego i krótkoterminowego do szerokiego i perspektywicznego. Podstawą takiej strategii jest tożsamość marki i kreowanie jej wartości z uwzględnieniem wizjonerskiego spojrzenia w przyszłość.

Podobnie jak dziedzictwo marek korporacyjnych, przywództwo pozytywnie wpływa na ich tożsamość i reputację oraz budowę reputacji organizacyjnej. Wskazuje to na znaczenie wiodącej pozycji, zaawansowania technologicznego i innowacyjnego podejścia w tworzeniu założeń marek korporacyjnych i osiągnięciu korzystnych opinii będących podstawą wysokiej reputacji.

Wzrost znaczenia marek korporacyjnych obserwowany we współczesnym zarządzaniu wymaga podejścia holistycznego. Oznacza to włączenie do rozważań takich zagadnień jak tożsamość marek korporacyjnych, ich reputacja, wizerunek, dziedzictwo i przywództwo. I to przemawia za złożoną naturą marek korporacyjnych.

Tekst jest popularnym przedstawieniem problematyki książki Hanny Górskiej-Warsewicz, *Reputacja i kapitał marek korporacyjnych. Ujęcie dynamiczne i wielowymiarowe*, Wydawnictwo PWN, Warszawa 2024.

Dr hab. Hanna Górską-Warsewicz, profesor SGGW, pracownik Instytutu Zarządzania, specjalista w zakresie marek i znaków towarowych

Ryszard Bartnik

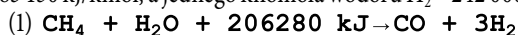
Energetyka jądrowa jest koniecznością

Cz. II Energetyka wodorowa i amoniakalna

Energetyka wodorowa generuje nie tylko identyczną ilość dwutlenku węgla jak energetyka konwencjonalna bezpośrednio spalająca paliwa kopalne, ale dodatkowo generuje parę wodną powstającą ze spalania wodoru, która jest w wielokrotnie większym stopniu gazem cieplarnianym niż dwutlenek węgla.

Energetyka jądrowa powinna odgrywać na świecie podstawową rolę. I to z wielu powodów. Jednym z najważniejszych jest ogromna ilość uranu na Ziemi, którego wystarczy na miliardy lat. A co z energetykami wodorową i amoniakalną? Niektórzy politycy, a także niestety niektórzy ludzie nauki, wskazują na nie, a nie na energetykę jądrową, jako technologie mające mieć wiodącą rolę w powszechnej energetyce, przynajmniej w Europie. Jest to wręcz kuriozalny pogląd, jako że wodór i amoniak trzeba produkować, bo w przyrodzie w stanie wolnym nie występują. Należy zatem odpowiedzieć na pytanie, czy energetyki wodorowa i amoniakalna mają sens? Aby odpowiedzieć, należy przyrzeć się stechiometrii produkcji wodoru i amoniaku. Właśnie konieczność produkcji, ale nie tylko, każe się zastanowić nad sensem energetyki wodorowej i amoniakalnej. Wyprzedzając wyniki przeprowadzonych poniżej krótkich, ale całkowicie wystarczających analiz, bo dotyczą one sedna sprawy, należy stwierdzić, że energetyki wodorowa i amoniakalna są termodynamicznym, technicznym, ekonomicznym i środowiskowym absurdem. I na szczęście są niemożliwe.

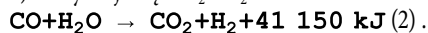
Wodór można produkować w procesie reformingu gazu ziemnego parą wodną (reakcja 1) bądź dwutlenkiem węgla (reakcja 6) lub w procesie zgazowania węgla (reakcja 9). W procesie reformingu produkuje się go z paliw zawierających metan lub inne węglowodory. Na przykład w przypadku metanu produkcja odbywa się według endotermicznej reakcji (potrzeby energetyczne na wysokotemperaturowe ciepło do tej reakcji w temperaturze normalnej 25°C wynoszą 206 280 kJ na każdy kilomol CH₄; entalpia dewaluacji, czyli ciepło spalania jednego kilomola metanu CH₄ w temperaturze normalnej 25°C wynosi 802 870 kJ, pary wodnej H₂O jest równa zero, tlenku węgla CO – 283 150 kJ/kmol, a jednego kilomola wodoru H₂ – 242 000 kJ):



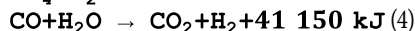
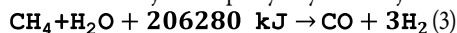
Dzięki dodaniu pary wodnej i podgrzaniu substratów reakcji do dostatecznie wysokiej temperatury, około 900–1400 K (im

wyższa temperatura substratów, tym stan równowagi chemicznej przesuwa się na korzyść produktów reakcji endotermicznej), uzyskuje się zmianę składu chemicznego podgrzewanych substratów i energia chemiczna produktów reakcji – zgodnie z zasadą zachowania energii, która oczywiście obowiązuje nie tylko w przemianach fizycznych, ale i chemicznych – zostaje zwiększona o dostarczone ciepło.

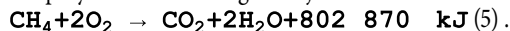
Rodzi się pytanie, co zrobić z trującym czadem CO powstającym w wyniku reakcji reformingu (1). Należy i do niego zastosować konwersję parą wodną. Zgodnie z reakcją egzotermiczną (wydziela się bowiem w tej reakcji 41 150 kJ ciepła z każdego kilomola CO; ilość ta odpowiada temperaturze normalnej 25°C; entalpia dewaluacji jednego kilomola dwutlenku węgla wynosi zero) otrzymuje się CO₂ i H₂O:



W konsekwencji z obu powyższych reakcji:

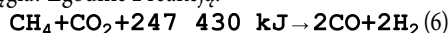


powstaje tyle samo CO w sytuacji, gdy spala się bezpośrednio na przykład w turbinie gazowej:

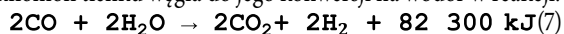


Dwa razy więcej dwutlenku węgla

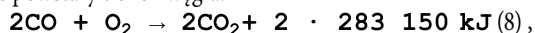
A jak wygląda reakcja reformingu metanu dwutlenkiem węgla? Zgodnie z reakcją:



nie ma ona całkowicie sensu, gdyż do powstałych wówczas 2 kilomoli tlenku węgla do jego konwersji na wodór w reakcji:



Należałoby, obok źródła CO₂ potrzebnego do zajścia reakcji (6), dysponować jeszcze źródłem pary wodnej, co znacznie podrażałoby koszt instalacji reformingu. Należałoby zatem spalać powstały tlenek węgla:

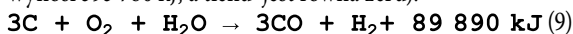


w wyniku czego, tak jak w reakcji (7), również powstawałoby dwa razy więcej dwutlenku węgla. Zamiast zatem ograniczać ilość CO_2 , w wyniku reformingu metanu dwutlenkiem węgla dwukrotnie zwiększałaby się jego ilość.

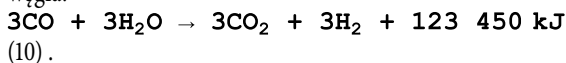
Należy ponadto zaznaczyć, że reakcja (1) reformingu metanu parą wodną ma sens wyłącznie wtedy, gdy dysponuje się wysokotemperaturowym ciepłem odpadowym (ze względu na stan równowagi chemicznej produktów reakcji najlepiej byłoby, gdyby była to temperatura ok. 1200–1400 K). Mogą to być na przykład wysokotemperaturowe spaliny odlotowe z instalacji przemysłowych. W ten sposób byłaby bowiem realizowana chemiczna regeneracja ciepła odpadowego, a więc miałyby miejsce oszczędność energii chemicznej paliw dzięki wykorzystaniu właśnie tego ciepła. W przypadku jego braku, aby mogła zajść endotermiczna reakcja (1), należałoby spalać paliwa kopalne (co generowałoby kolejne ilości dwutlenku węgla), by dostarczyć do niej ciepło w ilości 206 280 kJ na każdy kilomol CH_4 (jest też absurdalny pomysł, by ciepło to pochodziło ze specjalnie w tym celu budowanych reaktorów wysokotemperaturowych z helem jako czynnikiem chłodzącym rdzeń reaktora i następnie by ten hel o temperaturze ok. 1300 K był doprowadzany do instalacji reformingu; trudno nawet skomentować tak absurdalny pomysł). Należy przy tym pamiętać, że straty energii w dwóch reakcjach są oczywiście zawsze większe niż w jednej. Wydłużanie bowiem łańcucha przemian termodynamicznych zawsze zwiększa straty. Zatem zgodnie z zasadą zachowania energii energetyczny efekt końcowy dla jednej reakcji, tj. bezpośredniego spalania paliw kopalnych, jest większy niż przy trzech reakcjach, tj. dwóch reakcjach reformingu i trzeciej reakcji spalania w instalacjach energetycznych wyprodukowanego wodoru w tych dwóch pierwszych. Co również bardzo ważne, jeśli nie ważniejsze, efektywność ekonomiczna produkcji energii elektrycznej za pomocą jednej reakcji jest, co oczywiste, nieporównywalnie wyższa niż w trzech. Każda bowiem reakcja wymaga nakładów inwestycyjnych na instalacje do jej realizacji, które niosą ze sobą roczne koszty kapitałowe i eksploatacyjne ich działania.

Energetyka wodorowa to absurd

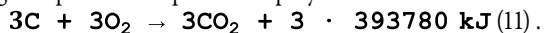
A jak wygląda sytuacja produkcji wodoru w procesie gazyfikacji węgla? Analizując jego stechiometrię (entalpia dewaluacji w temperaturze normalnej 25°C jednego kilomola węgla wynosi 393 780 kJ, a tlenu jest równa zeru):



i stosując konwersję parą wodną do powstałych w tej reakcji 3 kilomoli trującego czadu, otrzymuje się 3 kilomole dwutlenku węgla:



Okazuje się zatem, co oczywiste, że ilość dwutlenku węgla powstała w procesie zgazowania węgla jest identyczna, jak przy jego bezpośrednim spalaniu na przykład w kotle w elektrowni:



Tak więc i zgazowanie węgla, i wykorzystywanie wyprodukowanego wodoru, tak jak w przypadku reformingu gazu ziemnego, też wymaga trzech reakcji. Przeprowadzona zatem wcześniej króciutka analiza termodynamiczno-ekonomiczna produkcji energii elektrycznej z wodoru otrzymywanego z reformingu gazu ziemnego jest słuszna i dla jej produkcji z wodoru otrzymywanego ze zgazowania węgla.

Powyższe reakcje dowodzą, że energetyka wodorowa w najwyższym stopniu to absurd. Jej celem ma przecież być ograniczenie emisji CO_2 , aby zapobiec efektowi cieplarnianemu, a tymczasem będzie on przez nią wielokrotnie większy. Jak bowiem wynika z reakcji 1–11, energetyka wodorowa gene-

ruje nie tylko identyczną ilość dwutlenku węgla jak energetyka konwencjonalna bezpośrednio spalająca paliwa kopalne, ale dodatkowo generuje powstającą ze spalania wodoru parę wodną, która jest w wielokrotnie większym stopniu, ok. 6 razy, gazem cieplarnianym niż dwutlenek węgla. Należy zatem jeszcze raz bardzo dobitnie powiedzieć, że energetyka wodorowa przyczyni się wielokrotnie bardziej do efektu cieplarnianego, ponieważ będzie on spowodowany nie tylko dwutlenkiem węgla powstałym przy produkcji wodoru, ale i dodatkowo parą wodną. Nic w przyrodzie nie ginie i tak jak pozostaje dla tych reakcji słuszna zasada zachowania energii, tak i ilość pierwiastków biorących udział w tych reakcjach pozostaje niezmienna, i żadne „kuglarstwo wodorowe” tego nie zmieni.

Czemu i komu zatem ma służyć energetyka wodorowa? Należy w tym miejscu zadać też kolejne, wręcz fundamentalne pytania, co dzieje się z nauką, co z jej rzetelnością naukową? Dlaczego została tak oderwana od prawdy? Dlaczego niektórzy ludzie nauki wbrew prawdzie o energetyce wodorowej ją popierają? Prawdzie, której powinna przeciwieństwo nauka poszukiwać i z całą mocą, bez żadnych kompromisów, jej służyć. Nie zaś interesom kierujących się wyłącznie chęcią ciągłych zysków przedsiębiorców, którzy są w stanie je osiągać tylko przez dostarczanie na rynek kolejnych nowości technicznych, i lobbujących na ich rzecz polityków. Bo istotą nauki jest przeciwstawianie pytań o prawdy otaczającego nas świata i odpowiadanie na nie, a nie powielanie propagandy, która, jak to propaganda, z prawdą nie ma nic wspólnego. Dlaczego nauka, delikatnie mówiąc, w tak dużym stopniu została też oderwana od zdrowego rozsądku? Jest jeszcze inny wymiar energetyki wodorowej, bardzo groźny. Jest nim chęć zdominowania gospo-



darczego i politycznego jednych państw przez państwa posiadające duże złoża gazu ziemnego, a także państwa handlujące tym gazem (należy przypomnieć, że wodór miałby być produkowany z gazu – reakcja 1). Należałoby zatem, by nie tylko niektórzy ludzie nauki, ale i politycy, sięgnęli po wiedzę i z jej pomocą poszukiwali prawdy, a nie powielali celowe, szkodliwe kłamstwa i absurdy o energetyce wodorowej. Co więcej, nakłady inwestycyjne na energetykę wodorową są wielokrotnie większe w porównaniu z energetyką konwencjonalną. Zatem koszt wytworzenia w niej energii elektrycznej też będzie wielokrotnie większy. Kogo będzie wówczas na nią stać?

Rzeczywistość i logika jednoznacznie wskazują, że pomysł dekarbonizacji energetyki, a więc system handlu emisjami dwutlenku węgla EU ETS (ang. European Union Emission Trading Scheme) i w konsekwencji energetyka wodorowa powstały w głowach polityków i zostały wprowadzone w Europie przy ich pomocy. Dekarbonizacja, system EU ETS oraz energetyka wodorowa służą wyłącznie ich interesom. Tak samo ma się rzecz z odnawialnymi źródłami energii (OZE), w których produkcja energii elektrycznej jest znikoma i przy tym bardzo droga, wielokrotnie droższa od produkcji w elektrowniach konwencjonalnych. Dlatego należy jak najszybciej wrócić w energetyce do węgla i jednocześnie budować energetykę jądrową.

Wodór z elektrolizy wody

Jeszcze większym absurdem jest produkcja wodoru w procesie elektrolizy wody. Fundamentalną bowiem wadą produkcji wodoru w bardzo drogich elektrolizerach (jednostkowe, na jednostkę mocy elektrycznej, nakłady inwestycyjne na elektrolizery wynoszą co najmniej ok. 8,5 mln PLN/MW, są więc

znacząco wyższe nawet od wysokich jednostkowych nakładów wynoszących ok. 6,5 mln PLN na elektrownie na nadkrytyczne parametry pary świeżej) jest to, że z ilości ok. 180 MJ energii elektrycznej, najszlachetniejszej postaci energii w każdym tego słowa znaczeniu, uzyskuje się tylko kilogram wodoru (wartość opałowa wodoru wynosi $W_d = 121 \text{ MJ/kg}_{H_2}$), z którego na powrót można otrzymać zaledwie ok. 60 MJ energii elektrycznej, tj. tylko 33% energii elektrycznej wykorzystanej do jego produkcji ($60 \text{ MJ} = 0,33 \cdot 180 \text{ MJ}$). Pozostałe 67% energii jest bezpowrotnie tracone. Produkcja taka jest zatem „termodynamicznym barbarzyństwem”, absurdem nad absurdami. Wkładamy bowiem 180 MJ energii elektrycznej, by za bardzo duże pieniądze otrzymać z nich zaledwie 60 MJ energii elektrycznej. Ponadto, aby z tego wodoru produkować energię elektryczną, należałoby dodatkowo zainwestować znaczne środki finansowe na spalające go elektrownie. Obecnie wodór pozyskiwany jest głównie w procesie reformingu gazu ziemnego parą wodną zgodnie z reakcją endotermiczną (1) (w Polsce produkuje się tak ok. 1 mln ton wodoru rocznie). Potrzeby energetyczne na ciepło (ciepło charakteryzuje się, w przeciwieństwie do energii elektrycznej, niską jakością, tj. niską egzergią) dla tej reakcji, jak już wyżej wspomniano, wynoszą ok. 206 MJ/kmol CH_4 . Są więc ponad 5 razy mniejsze na kilogram otrzymanego wodoru od potrzeb energetycznych w procesie elektrolizy wody, w którym są one ponadto zaspokajane nie ciepłem, a energią elektryczną. Energią tożsamą z egzergią, czyli energią o najwyższej termodynamicznej jakości, a więc drogą, gdy tymczasem ciepło charakteryzuje się niską jakością, tj. niską egzergią, a więc jest relatywnie tanie. Ponadto nakłady inwestycyjne na instalacje reformingu są małe w porównaniu



Należy pamiętać, że zużycie całkowitej energii, począwszy od wydobycia surowców potrzebnych do wyprodukowania i zainstalowania szczególnie paneli fotowoltaicznych, jest większe niż są one w stanie same wytworzyć w czasie swojej pracy. A jeszcze należy doliczyć energię potrzebną do ich utylizacji.

Zdjęcie: pixabay

z nakładami na elektrolizery i źródła energii elektrycznej. Tym samym jednostkowy koszt pozyskanego w ten sposób wodoru jest zdecydowanie niższy. Według szacunkowych obliczeń nie przekracza $W_d = 121 \text{ MJ/kg}_{\text{H}_2}$. Jeszcze tańszym źródłem produkcji wodoru powinien być gaz koksowniczy (trwają nad tym prace) i gaz z odmetanowania kopalń (cena tych gazów to ok. 200 PLN za 1000 m^3 , w przeliczeniu na jednostkę energii to ok. 8 PLN/GJ; gazy te są zatem 4 razy tańsze od rosyjskiego gazu ziemnego; obecnie te relacje przez wywołaną przez Rosję wojnę zostały bardzo mocno zachwiane). Roczna sumaryczna ilość tych gazów w Polsce dostępna dla reformingu wynosi ok. 2,5 mld m^3 , w tym ok. 1,5 mld to gaz koksowniczy. Jest to gaz sprzedawany przez koksownie odbiorcom zewnętrznym po zaspokojeniu potrzeb własnych wynikających z produkcji koksu.

Obecnie wodór jest produkowany wyłącznie na potrzeby branży chemicznej, petrochemicznej, metalurgicznej (i np. do napędu statków kosmicznych) i tak powinno zostać. Produkcja ta odbywa się głównie w procesie reformingu gazu ziemnego parą wodną zgodnie z reakcją endotermiczną (1). Co więcej, by produkować tyle wodoru, który byłby w stanie zaspokoić potrzeby energetyczne świata, zabrakłoby na nim wszystkich razem wziętych elektrowni, gdyby chciał go produkować w procesie elektrolizy wody. Nawet gdyby dodatkowo pokryć całą kulę ziemską turboszespołami wiatrowymi i panelami fotowoltaicznymi, to i tak produkcja wodoru z wykorzystaniem wyprodukowanej w nich energii elektrycznej byłaby znikoma w porównaniu do potrzeb energetycznych świata. Należy przy tym pamiętać, co szalenie ważne, że zużycie energii w rachunku ciągłym, tj. zużycie całkowitej energii począwszy od wydobycia surowców potrzebnych do wyprodukowania i zainstalowania OZE, szczególnie paneli fotowoltaicznych, jest większe niż są one w stanie same wytworzyć w czasie swojej pracy. A jeszcze należy doliczyć energię potrzebną do ich utylizacji. Co równie ważne, zarówno te na lądzie, jak i na morzu nie

mają sensu ekologicznego. Zaśmiecają bowiem i niszczą w bardzo dużym stopniu środowisko naturalne i krajobraz. Na przykład zużyte łopaty turboszespołów wiatrowych po ich zakopaniu w ziemi nigdy się nie rozłożą.

Są też absurdalne pomysły, by wykorzystywać wodór do produkcji metanu zgodnie z reakcją egzotermiczną:

$\text{CO}_2 + 4\text{H}_2 \rightarrow \text{CH}_4 + 2\text{H}_2\text{O} + 165\,130 \text{ kJ}$ (12)

(bardzo duża ilość ciepła wydzielanego w czasie reakcji równa jest różnicy wartości opałowych wodoru i metanu; wartość opałowa jednego kilomola wodoru $MW_d = 242 \text{ MJ/kmol}_{\text{H}_2}$; $1 \text{ kmol}_{\text{H}_2} = 2 \text{ kg}_{\text{H}_2}$, wartość opałowa metanu równa się $MW_d = 802,87 \text{ MJ/kmol}_{\text{CH}_4}$, $W_d = 50,15 \text{ MJ/kg}_{\text{CH}_4}$; $1 \text{ kmol}_{\text{CH}_4} = 16 \text{ kg}_{\text{CH}_4}$). Są niestety „mędrcy”, którzy twierdzą, że taka produkcja jest dobrodziejstwem, gdyż dzięki niej wiązany jest dwutlenek węgla powstały ze spalania węgla w elektrowniach w procesie produkcji energii elektrycznej, a więc automatycznie znika jego problem. Świadczy to o całkowitym braku pojmowania zachodzących reakcji i zjawisk termodynamicznych. By pozbyć się CO_2 , „niszczy” się bowiem energią elektryczną z poziomu 1440 MJ do poziomu ok. 400 MJ = $4 \text{ kmol}_{\text{H}_2} \cdot 2 \text{ kg}_{\text{H}_2} / \text{kmol}_{\text{H}_2} \cdot 180 \text{ MJ/kg}_{\text{H}_2}$, a więc niemalże w 75% (z jednego kilomola metanu można otrzymać ok. 400 MJ energii elektrycznej). Przecież niemalże na to samo wyszłoby, gdyby jej nie produkować w ogóle. Nie trzeba by wówczas wydawać dużych pieniędzy na budowę elektrowni. Mało tego, aby „likwidować” CO_2 , należy budować znacznie droższe inwestycyjnie na jednostkę zainstalowanej mocy instalacje niszczące wyprodukowaną energią elektryczną, tj. instalacje do produkcji wodoru i metanu. „Genialny” pomysł: produkuje się elektryczność za duże pieniądze tylko po to, by za jeszcze większe móc ją następnie „zniszczyć”. Absurd ten potęguje dodatkowo fakt, że po spaleniu (patrz reakcja 5) otrzymanego w reakcji (12) metanu powstaje identyczna ilość dwutlenku węgla jak ta, która wzięła w niej udział. Powraca się zatem w konsekwencji do punktu wyjścia, gdyż z jednego kilomola CO_2 (reakcja 12)



Źródło: pnatbay

Źródła OZE są wyłącznie źródłem odnawialnych rok w rok przeogromnych dopływów pieniędzy dla ich właścicieli, rzędu setek miliardów euro (OZE produkują znikome ilości energii elektrycznej), dewastując przy tym, wręcz niszcząc na ogromną skalę środowisko. Aby bowiem elektryczność z OZE mogła istnieć na rynku energii elektrycznej, wymaga kilkudziesięcimiliardowych rocznych dotacji ze skarbu państw.

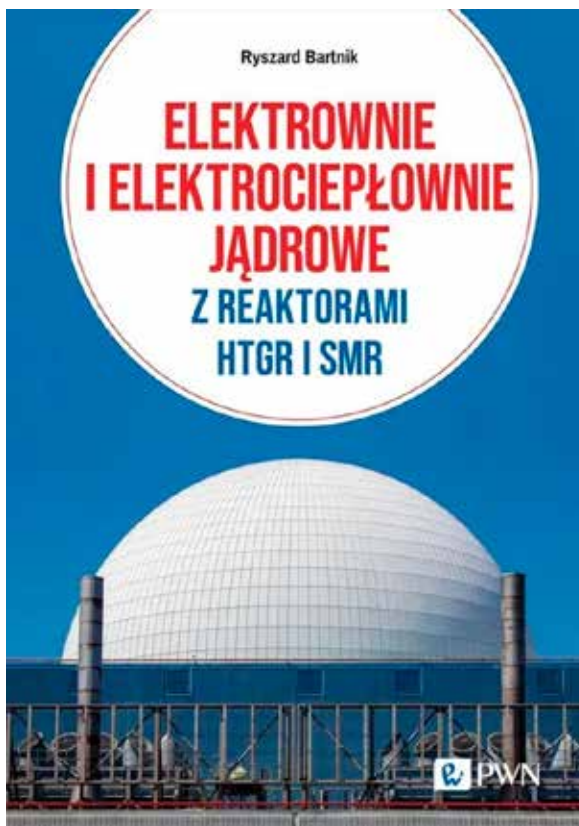
otrzymuje się na końcu ponownie jeden kilomol CO_2 (reakcja 5). A wodór przecież po to miałby być produkowany, by nie dopuszczać do powstawania CO_2 . Tymczasem powstaje go dokładnie tyle samo, a przy tym za ogromne pieniądze oraz kosztem utraconej przeogromnej ilości energii elektrycznej, najcenniejszej postaci energii, do której otrzymywania ze wszech miar się przecież dąży. To ona jest głównym celem, gdyż bez niej współczesny świat nie może istnieć.

Jeszcze raz należy zatem z całą mocą stwierdzić, że produkcja metanu w reakcji (12) to wręcz przeogromny termodynamiczny, ekonomiczny i ekologiczny absurd. Co gorsze, są w tym przedmiocie realizowane granty. Kto na to pozwolił, kto do tego dopuścił? Czemu to służy? Służy to nachalnemu kłamstwu o rzekomym globalnym ociepleniu w wyniku emisji CO_2 , i wynikającej z niego rzekomej konieczności budowy OZE (należy ponownie dobitnie zaznaczyć, że powstała para wodna ze spalania wodoru jest w wielokrotnie większym stopniu gazem cieplarnianym niż CO_2). Źródła OZE są wyłącznie źródłem odnawialnych rok w rok przeogromnych dopływów pieniędzy dla ich właścicieli, rzędu setek miliardów euro (OZE produkują znikome ilości energii elektrycznej), dewastując przy tym, wręcz niszcząc na ogromną skalę środowisko, co odbywa się w majestacie prawa i rzekomo dla dobra ludzkości. Aby bowiem elektryczność z OZE mogła istnieć na rynku energii elektrycznej, wymaga przeogromnych, kilkudziesięciomiliardowych rocznych dotacji ze skarbu państw. Na przykład w Niemczech kilka lat temu dotacje te wynosiły rocznie 30 miliardów euro (sic!), gdy moc zainstalowanych turbozespołów wiatrowych wynosiła 36 000 MW, a fotowoltaiki 38 000 MW (dopłaty do każdej megawatogodziny wyprodukowanej energii elektrycznej w turbozespołach wiatrowych wynosiły 160 euro, w źródłach fotowoltaicznych 430 euro; obecnie w Niemczech moc turbozespołów to już 56 GW). W Polsce od 2006 do 2020 r. subwencje wyniosły 76 mld PLN, a obecnie wynoszą ponad 10 mld PLN rocznie. Za te już wypłacone ze Skarbu Państwa pieniądze można by wybudować w Polsce elektrownie jądrowe z reaktorami wodnymi pracujące według obiegu Clausiusa-Rankine'a o mocy rzędu 5 tys. MW.

Wyjątkowo czarne paliwo

Jeszcze większym absurdem byłaby energetyka, w której paliwem miałby być amoniak NH_3 . Niektórzy ludzie nauk inżyniersko-technicznych nazywają ten „paliwowy” amoniak „zielonym” (również zielonym nazywają wodór), że niby jest ekologiczny, co jest nonsensem. Ilości amoniaku na potrzeby produkcji energii elektrycznej wynosiłyby miliardy ton rocznie. O amoniaku należy z całą mocą mówić, jeśli dalej używać „kolorów”, że jest wyjątkowo „czarnym” paliwem, nieporównanie bardziej „czarnym” niż wodór, jako że jego produkcja i spalanie w jeszcze większym stopniu zanieczyszczałyby i dewastowały środowisko naturalne. Podczas spalania amoniaku powstawałyby oprócz pary wodnej bardzo szkodliwe tlenki azotu.

Do produkcji amoniaku potrzebne są nie tylko instalacje przemysłowe wytwarzające wodór, ale dodatkowo jeszcze dwie instalacje: (1) droga inwestycyjnie instalacja do produkcji azotu i (2) jeszcze droższa instalacja do syntezy azotu z wodorem. Co więcej, potrzeby na energię napędową do produkcji amoniaku są ogromne. Do tego należałoby dodać jeszcze energię i koszty jego transportu do miejsca spalania w elektrowniach i elektrociepłowniach. W sumie więc koszt produkcji amoniaku NH_3 byłby wielokrotnie wyższy od kosztu produkcji wodoru. W konsekwencji koszt wytwarzania z niego energii elektrycznej byłby niebotycznie wysoki, wielokrotnie wyższy od kosztu produkcji energii z wodoru.



Jak już zaznaczyłem, OZE są źródłem nieuzasadnionych, przeogromnych corocznych korzyści finansowych dla ich właścicieli. W Polsce są to w głównej mierze właściciele niemieccy. Trzeba ponadto zaznaczyć, że OZE nie są w stanie wyprodukować energii elektrycznej, by zniwelować skutki jej „niszczenia” w elektrowniach konwencjonalnych. Aby pokryć straty spowodowane przez OZE, aby otrzymać na powrót te 1040 MJ (= 1440 – 400) energii elektrycznej, trzeba w dwójnasób spalać węgiel. Należy do tego dodać miliony ton węgla spalającego podczas setek uruchomień bloków po ich wyłączeniach z ruchu w wyniku „działalności” OZE. Podczas rozruchu bloków energia elektryczna nie jest przy tym oddawana do sieci. Jak to wszystko zatem się ma do rzekomej koniecznej dekarbonizacji energetyki dla dobra ludzkości? Co więcej, emisja dwutlenku węgla przez energetykę krajów europejskich to zaledwie ok. 5% emisji światowej pochodzącej ze spalania paliw kopalnych. Ta światowa emisja paliwowa stanowi natomiast zaledwie 3,3% emisji globalnej CO_2 (5% emisji energetyki europejskiej stanowi więc $0,16\% = 0,05 \cdot 0,033$ emisji globalnej, a więc prawie zero!). Gdzie zatem reszta? Oceany produkują 41,4% dwutlenku węgla, a biosfera 55,3% (np. człowiek wydycha codziennie 1 kg CO_2 przy wysiłku 4 kg). Nawet zatem całkowita likwidacja przez zamknięcie nie tylko polskich, ale wszystkich światowych elektrowni na paliwa kopalne (oczywiście bez elektrowni jądrowych) zmieni tyle co nic. Mało tego, tak jak człowiekowi do życia niezbędny jest tlen, tak biosferze poza istotami żywymi do istnienia niezbędny jest dwutlenek węgla. Bez niego świat, jaki znamy i w jakim żyjemy, zginie.

Artykuł został oparty na badaniach opublikowanych w monografii: Bartnik R., *Elektrownie i elektrociepłownie jądrowe z reaktorami HTGR i SMR. Efektywność energetyczna i ekonomiczna*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2024.

Prof. dr hab. inż. Ryszard Bartnik, Politechnika Opolska,
Wydział Inżynierii Produkcji i Logistyki

Szymon Sękowski, Ewa Olchowik-Grabarek, Izabela Świącicka, Maria Zamarajewa

Tanią w gronkowca

Wyniki przeprowadzonych badań stwarzają nowe możliwości biomedycznego wykorzystania związków pochodzenia naturalnego z grupy tanin w celu podwyższenia skuteczności tradycyjnej antybiotykoterapii w profilaktyce zakażeń gronkowcem złocistym.

Nawet 30% osób może być nosicielami gronkowca złocistego (*Staphylococcus aureus*). Ta Gram-dodatnia bakteria jest czynnikiem etiologicznym wielu chorób, m.in. zakażeń skóry i tkanek miękkich czy zatruc pokarmowych. Zakażenie gronkowcem może skutkować również rozwojem stanów martwiczych, jak też wstrząsem toksycznym. Z tego względu, jak też z powodu dynamicznego rozwoju oporności na antybiotyki oraz wytwarzania wielu toksyn będących czynnikami wirulencji, gronkowiec złocisty stanowi duże wyzwanie dla współczesnej medycyny i mikrobiologii klinicznej. Szczególnym problemem są szczepy odporne na antybiotyki, a w szczególności te odporne na metycylinę (MRSA, ang. methicillin resistance *Staphylococcus aureus*) i na wankomycynę (VRSA, ang. vancomycin resistance *Staphylococcus aureus*). Metycylina jest związkiem zaliczanym do szerokiej grupy antybiotyków beta-laktamowych. Jej aktywność jest związana z hamowaniem syntezy ściany komórkowej bakterii. Oporność bakterii na metycylinę powoduje, że staje się ona oporna również na inne antybiotyki z grupy beta-laktamów. Z tego względu w przypadku zakażeń MRSA stosowano

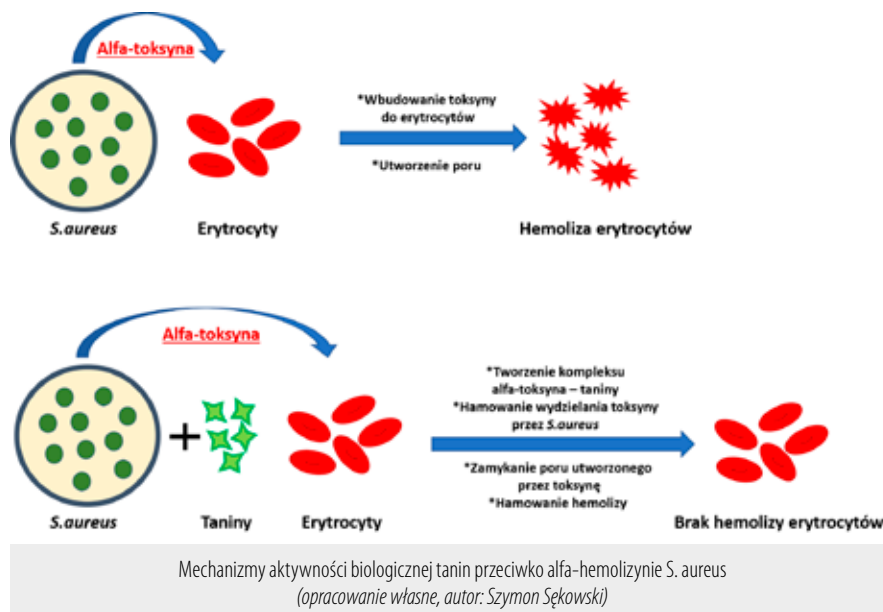
wankomycynę, która nie jest zaliczana do beta-laktamów, ale jej działanie jest analogiczne do metycyliny. Początkowo takie rozwiązanie okazało się skuteczne, jednak z czasem bakterie rozwinęły oporność również na ten antybiotyk. Z tego względu oporność gronkowców na metycylinę i wankomycynę powoduje duże problemy w leczeniu osób zakażonych tą bakterią.

Zjawisko lekooporności występuje zarówno wśród szczepów gronkowców szpitalnych, jak i pozaszpitalnych. Zwłaszcza w tej ostatniej grupie lekooporność może dotyczyć znacznie szerszej liczby antybiotyków niż tylko te, które zalicza się do β-laktamowych (jak np. wspomniana wcześniej metycylina). Drugim niezwykle istotnym czynnikiem determinującym wysoki potencjał chorobotwórczy gronkowca są toksyny wydzielane przez te bakterie. Przykładem mogą być toksyna PVL (leukocydyna Panton-Valentine) niszcząca białe krwinki (leukocyty) oraz alfa-toksyna prowadząca do rozpadu krwinek czerwonych (hemolizy erytrocytów). Podczas gdy składająca się z dwóch komponentów cytotoksyna PVL uruchamia zależną od mitochondriów kaskadę skutkującą wejściem komórki na drogę



Na fot. od lewej: prof. Izabela Świącicka, prof. Maria Zamarajewa, dr Ewa Olchowik-Grabarek, dr hab. Szymon Sękowski, prof. UwB

Fot. dr Marek Bartoszewicz



apoptozy (programowanej śmierci) i doprowadza do rozpadu leukocytów, a także może prowadzić do nekrozy, to alfa-toksyna wydzielana w postaci pojedynczych cząsteczek (monomerów) wbudowuje się w błonę komórkową, ulega oligomeryzacji i tworzy transbłonowy por, co prowadzi do wspomnianej wcześniej hemolizy.

„Z uwagi na antybiotykooporność *S. aureus* oraz wydzielane przez niego toksyny, zachodzi pilna konieczność poszukiwania nowych antybiotyków oraz innych związków działających na gronkowca złocistego. Zwłaszcza podejście związane z hamowaniem aktywności toksyn wydzielanych przez te bakterie może znacząco poprawić skuteczność terapii antygronkowcowych” – podkreśla dr hab. Szymon Sękowski, profesor Uniwersytetu w Białymstoku.

Polifenole pochodzenia roślinnego odznaczają się silnymi właściwościami antibakteryjnymi. Związki te od dawna są szeroko wykorzystywane w medycynie tradycyjnej, a kolejne badania donoszą o ich nowych możliwych zastosowaniach, również w walce z bakteriami. Interesujące, że polifenole mogą działać zarówno na poziomie komórki drobnoustroju jak i poprzez interakcję z wydzielanymi czynnikami wirulencji, w tym toksynami.

Jak taniny reagują z toksyną gronkowca

Taniny stanowią jedną z grup polifenoli. Pod względem budowy związku te dzieli się na taniny hydrolizujące i niehydrolizujące. Taniny hydrolizujące pod względem chemicznym są estrami cukrów (głównie glukozy) i fenoli kwasów węglowych. Taniny niehydrolizujące (skondensowane) są z kolei estrami flavan-3-oli. Taniny dzięki dużej liczbie reszt hydroksylowych, a także zmiennej elastyczności cząsteczki oraz zróżnicowanej hydrofobowości wykazują duże powinowactwo zarówno do błon komórek, jak i białek. Badania z zakresu antibakteryjnej aktywności tanin potwierdzają również ich silny potencjał przeciwbakteryjny. Związki te są powszechnie dostępne w produktach spożywczych codziennego użytku, m.in. herbacie, czerwonym winie czy owocach granatu, borówki, aronii.

Zespół naukowy w składzie: dr Ewa Olchowik-Grabarek, dr hab. Szymon Sękowski, prof. UwB i prof. Maria Zamarajewa z Katedry Mikrobiologii i Biotechnologii Wydziału Biologii Uniwersytetu w Białymstoku (kierownikiem katedry jest prof. Izabela Świąćicka), we współpracy z Laboratorium Fizjologii i Farmakologii Uniwersytetu Libre w Brukseli oraz Instytutem Chemii Bioorganicznej Akademii Nauk w Uzbekista-

nie wykazał, że polifenolowe związki pochodzenia roślinnego zaliczane do grupy tanin wykazują zdolność do oddziaływania z alfa-hemolizyną, jednym z kluczowych czynników wirulencji gronkowca złocistego.

„Silne oddziaływanie tanin z białkami pozwoliło założyć, że będą one wchodziły w interakcję z alfa-hemolizyną (jedną z głównych toksyn wydzielanych przez *Staphylococcus aureus*), prowadząc do zahamowania jej aktywności związanej z formowaniem poru i niszczeniem komórek atakowanego organizmu” – mówi dr Ewa Olchowik-Grabarek.

Z tego względu zbadano, jak taniny reagują z toksyną wydzielaną przez gronkowca złocistego. Jak wskazuje prof. Maria Zamarajewa: „Jedną z zaobserwowanych korzyści było hamowanie przez badane związki rozpadu krwinek czerwonych obserwowanego pod wpływem toksyny gronkowca. Kolejne badania pozwoliły stwierdzić, że mechanizm odpowiedzialny za zatrzymanie rozpadu krwinek czerwonych jest powiązany z silnym reagowaniem badanych tanin z alfa-toksyną”.

W wyniku przeprowadzonych prac z zastosowaniem metod biofizycznych (spektroskopia UV-Vis, spektrofluorymetria), biochemicznych (elektroforeza typu Western-blot), elektrofizjologicznych (pomiar zmian przewodności elektrycznej sztucznych błon lipidowych) oraz mikrobiologicznych wykazano, że taniny charakteryzują się bardzo dużą aktywnością wobec *S. aureus*. Związki te posiadają zdolność do tworzenia kompleksu tanina – monomer toksyny, co ogranicza zdolność alfa-toksyny do wbudowania się w strukturę błony komórkowej. Co więcej, badania elektrofizjologiczne pozwoliły stwierdzić, że wcześniej uformowany przez toksynę por był „zamykany” przez badane związki. Ponadto jedna z badanych tanin (PGG) hamowała również wydzielanie przez gronkowca toksyny, co jest najprawdopodobniej związane zarówno z oddziaływaniem PGG z błoną komórkową bakterii, jak i hamowaniem ekspresji genu odpowiedzialnego za biosyntezę alfa-toksyny.

Wyniki przeprowadzonych badań stwarzają nowe możliwości biomedycznego wykorzystania związków pochodzenia naturalnego z grupy tanin w celu podwyższenia skuteczności tradycyjnej antybiotykoterapii w profilaktyce zakażeń gronkowcem złocistym. Poprzez silne oddziaływanie z błonami komórkowymi bakterii taniny mogą również zwiększać wrażliwość bakterii na antybiotyki, w tym na metycylinę i wankomycynę. Dotychczasowe nasze rezultaty prac eksperymentalnych nad hamowaniem aktywności alfa-toksyny gronkowca złocistego przez taniny zostały opublikowane w „Bioelectrochemistry” (2023, 150, 108318). „Te dane stanowią istotny wkład w poznanie natury interakcji bakterie – polifenole, ale też są bardzo dobrym punktem wyjścia do kolejnych analiz nad oddziaływaniami produktów pochodzenia roślinnego na mikroorganizmy” – mówi prof. Izabela Świąćicka.

Dr hab. Szymon Sękowski, prof. UwB, dr Ewa Olchowik-Grabarek, prof. dr hab. Izabela Świąćicka, prof. dr hab. Maria Zamarajewa są pracownikami Katedry Mikrobiologii i Biotechnologii na Wydziale Biologii Uniwersytetu w Białymstoku.

Elementy metod zarządzania jakością w szkolnictwie wyższym

Firmy, które wdrożyły TQM, osiągnęły duży sukces, stąd pytanie, czy podobny sukces mogą uzyskać uczelnie poprzez wdrożenie elementów metod zarządzania jakością? Środowisko akademickie jest wyjątkowe i różni się od przemysłu pod wieloma względami. Jednak doświadczenia i wnioski wyciągnięte z przemysłu mogą pomóc instytucjom szkolnictwa do lepszego zrozumienia potrzeb klientów.

Zapewnienie wysokiej jakości kształcenia jest kluczowym zadaniem uczelni. Ustawodawca zobowiązuje a konkurencja motywuje do ciągłej poprawy jakości oraz do wprowadzenia innowacji na uczelniach. Koniecznością jest monitorowanie, jak nowe metody wpływają na jakość kształcenia i jaki jest efekt ich wdrażania. Jedną z takich innowacji jest zastosowanie elementów metod zarządzania jakością w edukacji.

Jakość

Pomimo iż jakość towarzyszyła człowiekowi od dawna, to jednoznaczne zdefiniowanie tego pojęcia jest problematyczne. Przyczyną tego jest fakt, iż definicja jakości zależy od kontekstu, w którym pojęcie to jest stosowane.

Pierwsze definicje jakości pojawiły się w dziełach starożytnych filozofów. Platon definiował jakość jako „pewien stopień doskonałości przedmiotu lub rzeczy”. Arystoteles pisał: „jakością nazywam to, na mocy czego rzeczy są w pewien sposób określone”. Według Cycerona „jakość jest właściwością danego przedmiotu”. Zaś chiński uczony Lao Tse uznał, że jakość to „coś, co można udoskonalić”. Kartezjusz przedstawił koncepcję dualistycznego ujęcia jakości. W swojej koncepcji rozróżniał jakości pierwotne i wtórne. Według Kartezjusza jakości pierwotne tkwią w przedmiocie (m.in. ciężar, kształt), zaś jakości wtórne płyną ze zmysłów (m.in. zapach, smak). Rozwinięciem tej teorii zajął się Immanuel Kant. Zdefiniował jakość jako „zbiór cech wyodrębnionego fragmentu subiektywnie postrzeganej obiektywnej rzeczywistości”. Wśród filozofów spotykana jest również teoria, że jakość nie istnieje. Takie podejście prezentowali m.in. Galileusz, Newton czy Laplace.

Współcześnie często definiuje się jakość jako spełnienie wymagań i oczekiwań klientów. Główny wpływ na takie postrzeganie jakości mają rozwój metod zarządzania jakością stosowanych w przemyśle, zwiększająca się konkurencja i wzrost znaczenia usług. W.E. Deming definiował jakość jako „to, co zadowala klienta” zaś jego uczeń J.M. Juran określał jakość jako „zdatość do użycia lub zastosowania”, czyli „stopień, w jakim określony wyrób zaspokaja potrzeby określonego nabywcy”. Jedną z najpopularniejszych definicji jakości jest przedstawiona w normach ISO 9001. Jakość jest definiowana jako „stopień, w jakim zbiór inherentnych właściwości spełnia wymagania”. W słowniku języka polskiego PWN jakość rozumiana jest jako „wartość czegoś, istotne cechy przedmiotu wyróżniające go spośród innych”.

Zaprezentowane powyżej definicje jakości dotyczą głównie przemysłu, w którym sprzedawany jest produkt o określonych/wymaganych cechach. Większy problem z jednoznacznym zdefiniowaniem jakości pojawia się przy usługach, ponieważ nie można ich zobaczyć czy dotknąć. Szkolnictwo wyższe dotyczy nie tylko usług typowo akademickich, czyli w zakresie nauczania i administracji, ale również usług, takich jak doradztwo zawodowe, usług wsparcia praktycznego poprzez zapewnienie akademikowi czy dostępu do dobrze wyposażonych obiektów sportowych. Wszystkie te działania mają na celu zapewnienie wsparcia w procesie uczenia się i zwiększenie satysfakcji studentów. Biorąc pod uwagę powyższe rozważania, poprzez pojęcie wysokiej jakości kształcenia należy rozumieć przygotowanie studenta do samodzielnego myślenia, dążenia do wiedzy i chęci rozwiązywania problemów, co jest rozumiane jako przygotowanie absolwenta do samodzielnej pracy na stanowisku zgodnym z profilem wykształcenia.

Rozwój koncepcji zarządzania jakością

Postęp w zakresie jakości w Stanach Zjednoczonych, Japonii oraz w Europie Zachodniej wynika w dużej mierze z dynamicznie rozwijających się w tych regionach gospodarek rynkowych. Przewyższenie konkurencji sprawia, że wysoka jakość staje się nie tylko celem, ale sposobem funkcjonowania całego przedsiębiorstwa. Takie podejście do jakości przyczyniło się do powstania koncepcji total quality management (TQM), której twórcami są m.in. Walter Andrew Shewhart, William Edwards Deming, Joseph Moses Juran, Philip Bayard Crosby, Gen'ichi Taguchi oraz Kaoru Ishikawa. Początek XX wieku to okres rozwoju TQM w system, który oprócz planowania, kontroli i poprawy jakości wytwarzanego produktu uwzględnia również szereg czynników tworzących podstawy budowania przewagi konkurencyjnej przedsiębiorstwa poprzez zapewnienie wysokiej jakości w całym procesie, np. reklamie czy sprzedaży. W okresie tym rozwijane były nowe metody zarządzania jakością, m.in. zasada Kaizen, benchmarking, reengineering, Servqual czy six sigma. Spowodowało to kolejny etap w podnoszeniu jakości, który oznaczał zaspokojenie potrzeb klientów zanim będą oni świadomi tych potrzeb. Rozwój różnych metod zarządzania jakością powoduje ich modyfikację i wzajemne przenikanie się. Obecnie przedsiębiorstwa łączą elementy różnych koncepcji poprawy jakości w zależności od potrzeb klientów. Nowy kierunek i rozwój tych metod uwzględniają również etyczne potrzeby klientów, m.in. powiązanie TQM z ideą zrównoważonego rozwoju. Przypuszcza się, że w przyszłości zyskają na jakości produkty, które powodują najmniejsze straty środowiskowe, np. mniejsze zużycie energii przy produkcji. Podsumowując, możemy stwierdzić, że szereg podejść do poprawy jakości opiera się głównie na założeniach TQM. Istnieje coraz więcej badań potwierdzających związek między przyjęciem TQM a poprawą wydajności firmy. Firmy, które wdrożyły TQM (m.in.: General Electric, Xerox, Motorola, Mar-

riott, Harley-Davidson, Ford, Allen-Bradley, Hewlett-Packard), osiągnęły duży sukces, stąd nasuwa się pytanie, czy podobny sukces mogą uzyskać uczelnie poprzez wdrożenie elementów metod zarządzania jakością?

Środowisko akademickie jest wyjątkowe i różni się od przemysłu pod wieloma względami. Jednak doświadczenia i wnioski wyciągnięte z przemysłu mogą pomóc instytucjom szkolnictwa do lepszego zrozumienia potrzeb klientów. Troska o jakość w instytucjach szkolnictwa wyższego zrodziła dyskusję dotyczącą możliwości i efektywności przełożenia metod zarządzania jakością z przemysłu na szkolnictwo wyższe. TQM jest podejściem funkcjonującym głównie w przemyśle. Pomimo iż „produkt” w odniesieniu do edukacji nie jest tym samym, co w odniesieniu do przemysłu, uczelnie mogą być ulepszone pod względem jakości i sposobu prowadzenia zajęć, nadzorowania i kierowania badaniami naukowymi oraz usprawnienia pracy administracji, korzystając z doświadczeń zaczerpniętych z przemysłu. W literaturze przedmiotu w odniesieniu do jakości w edukacji, medycynie, czyli jakości usług, proponuje się stosowanie określenia continuous quality improvement (CQI). CQI jest rozumiane zarówno jako kompleksowa koncepcja poprawy jakości w szkolnictwie wyższym (tożsama z TQM w przemyśle), ale również jako modyfikacja metod zarządzania jakością poprzez stosowanie metod tylko w poszczególnych jej elementach, m.in. w celu udoskonalenia danego przedmiotu/wykładu, poprawy sposobu prowadzenia badań naukowych lub udoskonalenia obszaru administracyjnego. Metody CQI są z sukcesem stosowane na najlepszych światowych uczelniach, m.in. w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Doświadczenia tych instytucji pokazują, że droga do osiągnięcia oczekiwanych rezultatów jest zróżnicowana i pracochłonna, jednak nagroda jest warta trudności napotykaną przy wdrożeniu tych metod. Uczelnie, które dbają o jakość, zajmują znaczące miejsce w rankingach oraz są uznawane za prestiżowe na całym świecie, m.in.



Oxford University

Zdjęcie: Wikipédia

Uniwersytet Harvarda, Uniwersytet Cambridge, Instytut Technologiczny Massachusetts, Uniwersytet Oksfordzki, Uniwersytet Wisconsin–Madison.

Badanie efektywności metod zarządzania jakością na podstawie opinii studentów Uniwersytetu Łódzkiego

W celu weryfikacji hipotezy, czy metody zarządzania jakością wdrażane na Uniwersytecie Łódzkim (UŁ) są efektywne, przeprowadziłam dwa badania empiryczne.

Pierwsze badanie zostało przeprowadzone w latach akademickich 2013/2014–2017/2018 na trzech wydziałach UŁ: Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym, Wydziale Zarządzania oraz Wydziale Filologicznym. Składało się ono z dwóch etapów. Etap pierwszy skupiał się na zapoznaniu studentów z koncepcją CQI oraz wdrożeniu tych metod wśród studentów uczestniczących w zajęciach ilościowych (matematyka i statystyka) prowadzonych na wzór uczelni amerykańskich i brytyjskich, czyli przy wykorzystaniu elementów zarządzania jakością podczas zajęć. Metody zostały dobrane w zależności od kierunku studiów i treści omawianego materiału. Wśród stosowanych metod wyróżnić należy metody aktywizujące, m.in.: dodatkowe konsultacje, zajęcia powtórzeniowe, „jednominutowe ćwiczenia” czy wykłady zaproszone. „Jednominutowe ćwiczenia” są wzorowane na metodzie stosowanej na Harvard University. Podczas ostatnich minut zajęć studenci byli proszeni o odpowiedź na trzy krótkie pytania: 1) Jaki był przewodni temat zajęć? 2) Wskaż najtrudniejsze zagadnienia poruszone na zajęciach, których nie zrozumiałeś. 3) Podaj problem/zagadnienie, które wystąpiło na ostatnim wykładzie, a o którym chciałbyś dowiedzieć się więcej.

Najważniejsze odpowiedzi uzyskujemy w punkcie drugim, gdyż wykładowca może na kolejnym spotkaniu uzupeł-

nić brakujący materiał i omówić problem jeszcze raz. Dodatkowo metoda ta korzystnie wpływa na motywację studentów oraz skupia ich uwagę na temacie zajęć. Metoda ta była również modyfikowana i stosowana na innych uczelniach, m.in. Clemson University. Po zapoznaniu studentów z tą formą aktywizacji zauważyłam, że studenci już podczas wykładu przygotowują odpowiedzi na stawiane pytania (np. zaznaczają trudniejsze przykłady zadań, zapisują zagadnienia, które ich zaciękały). Dodatkowo w trakcie trwania semestru odpowiedzi na stawiane pytania są bardziej szczegółowe i precyzyjne. Etap drugi przeprowadziłam już po ukończeniu zajęć, na których stosowano CQI. Opierał się on na badaniu kwestionariuszowym (technika CASI), które pozwoliło uzyskać opinię na temat stosowanych metod zarządzania jakością przez studentów. Każdy student uczestniczący w etapie drugim badania musiał spełniać następujące kryteria: uzyskać minimum 90% obecności na zajęciach oraz nie mógł wcześniej brać udziału w badaniu, np. z zaliczeniem warunkowym. Formularz rozpoczął się wstępem, w którym przedstawiona została tematyka badania oraz zapewnienie o anonimowości respondenta. Z pierwszej części formularza uzyskałam informacje dotyczące znajomości metod ciągłego doskonalenia jakości oraz opinii studentów na temat możliwości wprowadzenia koncepcji zarządzania jakością na polskich uczelniach. W części drugiej przedstawione zostały opinie studentów dotyczące stosowanych form aktywizacji, zaś część trzecią stanowiła metryczka.

W pierwszym etapie badania wzięło udział łącznie 1125 osób będących studentami UŁ uczestniczącymi w zajęciach, na których stosowano metody CQI. Ze względu na warunki, jakie powinni spełniać uczestnicy badania, grupa osób biorąca udział w drugim etapie stanowiła 937 osób, w tym: 51,33% to studenci Wydziału Zarządzania, 40,77% studenci Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego oraz 7,9% studenci Wydziału Filologicznego. Dominującą grupą byli studenci studiów sta-



Uniwersytet Jagielloński

Zdjęcie: Wikipedia

cjonarnych, stanowiący 70,76% badanych, pozostałe 29,24% to studenci studiów niestacjonarnych. W drugim etapie badania odpowiedzi udzieliło 237 studentów, co oznacza, że wskaźnik odpowiedzi kształtował się na poziomie 25,29%. W badaniu najchętniej uczestniczyli studenci Wydziału Zarządzania – 26,20%, następnie studenci Wydziału Filologicznego – 25,68%, zaś najniższy wskaźnik odpowiedzi uzyskałam wśród studentów Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego – 24,08%. Biorąc pod uwagę tryb studiów, częściej odpowiedzi udzielali studenci studiów stacjonarnych (25,49%) niż studenci studiów niestacjonarnych (23,72%). Wśród badanych częściej odpowiedzi udzielały studentki (64,56%).

Badanie drugie dotyczyło porównania ocen końcowych wśród studentów uczestniczących i nieuczestniczących w zajęciach z wykorzystaniem metod CQI. W badaniu tym porównano oceny końcowe wśród studentów z roku akademickiego 2017/2018 z przedmiotu matematyka (na kierunkach: finanse i rachunkowość oraz logistyka). Studenci uczestniczyli we wspólnym kolokwium z matematyki przygotowanym oraz sprawdzanym przez wszystkich prowadzących zajęcia z danego przedmiotu. Do badania wybrano losowo 10 grup studenckich dostępnych w systemie USOS. W tym 5 grup uczestniczących w zajęciach prowadzonych z wykorzystaniem metod CQI oraz 5 grup prowadzonych metodą tradycyjną. Każda z grup składała się z 3 grup studentów studiów stacjonarnych i 2 grup studentów studiów niestacjonarnych tych samych kierunków studiów.

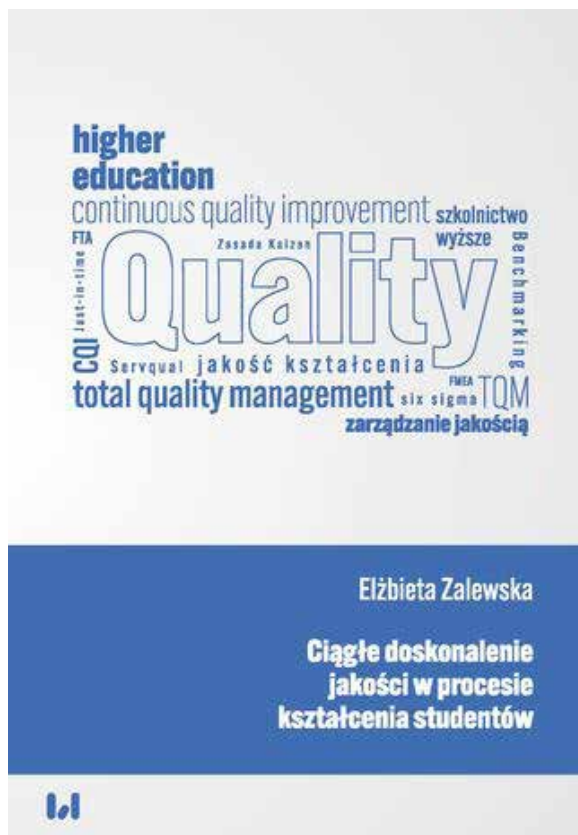
Na podstawie powyższych badań możemy sformułować następujące wnioski:

- wykładowcy akademicy powinni uwzględniać opinię studentów dotyczącą formy i sposobu prowadzenia zajęć;
- metody zarządzania jakością (CQI) poprawiają efektywność pracy ze studentami;
- tryb studiów ma wpływ na zainteresowanie metodami CQI. Studenci studiów niestacjonarnych istotnie częściej od studentów studiów stacjonarnych oceniali, że metody CQI podnoszą jakość kształcenia oraz że mogą być stosowane na zajęciach/wykładach;
- wydział, na którym studiują respondenci, ma wpływ na opinię studentów dotyczącą oceny możliwości wprowadzenia metod CQI. Studenci Wydziału Filologicznego są mniej przekonani do metod zarządzania jakością w szkolnictwie wyższym niż studenci Wydziału Zarządzania i Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego;
- studenci uczestniczący w zajęciach, na których były stosowane metody CQI, pozytywnie je oceniali. Ponadto częściej uzyskiwali lepsze oceny końcowe w porównaniu do grup, w których te metody nie były stosowane.

Ciągłe doskonalenie jakości w polskim szkolnictwie wyższym w opinii wykładowców akademickich

Ponieważ opinia wykładowców na temat efektywności i możliwości wdrożenia metod CQI może się różnić od opinii studentów, w trzecim badaniu przeprowadziłam analizy wśród wybranych pracowników naukowo-dydaktycznych prowadzących zajęcia z przedmiotów ilościowych. W badaniach uwzględniłam cztery uczelnie w Polsce: Uniwersytet Łódzki oraz trzy najlepsze uczelnie według Rankingu Uczelni Akademickich Perspektywy 2019: Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Jagielloński i Politechnikę Warszawską. Typując uczelnie do badania, posłużyłam się metodą benchmarkingu, który może być wykorzystany jako proces mierzenia i porównania uczelni z listy tzw. najlepszych jednostek.

Badanie opinii wykładowców zostało przeprowadzone w latach 2019–2021. Link do kwestionariusza został rozesłany na wylosowane adresy e-mail pracowników prowadzących zajęcia



cia z przedmiotów ilościowych. Kwestionariusz został przygotowany na wzór badania przeprowadzonego wśród studentów (badanie 1), umożliwiło to porównanie opinii badanych grup (wykładowców i studentów). Łącznie odpowiedzi udzieliły 83 osoby z 329, do których wysłano prośbę o udział w badaniu. Wśród osób, które udzieliły odpowiedzi, 57% stanowiły kobiety. Najczęściej udzieliły odpowiedzi doktorzy – 47% i doktorzy habilitowani – 34%, najmniej opinii uzyskano od profesorów – 6%.

Z przeprowadzonych badań otrzymałam następujące wnioski i zalecenia:

- wprowadzenie metod i technik zarządzania jakością przystosowanych do szkolnictwa wyższego pozytywnie wpływa na poprawę jakości kształcenia;
- respondenci są zgodni co do efektywności metod CQI. Zarówno studenci, jak i wykładowcy oceniają metody CQI jako efektywne i możliwe do wdrożenia na polskich uczelniach;
- studenci są bardziej zainteresowani zastosowaniem metod CQI w szkolnictwie wyższym niż nauczyciele akademicy. Zatem należy propagować te metody na konferencjach dydaktycznych oraz w dyskusjach akademickich zarówno wśród wykładowców, jak i studentów;
- respondenci zamierzają stosować metody CQI w praktyce, gdy zostaną one jednoznacznie określone i zmodyfikowane w zależności od charakteru uczelni oraz odpowiednio przygotowane do środowiska akademickiego poprzez powszechne dokształcanie i podnoszenie kwalifikacji, w szczególności kadry akademickiej.

W artykule wykorzystano fragmenty książki E. Zalewskiej *Ciągłe doskonalenie jakości w procesie kształcenia studentów*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, 2024.

Dr Elżbieta Zalewska, Katedra Metod Statystycznych,
Wydział Ekonomiczno-Socjologiczny Uniwersytetu Łódzkiego

Profesorka od szczepionki

Janusz Zeyland współpracował z laboratorium Zakładu Mikrobiologii Lekarskiej UP, w którym pracowała Eugenia. Pozyskiwał stamtąd wyniki dla swoich pacjentów. Piasecka była już wówczas cenionym bakteriologiem. Ich współpraca dała efekty naukowe, ponieważ zajmowali się tym samym problemem, tylko z innej strony. Eugenia badała prątki gruźlicy, a Janusz leczył młodych pacjentów z tą chorobą.

Eugenia Jadwiga Zeylandowa urodziła się 25 lutego 1899 roku w Krakowie. Była najstarszym z pięciorga dzieci Eugeniusza Piaseckiego (1872-1947) i Gizeli Marii Szelińskiej (1877-1946). Według Doroty Mazurczak przyszła uczona miała największe osiągnięcia wśród kobiet Uniwersytetu Poznańskiego swojego czasu (*Kariery akademickie kobiet w Polsce międzywojennej – Uniwersytet Poznański. Kobiety i kultura*. Warszawa, DIG, t. IV, s. 135).

Środowisko rodzinne

Rodzina Piaseckich miała tradycje lekarskie. Dziadek Wenanty Piasecki (1832-1909) wykształcił się w Pradze, zajmował się promowaniem kultury fizycznej i leczeniem uzdrowiskowym. Od 1879 roku mieszkał w Tatrach, gdzie prowadził ośrodki wodolecznicze. Ojciec Eugenii urodził się we Lwowie, studiował w Krakowie, był teoretykiem wychowania fizycznego, narciarzem, tatarnikiem, działaczem harcerskim. Przed II wojną i po niej był profesorem Uniwersytetu Poznańskiego, twórcą Studium Wychowania Fizycznego przy Wydziale Lekarskim UP (później przekształconego w Akademię Wychowania Fizycznego), autorem wielu prac z dziedziny wychowania fizycznego i medycyny. Matka przyszłej lekarki pochodziła z zamożnej żydowskiej rodziny Silberfeld-Krasnik, która od pokoleń mieszkała na krakowskim Kazimierzu. Podczas wojny Gizela zmieniła nazwisko na Szelińska, którym posługiwała się także później.

Pierwsze kroki edukacyjne

Eugenia urodziła się w Krakowie, jednak jeszcze w tym samym roku Piaseccy przenieśli się do Lwowa. Ojciec objął tam posadę wykładowcy uniwersyteckiego. Uczył higieny szkolnej i wychowania fizycznego. Pracował także jako nauczyciel gimnastyki w gimnazjum. Dzieci Piaseckich rozpoczęły edukację we Lwowie, ale wraz z wybuchem I wojny światowej przenieśli się do Zakopanego. W tym samym czasie głowa rodziny pracowała w Polskim Kolegium Uniwersyteckim w Kijowie (1914-1918). Eugenia Piasecka przystąpiła do matury w 1917 roku, a po niej rozpoczęła studia medyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od 1918 roku angażowała się też w pracę laboratorium chemiczno-bakteriologicznego Szpitala Czerwonego Krzyża w Zakopanem. Odbывała tam praktyki.

Eugenii nie dane było kontynuować studiów w Krakowie. Po I wojnie światowej ojciec został jednym z organizatorów Uni-

wersytetu Poznańskiego. Został kierownikiem Katedry Teorii Wychowania Fizycznego i Higieny Szkolnej przy Wydziale Filozoficznym UP. Piaseccy przenieśli się do Poznania, a Eugenia rozpoczęła studia chemiczne na uczelni, w której zatrudniono ojca. Wydział Lekarski UP jeszcze wtedy nie istniał. Podczas wojny polsko-bolszewickiej Eugenia Piasecka pracowała jako sanitariuszka w pociągu Czerwonego Krzyża, który służył jako mobilny szpital. W 1921 roku podjęła studia medyczne na nowo otwartym Wydziale Lekarskim UP.

Wybór ścieżki zawodowej

Zainteresowania naukowe Eugenii nie były przypadkowe. Z jednej strony duży wpływ wywarli na nią ojciec i dziadek. Obaj zajmowali się profilaktyką i medycyną. Obserwowała zakłady medyczne dla gruźlików w Zakopanem, w którym mieszkała. Wojna spowodowała wzrost zachorowań na tę podstępą chorobę. Podczas studiów medycznych na UJ mówiło się o tym. Organizowano szkolenia dla ludności cywilnej. Nie bez znaczenia była też wspomniana praktyka w laboratorium Szpitala Czerwonego Krzyża. Placówka była przeznaczona dla chorych legionistów i znajdowała się w dawnym zakładzie wodoleczniczym w Zakopanem. Gruźlica była wtedy jeszcze jedną z najgroźniejszych chorób ludzkości, a więc wybór takiego tematu badawczego był nie tylko interesujący poznawczo, ale też miał swój ciężar gatunkowy jako problem społeczny.

W 1924 roku Eugenia otrzymała dyplom lekarza, a po zdaniu egzaminu klinicznego tytuł „doktora wszech nauk lekarskich” (odpowiednik dzisiejszego tytułu zawodowego lekarza). W trakcie studiów była demonstratorką, a potem młodszą asystentką w Katedrze Chemii Fizycznej UP. Od 1925 roku była adiunktem w Zakładzie Mikrobiologii Lekarskiej UP, gdzie badała odkryte w 1882 roku prątki gruźlicy, zwane inaczej, na cześć ich odkrywcy, prątkami Kocha.

Badawczy tandem

Przyszłego męża, Janusza Zeylanda (ur. 1897 w Poznaniu), Eugenia poznała na uczelni. Jego ścieżka edukacyjna była także zawiła, głównie przez losy wojenne. Janusz Zeyland zdał maturę w Poznaniu, studia medyczne rozpoczął w Berlinie, ale został powołany do armii niemieckiej, w której służył do 1918 roku. Potem przyłączył się jako ochotnik do Wojska Polskiego i brał udział w powstaniu wielkopolskim. Najpierw walczył na froncie



Źródło: wcpn.pl

Eugenia Piasecka-Zeylandowa



Źródło: poznan.fandom.com/wiki

Janusz Zeyland

południowo-zachodnim, potem uczestniczył w odsieczy Lwowa, a w marcu 1921 roku dostał się do niewoli bolszewickiej. Po demobilizacji kontynuował studia na Uniwersytecie Warszawskim, a w 1922 roku przeniósł się na Uniwersytet Poznański. Studia ukończył w tym samym roku co Eugenia i rozpoczął pracę w Zakładzie Anatomii Patologicznej, a od 1927 roku kontynuował ją w Klinice Pediatrii UP.

Janusz Zeyland współpracował z laboratorium Zakładu Mikrobiologii Lekarskiej UP, w którym pracowała Eugenia. Pozyskiwał stamtąd wyniki dla swoich pacjentów. Piasecka była już wówczas cenionym bakteriologiem. Ich współpraca dała efekty naukowe, ponieważ zajmowali się tym samym problemem, tylko z innej strony. Eugenia badała prątki gruźlicy, a Janusz leczył młodych pacjentów z tą chorobą. Pobrali się 16 czerwca 1926 roku w Kościele Matki Boskiej Bolesnej w Poznaniu i zamieszkali razem na ulicy Ratajczaka 11 w podwórzu (obecnie nr 26).

Szczególne znaczenie miał wyjazd małżonków do Paryża. Eugenia zajęła się badaniem szczepionki przeciw gruźlicy BCG (Bacille Calmette-Guérin). Preparat zawierał osłabione prątki gruźlicy bydlęcej i jak do tej pory był najczęściej podawaną szczepionką przeciw tej chorobie. Eugenia miała do niej dostęp w laboratorium mikrobiologicznym Instytutu Pasteura w Paryżu, pracując pod opieką i kuratelą prof. Jana Danysza (1860-1928). Janusz był gościem w Klinice Pediatrycznej Uniwersytetu Paryskiego u prof. Antoine Bernarda-Jeana Marfana (1858-1942). Zeylandowie przywieźli do Polski atenuowany (osłabiony) szczep prątka gruźlicy bydlęcej, który udało się uzyskać poprzez długotrwałą hodowlę na podłożu z żółci bydlęcej. Otrzymali go w darze od szefa Instytutu – Alberta Calmette'a (1863-1933).

Substancja posłużyła do dalszych badań oraz produkcji szczepionki w Polsce. Zeylandowie zorganizowali w 1928 roku pierwszy punkt szczepień przeciwgruźliczych dla dzieci. Zlokalizowany był w Poznaniu. Zaczęli popularyzować na konferencjach środowiskowych koncepcję szczepień przeciwgruźliczych sposobem Calmette'a. Eugenia ustaliła, że prątki Kocha

ze szczepionki przenikają przez ścianę przewodu pokarmowego. Potwierdził to w Paryżu sam Calmette. W 1930 roku Akademia Lekarska w Paryżu przyznała małżeństwu nagrodę im. Pannetiera za wkład w badania prowadzone nad szczepionką BCG. Ich największe zasługi dotyczyły dostarczenia dowodów na jej skuteczność i bezpieczeństwo. Rok później otrzymali srebrny medal od Uniwersytetu Poznańskiego za pracę pt. Wynik 50 badań pośmiertnych dzieci szczepionych za pomocą BCG (1931).

Dorobek naukowy

W 1935 roku Eugenia Piasecka-Zeylandowa wydała podręcznik *Bakteriologiczne rozpoznawania gruźlicy u ludzi*. Odbyła też podróże naukowe do Wielkiej Brytanii, Holandii i Niemiec, by zwiedzić tamtejsze placówki zajmujące się gruźlicą. Dwa lata później uzyskała habilitację na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie w zakresie mikrobiologii lekarskiej. Venia legendi przeniesione zostało na Wydział Lekarski UP, gdzie była zatrudniona. Jak zauważyła Małgorzata Taborska, stało się to niemal dekadę później po mężu (*Eugenia Piasecka-Zeylandowa – lekarz-mikrobiolog, specjalistka od prątka Kocha i walki z gruźlicą* <https://iderepublica.pl/znani-nieznan>). Z jednej strony wynikało to z warunków międzywojennych. Kariery akademickie kobiet były jeszcze rzadkością. Z drugiej, duże znaczenie miała specyfika badań. Habilitacja z pediatrii Janusza Zeylanda opierała się na analizie statystycznej danych medycznych pacjentów z gruźlicą. Eugenia musiała dopracować warunki badań, wyselekcjonować szczepy choroby, przygotować podłoża do hodowli, zrealizować samą hodowlę, wykonać systematyczne obserwacje i analizy, a to wszystko pochłaniało mnóstwo czasu.

W 1938 roku małżeństwo Zeylandów otrzymało stypendium naukowe im. Marszałka Piłsudskiego na podróż do USA. Jak twierdzi Henryk Siciński, nie skorzystali z niego z obawy przed zbliżającą się wojną (*O życiu i działalności naukowej Eugenii Piaseckiej-Zeylandowej*, „Acta Medicorum Polonorum” 2018, nr 8, z. 1, s. 69).

Wojna

Po zajęciu Poznania Niemcy zdecydowali się usunąć ludność, która nie zamieszkiwała tam przed 1918 rokiem. Zeylandowie trafili do obozu przesiedleńczego na Głównej w Poznaniu (Internierungslager Glowna), gdzie przebywali do 1940 roku. Później skierowano ich do Warszawy, gdzie mieli podjąć pracę w Szpitalu Wolskim. Eugenia trafiła do pracowni chemiczno-bakteriologicznej. Działały tam struktury podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Ziemi Zachodnich, odbywały się odprawy komórek państwa podziemnego i działał tajny związek „Żegota”, którego celem była pomoc ludności żydowskiej z getta. Wiosną 1941 roku przy szpitalu powstało Centralne Laboratorium Gruźlicze (CLG), nieco później Oddział Gruźlicy Młodzieżowej. Zarówno Eugenia, jak i Janusz byli wykładowcami na tajnych kompletach. Kontynuowali także prowadzenie badań naukowych.

Parę dni po wybuchu powstania warszawskiego mąż Eugenii pojechał do szpitala, żeby pomóc w jego ewakuacji. Został zamordowany we własnym gabinecie przez gestapowców z oddziału majora Maxa Recka (Kampfgruppe „Reinefarth”). To traumatyczne doświadczenie zaważyło na dalszych losach Eugenii.

Życie bez męża

Bezpośrednio po tym jak została wdową, postawiła sobie za cel podsumowanie dorobku męża. Zredagowała pracę monograficzną pt. *Prątek gruźlicy* (1948), potem zadbała o ukazanie się innych tekstów. Przez krótki czas przebywała w Podkowie Leśnej, potem w Makowie Podhalańskim. Zimą 1945 roku zatrudniła się na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nie pozostała tam jednak długo. O przyczynach trudno wnioskować. Zapewne zdecydował się najlepszy stan zdrowia. Zachowały się informacje o leczeniu w Klinice Położnictwa i Chorób Kobietych UJ. Pod koniec 1946 roku Eugenia Piasecka-Zeylandowa przeprowadziła się do Istebnej koło Wisły, gdzie prowa-

dziła Laboratorium Bakteriologiczne w Wojewódzkim Zakładzie Lecznico-Wychowawczym imienia Józefa Piłsudskiego. W 1950 roku była już bardzo schorowana (według kierownika placówki cierpiała na sclerosis multiplex). Odeszła 5 stycznia 1953 roku w Istebnej. Spoczywa razem z mężem Januszem Zeylandem na cmentarzu Jeżyckim w Poznaniu.

Upamiętnienie

Pośmiertnie, w 1967 roku, przyznano Eugenii Piaseckiej-Zeylandowej tytuł honorowego członka Polskiego Towarzystwa Ftyzjopneumologicznego. W 1975 roku Wielkopolskie Centrum Pulmonologii i Torakochirurgii w Poznaniu uznało małżeństwo Zeylandów za swoich patronów. Dorobek bakteriologiczny to przede wszystkim studia nad prątkami gruźliczymi pod kątem ich żywotności, szybkości wzrostu, reakcji na środowisko, zależności od rodzaju podłoża i sposobu przenikania do organizmu. Już w latach dwudziestych chwalono ją w Paryżu za udowodnienie przenikania prątków przez ściany przewodu pokarmowego. To m.in. dzięki jej wynikom wprowadzono międzynarodowy program szczepień preparatem BCG. Zeylandowa jest autorką ponad 50 tekstów i publikacji monograficznych wydanych samodzielnie i wspólnie z mężem. Znaczna część publikacji ukazała się w czasopiśmie „Gruźlica” wydawanym przez Polskie Towarzystwo Badań nad Gruźlicą oraz w „Nowinach Lekarskich” Wydziału Lekarskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk UP.

Małżeństwo Zeylandów to rzadki przykład tak ścisłej współpracy na poziomie naukowym. Piasecka-Zeylandowa badała prątki gruźlicy i do 1939 roku przygotowywała szczepionki. Zeyland zajmował się gruźlicą jako chorobą, zbierał wiedzę o jej przebiegu i sposobach leczenia. Badał też skutki szczepień. W okresie międzywojennym małżeństwo było pospół głównym organizatorem szczepień dla polskich dzieci. Uratowali mnóstwo istnień ludzkich.

Leszek Szaruga już nic nie napisze

Odszedł od nas 15 października. Przez 30 lat napisał dla „Forum Akademickiego” ponad 300 felietonów pod hasłem „Na marginesach nauki”; ukazywały się na ostatniej stronie miesięcznika. Ostatni napisany dla „Forum” tekst Leszka zatytułowany „Polak potrafi” ukazał się w październikowym numerze „Forum Akademickiego” dokładnie w dniu jego śmierci. Jest poświęcony znakomitemu popularyzatorowi nauki Maciejowi Kaweckiemu.

Właściwie nazywał się Aleksander Wirpsza. Jednak do redakcji trafił jako Szaruga. Poszukiwaliśmy felietonisty. Zapytałem o pomysł Grzegorza Filipa, który jeszcze nie pracował w „Forum Akademickim” (wówczas czasopismo nosiło tytuł „Przegląd Akademicki”), ale redagował stworzony przez siebie kwartalnik literacki „Kresy”. Podpowiedział mi Leszka Szarugę, który akurat miał być w Lublinie na konferencji naukowej. Spotkałem się z nim na lubelskim Zamku. Nie znał mnie, a jednak bez trudu dał się namówić na pisanie dla nas. Tak zaczęła się nasza wspólna historia na odległość, która trwała do ostatnich dni Leszka.

Profesor Aleksander Wirpsza, bo był tytułarnym profesorem nauk humanistycznych, był poetą, prozaikiem, eseistą, tłumaczem poezji niemieckiej, rosyjskiej i ukraińskiej, wykładowcą uniwersyteckim związanym z Uniwersytetem Warszawskim, gdzie ukończył filozofię, a potem przez lata wykładał, i Uniwersytetem Szczecińskim, gdzie w 1992 r. po-

powrocie z emigracji do Polski znalazł pracę. Był laureatem Nagrody Kościelskich i nagrody literackiej „Kultury”. Posługiwał się w życiu kilkoma pseudonimami literackimi, ale ten najpowszechniej znany, którym podpisywał felietony w „Forum” – Leszek Szaruga – przybrał w 1968 roku podczas buntu studenckiego, w którym uczestniczył, za co został aresztowany i wyrzucony ze studiów na UW. Pracował w antykwaracie Gebethnera i Wolffa, jako ślusarz w Miejskim Przedsiębiorstwie Remontu Dźwigów Osobowych w Warszawie, jako pomoc muzealna w Muzeum Historii Miasta Stołecznego Warszawy, gdzie powstała jego pierwsza praca naukowa – bibliografia życia literackiego Warszawy za lata 1918–1926. W 1972 r. dostał pozwolenie na ponowne podjęcie studiów. W latach 70. i 80. był redaktorem pism drugiego obiegu, takich jak „Puls”, „Wezwanie”. Współpracował z sekcją polską Radia Wolna Europa i „Kulturą”, gdzie był szefem działu poezji. W latach 1987–1990 mieszkał w Berlinie Zachodnim.

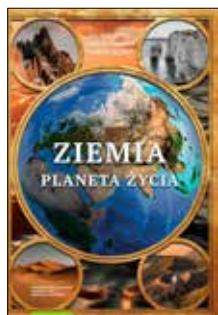
Kilka lat temu zmarł przedwcześnie inny wieloletni współpracownik „Forum Akademickiego” dr Jan Kozłowski, świetny analityk, znawca akademickich imponderabiliów. Potem odszedł prof. Piotr Hübner, który latami pisywał dla nas i dla Państwa swój cykl świetnych artykułów o historii polskiej nauki. Śmierć Leszka to kolejna strata redakcji i Czytelników „Forum Akademickiego”.

Piotr Kieraciński



Fot. Tomasz Czajkowski / Inter.NIN

Przesłość i przyszłość Ziemi



Ziemia. Planeta życia to dobrze napisana książka popularnonaukowa, która wyjaśnia podstawowe zjawiska związane z powstawaniem Wszechświata i życia na Ziemi, nie przytłaczając nadmiarem terminologii i skomplikowanych opisów. Może być lekturą zarówno nastolatka chcącego poszerzyć wiedzę, jak i starszego czytelnika niebędącego ekspertem w temacie.

Poszczególne rozdziały koncentrują się wokół trzech głównych zagadnień dotyczących Ziemi: jej miejsca we Wszechświecie, budowy geologicznej oraz rozwoju życia. Wszystkie te tematy łączą się ze sobą, ponieważ to szczególne umiejscowienie w Układzie Słonecznym ma związek z budową geologiczną naszej planety, a w konsekwencji z możliwością powstania na niej żywych organizmów.

Zagadnienia związane z Kosmosem przedstawia nam Andrzej Strobela. Opisuje on wyobrażenia na temat Wszechświata funkcjonujące od starożytności poprzez zmiany wywołane przewrotem kopernikańskim aż do współczesnej wiedzy o budowie Wszechświata. Pokazuje również ewolucję Układu Słonecznego i prognozuje jego przyszłe losy. Ponieważ obiekty należące do niego wciąż na siebie oddziałują, jego wygląd będzie się powoli zmieniał. Za miliard lat może dojść do utraty stabilizacji osi obrotu Ziemi na skutek zmian oddziaływania Księżyca, który oddala się od Ziemi o około 4,5 cm na rok. To mogłoby doprowadzić do zmiany warunków klimatycznych na naszej planecie. W bliższej perspektywie czasowej może przydarzyć się uderzenie w Ziemię planetoidy mogącej doprowadzić do dużych lokalnych zniszczeń – to jednak ryzyko 1 na 100 000 w ciągu najbliższych 50 lat. Największe znaczenie dla życia na Ziemi ma Słońce, które w końcu wchłonie najbliższej położone planety. Na szczęście mamy jeszcze miliardy lat, by się do tego przygotować. Czy uda nam się do tej pory skolonizować inną, bezpieczniejszą planetę?

Ciekawie zapowiada się też przyszłość geologiczna Ziemi, choć niekoniecznie korzystnie dla przetrwania naszego gatunku. Andrzej Sadurski przewiduje jej wygląd za 50 milionów lat na podstawie dzisiejszych zjawisk i procesów geologicznych. Obie Ameryki zblizną się do siebie, poszerzy się Atlantyk, Afryka i Eurazja się połączą, a w miejscu Morza Śródziemnego powstaną młode góry fałdowe. Europa Północna, zwłaszcza Skandynawia, znajdują się za kołem polarnym. Prawdopodobnie zamknie się Cieśnina Beringa, a Australia przesunie na południe i połączy z Nową Gwineą. Zmiany nastąpią też w zakresie fauny i flory. „Jeżeli dominujący obecnie gatunek, należący do naczelnych, wybierze się w podróż kosmiczną w poszukiwaniu nowej planety do zasiedlenia, można wnioskować o odrodzeniu się wielu gatunków, w tym ssaków. W przypadku niepowodzenia w podróży kosmicznej Ziemi może zagrażać poważna katastrofa”.

Ewolucję życia na Ziemi omawia Jan Kopcewicz. Być może nigdy nie poznamy rzeczywistego przebiegu procesu powstania życia, możemy jednak określić, co jest niezbędne, aby w naturalny sposób mogła powstać żywa komórka i gdzie na naszej planecie te warunki mogły być spełnione. Prawdopodobnie wydarzyło się to około 4 miliardów lat temu, a 2 miliardy lat później doszło do połączenia się komórki bakteryjnej z komórką archeonu i powstania komórki eukariotycznej, która mogła ewoluować do bardziej skomplikowanych form. Historia małych człękoksztalnych, z których wyodrębniła się linia ewolucyjna człowieka, rozpoczęła się około 20 milionów lat temu. Rozwój mózgu ludzkiego zapewnił nam dominację w przyrodzie i możliwość stworzenia cywilizacji. Czy umożliwi nam również porażenie sobie z aktualnymi problemami życia na Ziemi? Autor wymienia tu m.in. zagrożenia klimatyczne, dewastację biosfery oraz groźbę konfrontacji nuklearnej, a także przewiduje, jak będzie wyglądało życie w przyszłości.

Justyna Jakubczyk

Jan KOPCEWICZ, Andrzej SADURSKI, Andrzej STROBEL, *Ziemia. Planeta życia*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2024.

Wielki teatr świata



Czy można wykoleić wagonik, którym jedzie kilka osób, aby uratować jedną, która leży na torach? Wielu wyczuwa w słynnym dylemacie wyraźną sztuczność; problem z etyką nie polega często na tym, że stajemy w obliczu konfliktu tragicznego (dokonujemy wyboru między równorzędnymi, fundamentalnymi wartościami), ale że w mnogości okoliczności towarzyszących, w złożonym kontekście dylemat nie zarysowuje się wyraźnie i często dopiero po fakcie się okazuje, co tak naprawdę wybraliśmy i jakie są konsekwencje. Można się długo spierać o najlepsze rozwiązanie dylematu wagonika, ale wpływ takiej debaty na zdolność do podejmowania świadomych decyzji etycznych w realnym życiu może być skromny.

Waldemar Rapior wychodzi z podobnego założenia; jest także przekonany o ograniczonej przydatności laboratoryjnych eksperymentów psychologicznych, takich jak słynne badania Stanleya Milgrama nad posłuszeństwem i stanfordzki eksperyment więzienny Philipa Zimbardo, szczególnie że ich reprezentacja medialna ogranicza się często do stwierdzeń, że jakiegokolwiek uwewnętrznione przekonania moralne to złudzenie i wystarczy odpowiednio zaaranżować sytuację, aby w każdym z nas ujawnił się kat.

Rapior zdecydował się zatem wykorzystać nowoczesny teatr, aby sytuacja z jednej strony była zaaranżowana i do pewnego stopnia kontrolowana, z drugiej zaś dynamika między jej sztucznością a naturalnymi reakcjami uczestników umożliwiała im zachowywanie się w zgodzie ze sobą i pełną świadomość tego, w czym biorą udział (i że mogą w każdej chwili wyjść). Grupy uczestników podczas otwartych i zamkniętych spektakli zadawały aktorowi-performerowi zadania, mając zawsze do wyboru trzy możliwości, często wszystkie budzące kontrowersje. Jednocześnie udział zawodowego performerera dodawał sytuacji dodatkowego wymiaru: uczestnicy często argumentowali, że jest on profesjonalistą, zatem można sobie z nim pozwolić na więcej, gdyż jest on wdrożony (przynajmniej do pewnego stopnia) do publicznych transgresji. Współczesny teatr w wielu przypadkach demontuje czwartą ścianę i zaprasza widzów do partycypacji, co prowokuje pogłębioną refleksję na temat natury samego medium. Do jakiego stopnia mamy na scenie do czynienia z sytuacją umowną, a dalej: jakie związki zachodzą między tak rozumianym teatrem a rzeczywistością poza sceną? (Zwłaszcza jeśli zdajemy sobie sprawę, że to, co nazywamy „realnym życiem”, także często ulega teatralizacji).

Autor skupił się na pozornie abstrakcyjnym, ale ważnym także z punktu widzenia laika problemie: Czy moralność 1) jest zbiorem uwewnętrznionych (choć nie zawsze uświadomionych) reguł, które przywołujemy, gdy sytuacja tego wymaga; 2) rodzi się w interakcjach społecznych; 3) bazuje przede wszystkim na reakcjach emocjonalnych, które następnie racjonalizujemy? Zadania takie jak dylemat wagonika miałyby sens wówczas, gdyby prawdziwa była przede wszystkim pierwsza odpowiedź. Tymczasem książka wskazuje na fascynująco wysoki poziom samoświadomości uczestników i to, jak potrafili oni zwięźle (podlegali ograniczeniom czasowym) komunikować rezultaty tego wglądu innym uczestnikom. Nawet szybka wymiana zdań prowadziła do jasnego moralnego konsensusu, który jednak nie był czystym decyzyjnizmem (liczy się dokonany wybór, nie jego motywacje), ale bazował (po części) na istniejących już w uczestnikach przekonaniach i na odczuciach (w tym empatii wobec performerera). We współczesnej kulturze „zajrzenie w ludzką duszę” często wiąże się przede wszystkim z odkrywaniem w niej potworności; książka Rapiora zawiera optymistyczne (a jednocześnie poparte badaniami) przesłanie, że skrzywdzenie nawet kogoś, kto jest na to gotowy, budzi w większości ludzi wyraźny opór i sprzeciw.

Marek Misiak

Waldemar RAPIOR, *Moralność milcząca. Odślanianie interakcyjnych mechanizmów moralności poprzez post-teatr*, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych Universitas, Kraków 2024.

Polska poza Polską



Emigracje z Polski następowały już od średniowiecza i miały różnorodny charakter. Mimo to w krajowej edukacji szkolnej najwięcej mówiło i mówi się o roli XIX-wiecznego uchodźstwa, nazywanego Wielką Emigracją. Jednak tuż po upadku PRL, a także w ostatnich latach pojawiają się wypowiedzi i działania ukazujące znaczenie dwudziestowiecznej emigracji o rodowodzie wojennym i politycznym (1939–1990). To właśnie przedstawiciele tej emigracji niepodległościowej, rozproszeni po świecie, na

różne sposoby rozwijali kulturę polską poza Polską. Z wielką determinacją i poświęceniem zakładali m.in. wydawnictwa, stowarzyszenia, biblioteki, kluby, a także szkoły (na każdym poziomie edukacji). Szczególne zasługi na tych obszarach aktywności społeczno-kulturalnej ma społeczność emigrantów w Wielkiej Brytanii, gdzie – jak wiadomo – miały swoje siedziby władze Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie oraz liczne organizacje.

W 1953 r. w Londynie powołano Polską Macierz Szkolną Zagranicą (z czasem bez ostatniego słowa w nazwie), nawiązującą do instytucji o takiej samej nazwie i funkcjonującej na ziemiach polskich w okresie zaborów. Wśród założycieli stowarzyszenia byli m.in. gen. Władysław Anders, nauczyciele, księża i inni działacze emigracyjni. Członkowie PMS starali się zadbać o przyszłość dzieci, obawiali się wynarodowienia młodych Polaków. Dlatego Polska Macierz Szkolna skonsolidowała i skoordynowała działalność wielu polskich szkół sobotnich – zarówno istniejących, jak i nowo powstających.

Z okazji jubileuszu siedemdziesięciolecia PMS wydano książkę łączącą cechy albumu i monografii. Bogata tekstowo i zdjęciowo publikacja w rzeczowy i zarazem bardzo interesujący sposób przybliżyła nie tylko historię organizacji, ale przede wszystkim jej współczesne oblicze. Autorami są osoby uczestniczące w działalności PMS, doskonale znające instytucję i realia jej funkcjonowania. Trzeba jednak zaznaczyć, że mimo niewątpliwego zaangażowania emocjonalnego w stosunku do opisywanej instytucji zachowują pewien dystans, który pozwala im dostrzegać różnorodne wyzwania, m.in. problemy organizacyjno-finansowe, merytoryczne i społeczne, na czele z niewystarczająco dużym zrozumieniem i zaangażowaniem wśród obecnej, wciąż przecież licznej społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii.

W momencie przygotowywania książki Polska Macierz Szkolna zrzeszała blisko sto polskich szkół sobotnich w Anglii, Walii, Irlandii Północnej i Szkocji, do których uczęszczało ok. 17 tys. dzieci (obecnie oba wskaźniki są wyższe). Dla instytucji pracowało i pracuje wielu emigracyjnych twórców edukacji i kultury, a jej bogaty i różnorodny dorobek wciąż się powiększa, odpowiadając na wyzwania płynące z obecności dużej liczby Polaków w Wielkiej Brytanii.

Z lektury jubileuszowej książki, a także z mojej współpracy z PMS i badań nad jej dorobkiem publikacyjnym płynie m.in. następujący wniosek: osoby zaangażowane w działalność tej charytatywnej organizacji mają w sobie romantyczny zapał, który przekładają na pozytywistyczne metody. Dlatego z sukcesami prowadzą szkoły, organizują liczne wydarzenia dla dzieci, nauczycieli i rodziców, jak również wydają książki i czasopisma oraz przygotowują uczniów do egzaminów z języka polskiego na poziomach GCSE i A-Level. Dzięki temu wspólnemu wysiłkowi młodzi Polacy uczący się w brytyjskich szkołach nie tracą polskiej tożsamości i jednocześnie zyskują tak cenną dziś znajomość kolejnego języka.

Omawiana książka jest wielobarwnym – opartym na dokumentach, wspomnieniach i fotografiach – szkicem do portretu tej zasłużonej instytucji polskiej na emigracji.

Marcin Lutomiński

Polska Macierz Szkolna w roku 70-lecia, praca zbiorowa, zespół redakcyjny: Dorota CHMIELEWSKA, Katarzyna KOWALCZYK, Małgorzata LASOCKA, Aleksandra PODHORODECKA, Polska Macierz Szkolna w Wielkiej Brytanii, Londyn 2023.

Nowe wartości



Wciąż jeszcze zdarzają się uczeni, którzy piszą prace naukowe ręcznie, długopisem w zeszyte, po czym przepisują je na komputerze, w Wordzie. Ale coraz więcej jest już naukowców, którzy w pracy korzystają z menedżerów bibliografii, notatników cyfrowych, a nawet sztucznej inteligencji. Narzędzia te powoli zastępują kartkę i długopis, a nawet – w przypadku chatu GPT – pamięć. Paradoksalnie jednak, „oszczędzając” nasz czas, stwarzają więcej przestrzeni na kreatywne myślenie, pracę koncepcyjną i tworzenie innowacyjnych rozwiązań. Może więc warto z nich korzystać również humanistom? Nie ma co do tego wątpliwości Anna Matysek, która postanowiła ułatwić filozofom, historykom, językoznawcom, literaturoznawcom, archeologom, kulturoznawcom i badaczom sztuki cyfrowe zarządzanie wiedzą.

Książka Anny Matysek jest pierwszą pracą, która proponuje systemowe rozwiązanie zawierające wykaz procesów i narzędzi zarządzania indywidualną wiedzą wspierających humanistów w pracy naukowej. Zanim jednak autorka zaprezentowała swój model, pierwsze rozdziały poświęciła sprecyzowaniu pojęć, przedstawieniu innych modeli zarządzania wiedzą oraz systemów zarządzania wiedzą również w aspekcie historycznym, przeglądowi badań wykorzystania narzędzi cyfrowych przez humanistów i – w końcu – wynikiem własnego badania ankietowego przeprowadzonego wśród 180 polskich reprezentantów nauk humanistycznych. Badanie wykazało, że choć tradycyjna, papierowa forma materiałów badawczych przenika się z materiałami cyfrowymi, to skala wykorzystania zaawansowanych programów analitycznych przeznaczonych dla humanistyki cyfrowej jest niewielka. Wielu badanych wykorzystuje też notatniki cyfrowe czy menedżery bibliografii. Część ankietowanych deklaruowała problemy z organizacją materiału i zarządzaniem literaturą przedmiotu. Dla tych osób szczególnie przydatny może być ostatni rozdział omawianej książki.

Książka Anny Matysek jest pierwszą pracą, która proponuje systemowe rozwiązanie zawierające wykaz procesów i narzędzi zarządzania indywidualną wiedzą wspierających humanistów w pracy naukowej. Zanim jednak autorka zaprezentowała swój model, pierwsze rozdziały poświęciła sprecyzowaniu pojęć, przedstawieniu innych modeli zarządzania wiedzą oraz systemów zarządzania wiedzą również w aspekcie historycznym, przeglądowi badań wykorzystania narzędzi cyfrowych przez humanistów i – w końcu – wynikiem własnego badania ankietowego przeprowadzonego wśród 180 polskich reprezentantów nauk humanistycznych. Badanie wykazało, że choć tradycyjna, papierowa forma materiałów badawczych przenika się z materiałami cyfrowymi, to skala wykorzystania zaawansowanych programów analitycznych przeznaczonych dla humanistyki cyfrowej jest niewielka. Wielu badanych wykorzystuje też notatniki cyfrowe czy menedżery bibliografii. Część ankietowanych deklaruowała problemy z organizacją materiału i zarządzaniem literaturą przedmiotu. Dla tych osób szczególnie przydatny może być ostatni rozdział omawianej książki.

Proponowany przez autorkę model systemu zarządzania indywidualną wiedzą naukową w humanistyce obejmuje czynności związane z poszukiwaniem, gromadzeniem, przetwarzaniem, tworzeniem i upowszechnianiem wiedzy. Na każdym z tych etapów pomocne mogą być narzędzia cyfrowe i tak np. aplikacje Mendeley, Paperpile czy Zotero pomagają w wyszukiwaniu publikacji naukowych (i nie tylko), a serwisy ResearchGate czy Academia.edu umożliwiają promowanie wyników badań. Autorka wymienia kilkadziesiąt różnych programów, które mogą być inspiracją dla czytelników. Jak jednak sama przyznaje, aby zweryfikować jej model, należałoby „przeszkolić pewną grupę badaczy (...), którzy wdrożyliby system do pracy naukowej; monitorować wybraną grupę badaczy, która systematycznie pracowałaby (...). Jest to plan długofalowy”. Tymczasem te cyfrowe technologie zdają się zmieniać o wiele szybciej niż humaniści są skłonni się do nich wdrożyć.

Publikacja jest adresowana do pracowników naukowych i studentów, których działania mieszczą się w obszarze nauk humanistycznych. Zakres pracy został zawężony do humanistów, gdyż mimo rozwijającego się rynku narzędzi cyfrowych praktyki badawcze tej grupy są „ucyfrowione” w niewielkim stopniu. Specyfiką humanistów (nie tylko polskich) jest również to, że większość z nich preferuje pracę indywidualną, większość ich publikacji stanowią teksty jednoautorskie. Badacze są zajęci śledzeniem na bieżąco przedmiotu swoich zainteresowań i prawdopodobnie (o to autorka nie pytała w ankiecie) brakuje im czasu na bycie na bieżąco jeszcze z narzędziami cyfrowymi, które mają im to „bycie na bieżąco” usprawnić. Niewątpliwie jednak system zarządzania indywidualną wiedzą naukową Anny Matysek w obliczu konieczności radzenia sobie z coraz bogatszymi zasobami wiedzy jest wartością dla współczesnych humanistów.

Anna Jawor

Anna MATYSEK, **Model systemu zarządzania indywidualną wiedzą naukową w humanistyce**, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2024.

W pińskiej marynarce



Komandor Zygmunt Jasiński opisał we wspomnieniach lata służby w marynarce wojennej. Najpierw okres 1930-1938 w Szkole Podchorążych Marynarki Wojennej, przedzielony II wojną światową, a następnie kształtującą się rzeczywistość komunistyczną lat 1946-1950 w Oficerskiej Szkole Marynarki Wojennej.

Kim był? Legendarnym, zasłużonym oficerem podwodniakiem spod biało-czerwonej bandery międzywojnia. W czasie II wojny światowej służył najpierw jako pierwszy oficer mechanik na okręcie podwodnym ORP Wilk potem na ORP Sokół. Niezwykle uczynny, koleżeński i towarzyski; znały go kolejne roczniki oficerów marynarki wojennej i nazywały Radcą lub Staruszkciem. Urodził się w 1906 roku we wsi Słupia w województwie kieleckim. Rodzice pochodzili z chłopskich rodzin. Zygmunt po ukończeniu szkoły powszechnej w Suchedniowie i gimnazjum w Kielcach rozpoczął w 1925 roku studia w Państwowej Wyższej Szkole Budowy Maszyn i Elektrotechniki w Warszawie. Był harcerzem.

Jako inżynier mechanik w zakresie energetyczno-konstrukcyjnym w 1930 roku został powołany do służby wojskowej w Szkole Podchorążych Rezerwy Marynarki Wojennej w Toruniu. W 1932 roku, po mianowaniu na podporucznika marynarki rezerwy, otrzymał przydział do Floty Rzecznej Marynarki Wojennej w Pińsku. Zajmował się pracami konstrukcyjnymi i modernizacją istniejących jednostek rzecznych. Wdrażał tzw. napęd strumieniowy.

W 1935 roku odbył sześciomiesięczny kurs pływania podwodnego, będąc zarazem wykładowcą przedmiotów technicznych w centrum szkolenia specjalistów floty w Gdyni. Nabyte umiejętności okazały się nieocenione w trakcie wojny przy wyprowadzaniu ORP Wilk przez cieśninę duńską do Wielkiej Brytanii. W Anglii po początkowej służbie zapadł na chorobę płuc towarzyszącą mu już do końca życia. W latach 1945-46 służył w Szkole Podchorążych Marynarki Wojennej w Bickleigh k. Plymouth. W 1946 roku wraca do Polski i podejmuje pracę w Oficerskiej Szkole Marynarki Wojennej w Gdyni. Komunistyczne władze odsuwają go coraz bardziej od zajmowanych stanowisk, a w końcu zwalniają z pracy, uzasadniając, że jest sanitarnym oficerem i nie rozumie zachodzących przemian.

Spśród wspomnień przedwojennych, wojennych z Anglii czy tych ze stoczni w Gdyni po zakończeniu wojny najbardziej egzotycznie przedstawiają się te z przedwojennego Polesia. Ciekawy to materiał dla historyka administracji. Można z niego wyłonić proces rywalizacji o wojewódzką stolicę pomiędzy Brześciem nad Bugiem a Pińskiem, w której autor poniekąd również uczestniczył. Ponadto interesującym reliktem I Rzeczypospolitej, którego doświadczył autor na Polesiu, była oligarchiczna struktura społeczna regionu. Książę Karol Mikołaj Radziwiłł, ordynat dawidgródzki z siedzibą w Mańkowiczach nad Horyniem, stworzył tam swoją grupę wraz z byłym ambasadorem Polski w Londynie Konstantym Skirmuntem, właścicielem olbrzymich posiadłości w Mołodowie pod Pińskiem, biskupem diecezji pińskiej Kazimierzem Bukrabą oraz poleskim ziemianinem księciem Henrykiem Sułkowskim. Zantagonizowana była ona z inną, do której należeli każdorazowo starosta piński, arcybiskup prawosławnej diecezji Aleksander (Inozimcow), pułkownik Józef Zawisłak – dowódca pułku stacjonującego w Pińsku, hrabia Stefan Prądyński i pomniejsi polescy ziemianie. Ugrupowania toczyły ze sobą walkę nie tylko w okresie wyborczym, a kiedy rozsierzenie przybierało niepokojące rozmiary, interweniował zazwyczaj poleski wojewoda – znany satrapa, pułkownik piechoty i były legionista Waclaw Kostek-Biernacki. Bali się go wszyscy, więc następował czasowy rozejm. Walki koterii o tyle były bliskie autorowi, gdyż do obozu Radziwiłła należał jego przełożony, dowódca Floty Pińskiej, komandor Witold Zajązkowski.

Bogdan Bernat

Zygmunt JASIŃSKI, *Raz na wodzie, raz pod wodą. Wspomnienia (1930-1961)*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2024.

O malowidłach stylu ruskiego



Książka Marcina Walkowiaka stanowi ważne podsumowanie stanu badań nad grecko-ruskimi malowidłami powstałymi w kręgu dworu króla Jagiełły. Należy podkreślić wagę tej grupy zabytków, które w lepszym lub gorszym stanie zachowały się do naszych czasów. Ich znaczenie wynika nie tylko z jakości artystycznej, ale także wagi środowisk, w których powstały oraz treści, jakie ze sobą niosły. Dlatego też nikogo nie powinno dziwić, że są one tematem badań historyków sztuki od wielu lat i że wyniki tych badań są

zróżnicowane.

Analizy prezentowane w książce oparte są na wyraźnie określonym założeniu, które autor opisał na samym początku. „Z moich wieloletnich badań wynika, że powstające na zlecenie Władysława Jagiełły dekoracje *graeco opere* miały ścisły związek z jego programem politycznym i stanowiły ważną część kształtowania politycznego wizerunku króla”.

Autor, odwołując się do szeregu wcześniejszych prac, poddaje je krytyce i nie cofa się przed formułowaniem wyraźnych tez. Dlatego też przeciwstawia się tezie o osobistej predylekcji Jagiełły do malarstwa „ruskiego”. Sztuka realizowana przez sprowadzanych do Polski artystów odwoływała się nie tyle do obszarów wschodniego sąsiada, co do tradycji Konstantynopola. I miała za zadanie prezentację idei Królestwa Polskiego jako „tarczy chrześcijaństwa”.

Oczywiście program polityczno-wizualny proponowany przez środowisko dworu założyciela nowej dynastii jest rozbudowany i wielowątkowy. Tym bardziej że mówimy o szeregu założeń malarstwa monumentalnego powstałych w różnych miejscach Polski. I chociaż każde z nich pełniło nieco odmienną rolę, to jednocześnie widać wyraźnie związki ideowe, nie tylko formalne, pomiędzy poszczególnymi zabytkami. Warto podkreślić, że Walkowiak nie cofa się przed próbami rekonstruowania, jeżeli nie wyglądu, to przynajmniej ideowych założeń i treści tych zabytków, które pozostały jedynie szczątkowo lub nie zachowały się do naszych czasów. Aby ukazać ich doniosłość, sięga po zapisy archiwalne, przede wszystkim do rachunków dworu Jagiełły. Dzięki temu przybliży czytelnikom tak mało znane zamówienia jak dekoracje w klasztorze św. Krzyża lub sypialnie królewskie na Wawelu.

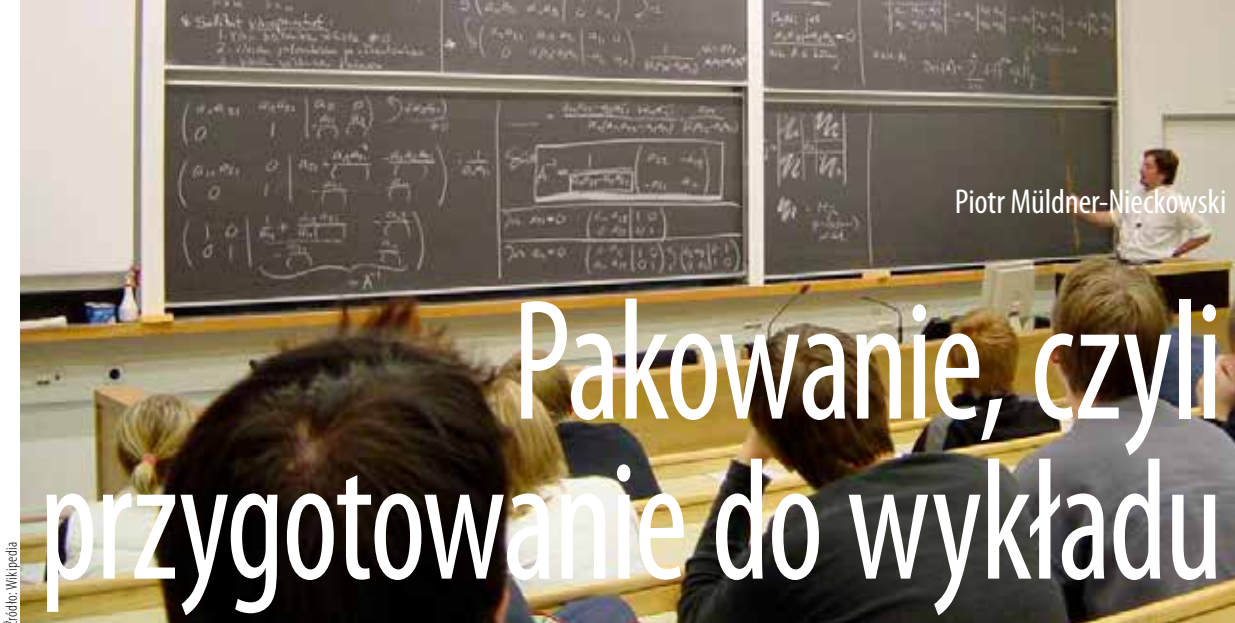
Szczególne znaczenie mają malowidła świętokrzyskie. Ich celem była – wedle autora – legitymizacja władcy-fundatora jako chrześcijańskiego monarchy oraz opiekuna relikwii świętego Krzyża. Do takich artystycznych manifestacji można było znaleźć wysokiej jakości wzory w sztuce europejskiej. Zaś same malowidła wykonane na Świętym Krzyżu były pierwszym zamówieniem w „stylu greckim” i stanowiły punkt odniesienia dla kolejnych Jagiełłowych fundacji.

Dlatego też freski powstałe w Gnieźnie, Wiślicy, Lublinie, Sandomierzu czy wreszcie na Wawelu są nie tyle powtórzeniem, co rozwinięciem owego programu ideowego, ukazującego nowego monarchę jako z jednej strony następcę poprzednich władców, czyli rodziny Piastów, a z drugiej Konstantyna i wielkich monarchów chrześcijańskich. W tym świetle zrozumiałe staje się umieszczanie „wschodnich” malowideł w gotyckiej architekturze oraz ich kompozycyjne dostosowywanie do zastanej struktury architektonicznej. Było w tym o wiele więcej niż estetyczny kaprys władcy.

Książka Marcina Walkowiaka ukazuje, że przy ponownym odczytaniu źródeł oraz drobiazgowej analizie wcześniejszej literatury można wyciągnąć własne wnioski, które zaskakują nie tyle odmiennością, co samodzielnością myśli. Biorąc do ręki jego książkę można było zadać sobie pytanie: co jeszcze można na ten temat napisać? Jak się okazuje, można całkiem sporo, co więcej jest to rozprawa, która dzięki erudycji i samodzielności myślenia poszerza naszą wiedzę i pozwala stawiać kolejne pytania.

Juliusz Gałkowski

Marcin WALKOWIAK, *In hoc signo... O roli malowideł graeco opere w strategii wizerunkowej króla Władysława Jagiełły*, Wydawnictwo Exemplum, Poznań 2024.



Zdjęcie: Wikimedia

Pakowanie, czyli przygotowanie do wykładu

Zawsze na początku roku akademickiego wykładowcom przychodzi do głowy rozmaite rozwiązania, które mogą się przydać. Jedne są solidnymi usprawnieniami, inne raczej fantazjami, udoskonaleniami pozornymi i w rzeczywistości mającymi na celu poprawienie pozycji nadawcy w oczach odbiorców (w aktorskim stylu wykładania). Te pierwsze na szczęście zdarzają się częściej i warto z nich korzystać, nawet jeśli na pozór wydają się trudne do stworzenia. Prowadzący wykład lub dialog nie musi nadawać wykładowi cech egzaltacji ani rozwiązań humorystycznych. Przy pewnej swobodzie działania kontakt ze słuchaczami przychodzi sam, jest efektem doświadczenia dydaktycznego. O wiele trudniejsze jest zadanie takiego przedstawiania tematyki i jej szczegółów, żeby po pierwsze było zrozumiałe dla większości słuchaczy, po drugie żeby dawały łatwe zapamiętywanie i po trzecie, żeby w czasie zajęć mogły być przedstawione w całości i wyczerpująco. Za dużo kryteriów i parametrów?

Są jednak sposoby, które pozwalają podejść do zagadnienia poprawności wykładu według schematu zaczerpniętego z prakseologii. Nie trzeba czytać aż Kotarbińskiego. Wystarczy na chwilę położyć się na plecach, zamknąć oczy i uzmysłowić sobie cechy tego, co ma być wyłożone. Uzmysłować sobie przykłady zdarzeń, które wydają się niezmiernie łatwe, ale w miarę rozbierania na czynniki pierwsze zaczynają się gigantycznie komplikować. Wtedy trzeba wracać do początku i analizować od nowa. Jeśli ktoś mnie o to pyta, a jest w moim otoczeniu sporo dydaktyków, to jako podpowiedź daję przykład pakowania paczki w firmie sprzedającej towary drogą wysyłkową.

Pakowanie złe polega na tym, że wykonawca bierze za duży kawał papieru albo folii plastikowej, dowolnie zawija sprzedawany obiekt, ile się da okleja taśmą samoprzylepną, nakleja odpowiednią etykietkę i znosi do paczkomatu lub na pocztę. Zamiast owijki można zastosować pudło tekturowe, w którym coś kiedyś kupiliśmy albo ktoś nam coś kiedyś przysłał. Wielkość pudła nie może być za mała, ale za duża niestety wydaje się łatwa do opanowania przez włożenie różnych domowych śmieci i upchanie ich tak, żeby nasz nawet małeńki obiekcik w wielkim pudle się nie ruszał.

No tak, fajno jest, nadaliśmy paczkę. Ale po drodze naklejka odpadła (nie to zostało przyklejone, co należało przymocować). Papier lub folia zostały rozdarte, a towar wewnątrz zgnieciony, rozdrobniony. Zapomnieliśmy to zabezpieczyć. W pudle to samo, jeśli ściśle przylegało do naszego obiektu i ktoś na tym stanął, to zniszczył nie tyle pudło, ile jego zawartość. Jeżeli to jednak dojedzie do odbiorcy i nie będzie zniszczone, to wyobrażam sobie jego wściekłość, bo najpierw mocuje się z nadmiarami zaklejeń, a potem z wyrzucaniem śmieci wypełnienia. Wzajemne przesyłanie sobie odpadów weszło w krew licznym sprzedawcom w serwisie Allegro, to jest wręcz plaga.

Tak pakujący ludzie nie myślą o odbiorcach, a więc o funkcjonalności paczki. W wykładzie będzie to język, sposób przedstawiania i dobór treści, aby się zmieściła w danym czasie. Ta czynność należy do najważniejszych elementów przygotowania i przez większość słabszych wykładowców (nadawców paczek) bywa całkowicie zaniedbywana. „Przecież w paczce jest wszystko co trzeba”. Tak, ale czy wszystko potrzebne słuchaczom, czy też jest mnóstwo śmieci? Czy wyczerpuje istotę problematyki wykładu, czy nie dajemy zbyt wiele dygresji i fajnych grepsów, które jak glina zalepiają temat główny?

Po drugie paczka musi mieć wygląd zewnętrzny estetyczny i dostosowany do funkcji. Ładna, zgrabna powoduje, że panowie, którzy mają ją rzucić z auta na chodnik przed pocztą, a potem do głębi skrzyni towarowej, pod wpływem ładnego wyglądu zatrzymają niszczący ruch i raczej ją położą, z czuciem przesuną, niż rzucą przed siebie, aby tylko doleciała.

To wszystko jest znaną w praktyce pocztowej sprawą. Niby nic. Ale w wykładowej też. Łatwizna. Najpierw jednak sprawdzimy jakość opakowania, czyli to jak mówimy.

Czas na dekalog. Warto nagrać sobie 10-15 minut wykładu na smartfon i wysłuchać tego cierpliwie, wyławiając: 1) błędy dykcji i emisji (głośności), 2) jęczenie i buczenie „aaa”, „yyy” między wyrazami i podczas zastanawiania się nad dalszą treścią, 3) zbyt szybkie albo za wolne tempo mówienia, 4) błędy językowe, 5) niekończenie zdań (to nie jest rozmowa potoczna), 6) wyciszanie końcówek wyrazów, wersów, zdań, 7) nierobienie przerw między autonomicznymi elementami tekstu i między tematami, 8) zbyt długie lub za krótkie przerwy między wyrazami, zdaniami, akapitami, 9) bałaganiarskie definiowanie pojęć, 10) brak (o ile są możliwe) przykładów praktycznego zastosowania podawanej teorii lub teoretycznych aspektów omawianej praktyki, i brak powtórzeń w postaci drugiej wersji najtrudniejszych definicji składników wykładu.

Dobry wykładowca potrafi jeszcze przygotować wsparcie w postaci prezentacji, która mu pomaga jako ściągawka, objaśnia i porządkuje treść, ale która nie powinna umożliwiać jej zapamiętania bez zrobienia przez studentów notatek (nie powinno pomagać im nawet robienie zdjęć z ekranu, co zresztą jest zakazane przez prawo autorskie). Ten ostatni chwyt ma głęboki sens. Nierobienie przez studenta notatek z wykładu powoduje, że średnio zapamiętuje nie więcej niż ok. 10% treści, natomiast robiący notatki zapamiętują, i to pamięcią dość dojrzałą (tą funkcjonującą w następstwie działania świeżej), aż ok. 60% treści. A to różnica.

e-mail: lpj@lpj.pl

Kongres i Gala Sportu Akademickiego

23-24 października 2023



Fot. Rafał Oleksiewicz



Nagroda im. Pierwszego Rektora Uniwersytetu Łódzkiego Prof. **Tadeusza Kotarbińskiego**

**70 tys. zł za najlepszą książkę
humanistyczną w Polsce**

Poznaj laureata nagrody

1 grudnia 2024 r., godz. 17:00

FB: **@nagrodatk**

